

Baum Vicki

Pisane na wodzie

## PROLOG

Droga powieściopisarza jest wybrukowana odrzuconymi pomysłami, a któryś z jego kufrów kryje na pewno cmentarzysko zaniechanych rękopisów. Zdarza się jednak czasami, że jakiś niemal zapomniany już wątek, pograżony w wieloletnim śnie zimowym jako ewentualny materiał na powieść, ożywa nagle i sam zaczyna pisać swój nieunikniony i rozstrzygający ostatni rozdział.

Historia, którą próbuję tu opowiedzieć, stanowiła właśnie taki pogrzebany fragment aż do chwili, gdy w barze hotelu Pacifico zauważyłam, że człowiek siedzący obok mnie sięgnął po swój napój sztuczną ręką.

Odruchowo wzrok mój powędrował od imitacji skóry, pokrywającej ów nader doskonały mechanizm, ku twarzy właściciela. Wesoła, ogorzała twarz z jednym podbródkiem za dużo, pasmo wybielonych przez sól włosów okalające różową i lśniącą łysinę, niebieskie oczy, które błyskały teraz wyraźnie w moją stronę spośród wyblakłych rzęs i sieci białych zmarszczek. Coś znajomego było w tej twarzy, a jeszcze więcej w głosie i amerykańskim akcencie, kiedy uniósł szklanekę z zachęcającym:

— *Salud, señorita! Salud, dinero y amor* — i radujmy się, jak powiadają Meksykanie.

— *Salud...* — odparłam starając się przypomnieć sobie, gdzie ja go już widziałam. Na lotnisku w Mazatlan? Czy w autobusie, który mnie stamtąd przywiózł do hotelu Pacifico?

— Zatrzyma się tu pani na dłużej? - spytał.

- Nie, tylko zanocuję. Jutro przyjeżdżają moi przyjaciele, żeby mnie zabrać do Manzanillo.

— Och, po co ten pośpiech! Czemu nie odpocząć kilka dni? Myślę, że spodoba się pani ta buda.

O tak, hotel jest bardzo przyjemny. Bardzo luksusowy. Zdumiewające, jakie zmiany w tych stronach poczynił nowy szlak komunikacyjny.

Pacifico, sześćdziesiąt mil na południe od Mazatlan, jest jednym z szykownych hoteli, które w ostatnich czasach powyrastały na jałowej glebie meksykańskiego wybrzeża Pacyfiku. Wybrzeże to, jeszcze niedawno niedostępna i niegościnna głusza, teraz zaczynało przyciągać przedsiębiorczą awangardę turystów poszukujących nie odkrytych dotychczas widoków; zaopatrzonych w okulary, ościenie i płclwy miłośników modnych dreszczyków nurkowania i dalekomorskich połowów, pstry tłum lubiący łączyć swe przygody z klimatyzowanymi wygodami po niewygórowanej cenie.

— Zmiany! Pani mówi: zmiany. Proszę zaczekać, aż pani zobaczy, co się stało z Tiburón. Chciałbym panią oprowadzić . trochę po miasteczku, ma pani ochotę?

— Tiburón?... spytałam grzebiąc po omacku w swej pamięci. Mężczyzna zachichotał, zamrugał oczami i uniósł szklanke.

— Nie odpowiada pani? *Salud, señorita.*

- Pan jest właścicielem tego hotelu?

Ja? Ależ skąd. Jestem tu tylko przygodnym obserwatorem, czymś w rodzaju człowieka do wszystkiego. Dłubię w radio, utrzymuję generatory na chodzie, doglądam, by *agua* była istotnie *purificada*. Troszczyć się o pływalnię — pompujemy do niej wodę morską, wie pani. To nasza chluba

— jeszcze się pani nie kąpała?

— Nie. Wolę raczej popływać trochę później w oceanie...

— Nie, proszę pani. Tego bym nie radził. Nie o tej porze roku.

- Czemu nie? Woda jest doskonała, a ze mnie niezły pływak.

— Tiburón. Rekiny. Mnóstwo rekinów. *Salud, señorita.*

Musiałam pewnie na dźwięk tego niemiłego słowa bezwiednie rzucić okiem na okaleczoną rękę, bo zaśmiał mi się prosto w twarz.

— Nie, droga pani, to nie jest malownicza pamiątka z czasu połowów rekinów. Oberwało mi ją w czasie wojny przez moją własną głupotę.

Miałem jeszcze obie graby, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, a może pani nie pamięta? Bob Thumborn się nazywam. Dla przyjaciół: Thumbs. Kiedy to wyrzekł, moneta wpadła w otwór automatu i maszyna mojej pamięci zaczęła się obracać.

- Thumbs! Ależ oczywiście. A tak często myślałam o tym, co mi pan opowiadał, i byłam ciekawa, jak wam się wszystkim powodzi. Niech mi pan daruje, że nie poznałam pana od razu. Nie widzieliśmy się kawał czasu.

— Tak jest. Kawał czasu. Ściśle od dwudziestego drugiego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Nigdy tej daty nie zapomnę. Pierwszy pociąg do Pearl Harbor, na jaki zdołaliśmy się dostać, kapitan i ja... Prawda, jaka to była paskudna podróż?

— Tak, paskudna — odparłam uśmiechając się do własnych wspomnień, które nagle zaniósł mnie z powrotem do tej odległej nocnej podróży.

- Aha, już pani sobie przypomina, prawda? No — *salud, señorita.*

— *Salud*, Thumbs. Cóż to za miła niespodzianka spotkać pana, i to właśnie tutaj — powiedziałam opróżniając szklanek i dziwiąc się, jak to się w którymś zwoju mego mózgu wszystko przechowało, by teraz nagle wypłynąć jasno i

w pełni: dźwięki, zapachy, atmosfera, słowa nie dokończonych opowieści. Dwudziesty drugi grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Wlokący się jak ślimak, zatłoczony pociąg wiezie roztrzęsionych Amerykanów z Guadalajara w Meksyku do Nogales na granicy Stanów. W pulmanie było tak gorąco, że nie mogłam spać. Widmowo połyskująca tarcza mego zegarka wskazywała za pięć drugą. Mężczyzna z dolnej jedenastki wciąż chrapał, człowiek z dolnej czwórki bez ustanku kaszłał, dziecko na górnym łóżku nadal płakało, a wentylatory nie działały, wiadomo — Meksyk. W ciasnej przestrzeni nad moim pościeleniem zebrało się kilka ton ciężkiego, nieruchomego powietrza i uciskało mi klatkę piersiową jak zmora. Wreszcie zdecydowałam się, wciągnęłam suknię i poszłam na palcach na tylną platformę kołyszącego się pociągu, gdzie znajdowały się dwa siedzenia obserwacyjne.

Noc na zewnątrz była obca, wroga. Obok pociągu przebiegały zarośla, błota i pustynie, niemalże niewidoczne po obu stronach wąskiej czerwonej ścieżynki, jaką pozostawiały za sobą na szynach tylne światła. Tu i ówdzie z ciemności wychylał się udręczony kształt kaktusa saguaro albo ponad stukot kół przedzierał się ostry krzyk nocnego ptaka. Po niedługiej chwili rozległ się trzykrotny gwizd lokomotywy, pociąg zwolnił, zatoczył łuk, po czym szarpnąwszy brutalnie stanął w szczerej głuszy.

W chwili gdy się zatrzymał, na wszystkim zaczął osiadać pył i sadze. Daleko w przodzie, gdzie stała ciężko dysząc lokomotywa, dostrzegłam słabo oświetloną szopę stacji. Zapanowało tam owo zwykłe senne poruszenie, które towarzyszy nocnym przyjazdom do zapadłych miejscowości. Wzdłuż pociągu szedł człowiek z latarnią, a konduktor wozu sypialnego. Meksykanin, zszedł z wagonu i kręcił się w pobliżu w pozie czujnego nieróbstwa.

— Czy jesteśmy w Mazatlan? — spytałam go.

— Nie, señorita, na południe od Mazatlan — odpowiedział. — To dopiero Tiburón.

Siadłam z powrotem i zamknęłam oczy, godząc się z ośmiogodzinnym opóźnieniem i zastanawiając, czy zdążę jeszcze dojechać do domu na Boże Narodzenie w tej ciżbie Amerykanów powracających do kraju po wstrząsie, jakim dla nich było Pearl Harbor. Kiedy tak siedziałam z zamkniętymi oczyma, usłyszałam ciężki łoskot rozlegający się w ciszy z nieregularnym rytmem; brzmiało to jak odgłosy z jakiejś wielkiej fabryki pracującej całą dobę.

— Co to za hałas — spytałam konduktora.

— Morze, señorita — odparł. Jak by dla nadania tym słowom emfazy, w tej samej chwili od zachodu dmuchnął wiatr. Nie był to jednak orzeźwiający powiew, którego człowiek oczekiwał zbliżając się do Pacyfiku. Był gorący i niósł z sobą stęchły zapach, niby oddech dzikiego drapieżnego zwierzęcia. A później inny zapach uderzył mnie w nozdrza, zapach, który nauczyłam się rozpoznawać jako ciepłą, łagodną, słodką, wcale nie niemiłą i całkowicie ludzką woń tłumy meksykańskiego. Pot, kwiaty, ekstrakt wanilii we włosach dziewcząt, oliwa, dym z węgla drzewnego, który na zawsze przesyca ich ubranie. Otworzyłam oczy i spojrzałam w czerniejącą noc. Gdy wzrok mój przyzwyczał się do ciemności, spostrzegłam, że owe zwarte kształty w dole to nie zarysy krzaków, zarośli i kaktusów, ale jakaś zupełnie fantastyczna scena. Jak tylko okiem sięgnąć — ludzie, setki, może nawet tysiące ludzi, gęsty tłum stojący cicho wśród nocy. Mężczyźni odziani w coś białego albo granatowego z serapami zaciągniętymi aż po oczy i w sombrerach kryjących im twarze. Kobiety w czarnych rebozo spływających miękkimi fałdami z głów i ramion, inne w modnych tandetnych sukniach bawełnianych, jakie można nabyć na miejscowych jarmarkach.

Dzieci też były, małe dziewczynki i mali chłopcy, nawet niemowlęta śpiące na rękach matek. Nikt nic nie mówił, nikt nie śpiewał, nikt się nie śmiał. Rzekłbyś, że setki Meksykanów stojących przy torze w środku największej głuszy ogarnęła śpiączka. Potem, po niezmiernym czasie, wszystkie twarze zwróciły się w jednym kierunku, gdzie ostre światła samochodu przecięły ciemność nocy. Kiedy samochód się przybliżył, odezwała się orkiestra; była niewielka i brzmiała łagodnie, żałośnie i jakby z oddalenia. Podskakujące na głębokich dziurach i wybojach auto zatrzymało się tuż koło mojego punktu obserwacyjnego. Samochód był zdumiewająco i nieoczekiwanie, jak na te okolice, nowy i elegancki. Leniwy konduktor ożył nagle i ruszył ku przybyłym pasażerom, na których najwidoczniej pociąg oczekiwał.

Byli to dwaj mężczyźni w białych lnianych ubraniach. Pierwszy, mężczyzna w średnim wieku, pulchny i przyjacielski z usposobienia, niechybnie Amerykanin, był tym samym, z którym spotkałam się teraz w chłodnym, przyjemnym barze hotelu Pacifico. Drugi, którego postać zarysowała się na chwilę ostro w świetle reflektorów samochodu, był szczupły, lekko zbudowany, tak że wydawał się wyższy, niż był w istocie. „Toreador” — pomyślałam w pierwszej chwili nie wiadomo czemu. Może dlatego, że miał w sobie ową lekkość stalowej konstrukcji i charakterystyczną dla matadora zaciętą twarz o ostrych rysach. Ale gdy tylko zdjął kapelusz, wydał mi się całkiem inny. Głowa z gęstą i tak jasną czupryną, że wyglądała niemal biało, była bezprzecznie anglosaska. Opalony na ciemnobrązowo miał ostrą linię na czole oddzielającą wyraźnie górną białą część. Spotyka się to często u żołnierzy, podróżników, żeglarzy i myśliwych. Była to twarz uderzająca, łatwa do zapamiętania dzięki swej hamowanej żywotności. Podczas gdy pulchny jegomość dozorował przeładunku bagażu, szczupły mężczyzna pomógł wyjść z auta dziewczy-

nie. Była bardzo drobna, głowę i ramiona owinięte miała czarnym rebozo, a twarz pięknie rzeźbioną, bardzo bladą i dziwnie poważną. Stała nieruchomo patrząc w górę na wysokiego mężczyznę. Rozmawiali ze sobą jakby poprzez wezbraną rzekę napięcia i, dziwna rzecz, cały tłum trochę odstepił, chcąc pozostawić tych dwoje w samotności. Mężczyzna chyba dawał dziewczynie jakieś polecenia, bo kiedy tylko przestawał mówić, milcząco kiwała głową dla wyrażenia zgody, nie odrywając oczu od jego twarzy. Wreszcie odwrócił się i wypowiedział głośno czyjeś imię. Z tłumy wystąpił siwowłosy człowiek, wszedł do samochodu i usiadł za kierownicą. Miał ciemną, bulwiastą indiańską twarz o szerokim nosie i brakowało mu jednej nogi, którą zastępował niezdarny drewniany kikut. Zdziwiłam się, jak może prowadzić ciężki samochód.

Orkieslra, która tymczasem ucichła, zabrzmiała na nowo. Nieskończenie długi wydawał mi się postój na tym przystanku, gdzie w dali morze łomotało o obcy brzeg, a drugie morze ludzkich twarzy, falowało przy pociągu. Wreszcie parowóz nabrał głębokiego oddechu i przygotował się do odjazdu. Jasnowłosy mężczyzna uniósł dziewczynę na stopień samochodu. „Żeby ją pocałować na pożegnanie” pomyślałam. On jednak tylko pocałował koniuszki swych palców i lekko dotknął nimi jej ramienia. Była to dziwna pieśczoć, jaką dotychczas widziałam jedynie u Arabów. Kryła się w niej bezgraniczna czułość i jakby szacunek.

Dziewczyna, uniósłszy się na palce, uczyniła nad mężczyzną znak krzyża. Potem wsiadła do samochodu i już nie oglądając się odjechała. Mężczyzna krzyknął po hiszpańsku w tłum jakieś słowa pożegnania i wszedł na stopień wagonu. Natychmiast wszyscy mężczyźni zdjęli sombrera jakby przy wejściu do kościoła. Orkiestra nadal grała. Pociąg ruszył, a ja wciąż myślałam o tej dziwnej scenie, której właśnie byłam świadkiem.



W chwilę później na platformę wszedł pulchny mężczyzna i opadł ciężko na drugie, wolne krzesło.

— Nie przeszkadza, że się przysiadę, señorita? - spytał

— i, że jestem pod muchą? To z bardzo specjalnej okazji. Napije się pani kropelkę mescalu? Nie? No, to *salud, señorita. Salud dinero, amor y tiempo para gozarlos\** — Z tykwy, którą na sposób krajowców miał przewieszoną przez ramię na skórzanym pasku, nalał do cynowego kubka trochę płynu. —

Nie chciałbym być natrętny - rzekł siląc się na grzeczność.

- Bardzo przepraszam, że jestem trochę zalany, ale tak długo nie byliśmy w kraju, tak strasznie długo, rozumie pani — a teraz jedziemy. Czasami już myślałem, że nie dożyję tego dnia.

— Konduktor, hej, konduktor! — krzyknął, gdy człowiek w białej kurtce wsunął głowę przez drzwi. — Kapitan śpi w naszym przedziale i daj mu spać, choćby ten twój przeklęty pociąg miał się wlec tydzień do granicy, słyszysz? Żadnego pukania do drzwi, żadnego pytania, czy mamy ochotę zjeść śniadanie. Jeśli go zbudzisz, zagrzebię cię po szyję w kopcu mrówek. Zrozumiano?

— Kapitan już taki jest wyjaśnił mi, skoro tylko tamten znikł z uśmiechem na twarzy i napiwkiem w garści. — Nieraz widziałem, jak czuwał w potrzebie pięćdziesiąt sześć godzin bez przerwy, a potem spał dwanaście i wstawał świeży jak skowronek. Nie byle facet ten mój przyjaciel, Glenn Hammers. Trafiła pani kiedy na to nazwisko w prasie? Nie? Tym lepiej. Kilka lat temu była w związku z nim paskudna wrzawa. Przy okazji, nazywam się Bob Thumborn, dla przyjaciół: Thumbs. No, *salud*.

— Widziała pani tych ludzi na stacji? — ciągnął dalej wzmocniwszy się łykiem z tykwy. — Zauważyła pani w tym

S a l u d... (hiszp.) — zdrowia, pieniędzy, miłości i długiego życia.

coś niezwykłego? Nic było wielu starców w tłumie, prawda? Nie ma starych w Tiburón — tam przeważnie umierają młodo. Biały może to znieść trzy, cztery lata i już po nim. Dyzenteria-febra-tyfus. Od początku do końca malaria. I coś, co krajowcy nazywają *vomito negro*. To żółta febra, tak. łaskawa pani. Ich dzieci mrą jak muchy, a doktora w Tiburón nie ma. Jest tylko Vida, ona jedna i na jej opiece cały ten piekielny tłum. Nic, nic —jeszcze przyjdzie czas, że będzie miała i szkołę, i szpitalik, mogę założyć się, o co pani zechce.

Miałam wrażenie, że nic oczekuje po mnie żadnej odpowiedzi, i zaczęłam drzemać.

— Myślała pani kiedy o wątrobie rekina? - spytał nagle budząc mnie z letargu. Odparłam, że nie, chyba nie. Nie myślałam o wątrobie rekinów.

— Proszę spojrzeć na mnie. Od lat myślę tylko i wyłącznie o wątrobie rekinów. Powiem pani: wątroba rekina to coś więcej, niż się z pozoru wydaje. Weźmy na przykład rekina długości piętnastu stóp. Będzie on miał wątrobę, co się zaczyna przy łbie i ciągnie aż do ogona. Dwanaście, trzynaście, czternaście stóp wątroby. Wie pani, co to znaczy w terminach handlowych? Znaczą dostateczną ilość witaminy A, żeby zachować w zdrowiu całą dzielnicę dużego miasta. Och, *mama mia!* Kilka lat temu tyle było pożytku z rekina, że człowiek mógł sprzedać płetwy Chińczykowi i nasmarować maszynę tranem. Teraz, ile tylko złowić, wszystko mało. W takiej dziurze jak Tiburón ponad trzystu ludzi łowi rekiny. Tak, łaskawa pani, trzystu typków spod ciemnej gwiazdy — powiedział. - i dają głowę, że każdy z nich przydyrdał dziś siedem mil piechotą, żeby odprowadzić kapitana. Pewnie na swój dziwny indiański sposób lubią go. Prawda, jak spokojnie i ładnie się zachowywali, gdy odjeżdżał? Ale ciekawym, co by było, gdyby Vida z nimi nie została. Mord i rewolucja. Widziała ją pani? To chucherko, które przyjechało z nami

samochodem — ale, *hombre*\* - jak ona trzyma tych ludzi za mordę! Kapitan zginąłby bez niej, a z nim wszyscy rybacy.

Znowu pociągnął łyk ze swojej tykwy i potrząsnął nią badawczo. Potem w zamyśleniu zaczął się przyglądać szynom, które w blasku tylnych świateł wiły się za pociągiem niby dwa czerwone węże.

— Dobrze, że Vida przyjęła jego odjazd tak spokojnie — ciągnął dalej przerywając swoje rozmyślenia. — Bałem się, że w ostatniej chwili zrobi scenę, ale nie, ona nie taka. To krew indiańska, sprawia, że są tacy spokojni. Glenn mówi, że Vida ma w sobie najdoskonalsze proporcje krwi hiszpańskiej i indiańskiej, a to rzecz nader rzadka i cenna. Mówi, że to krew hiszpańska daje jej dumę, żywość i skórę niby lilia wodna, a krew indiańska spokój i cierpliwość, i tę postawę, którą Indianki wyrobiły sobie, bo od prawieków noszą na głowie ciężkie *allas* z wodą. Nie powiem, że należy do tych dziewcząt, których uroda aż uderza w oczy i każe człowiekowi mimo woli gwizdnąć, kiedy ją mija na ulicy, ale moim zdaniem Vida jest jedną z najpiękniejszych dziewcząt, jakie widziałem w życiu. Mówię, jak bym się w niej podkochiwał, co? Kto wie, może i tak. Może i jestem takim typem, co się nadaje do komedii — co to się zawsze kocha w dziewczynie swego najlepszego przyjaciela, jak twierdzi Glenn. Cieszę się, że teraz śpi. Jemu też ciężko rozstawać się z Vidą, bo w dodatku ona jest w trzecim miesiącu. No, *salud, señorita*.

Nastąpiła długa cisza i pomyślałam, że mój nieznajomy towarzysz tej podróży przez bezkształtną nicość nocy zasnął opity mescalem. Ale w momencie, gdy zamknęłam oczy, dobiegł mnie w ciemności jego głos, tym razem jednak już nie rozmarzony, lecz żywy i zniecierpliwiony.

— Ciekaw jestem, jak długo len pociąg będzie się włókł do Mazatlan? Przecież to, na miłość boską, mniej niż pięćdziesiąt mil.  
Hombre! (hiszp.) — człowieku!

siąt kilometrów! Zna pani Mazatlan? Nu pocztówce może nawet i ładne miasto. Zatoka, skały, palmy kokosowe i katedra - aleja się nie zachwygam. Tyle tam zawsze kłopotu z pilotem i tą ich formalistyką, bałaganem i całą *mordida\**, takie zdziarswo, a w końcu trzeba stanąć na kotwicy i płynąć na brzeg bączkiem. Zresztą, to tam właśnie wszystko się zaczęło...

Długa była to opowieść Thumbsa, ale dzięki niej szybciej mi zleciała nudna droga, a niecierpliwość, żeby się wreszcie znaleźć w domu, stała się mniej nieznośna. Nie był on wcale dobrym gawędziarzem. Mówił kulawo, z wieloma dygresjami oraz długimi przerwami, gdy zdawało się, że odbiegał myślami od swej opowieści lub zasypiał. Kiedy się nie znajdował pod działaniem mescalu, był pewnie nieśmiały i małomówny. Mimo to, szukając po omacku słów, potykając się i przerywając, przedzierając się przez zawilości wysłowienia, porwał mnie nieodparcie w ten świat, który opisywał wznoszącym się i opadającym głosem, pomagając sobie często wymownymi przerwami, to znów kreśląc kształty, obrazy i widoki rękami w powietrzu, kiedy zawodziły słowa. Tymczasem pociąg włókł się nieskończenie, zatrzymywał czasami na głuchych, niemych stacyjkach i ruszał dalej leniwie, jakby mu wcale nie zależało, żeby kiedykolwiek dotrzeć do Nogales i granicy. W tym braku pośpiechu było owo meksykańskie beztroskie lenistwo, które jest jak lekarstwo na nasze stargane nerwy, środek uspokajający, narkotyk. Kiedyś, gdy pociąg zatrzymał się z szarpnięciem na nowym postoju wśród nowej głuszy. Thumbs wstał, przeciągnął się i zapytał o coś po hiszpańsku sennego hamulcowego. — Rany boskie, teraz mamy przegrzaną panewkę!

Mord id a (hiszp.) — przekupstwo.

Jeżeli dalej tak pójdzie, nim dojedziemy do kraju, skończy się wojna!  
W Mazatlan mieliśmy ileś tam godzin opóźnienia, które powiększyliśmy jeszcze bardziej, gdy pociąg zaczął weksłować tędy i owędy i w końcu wjechał dysząc i sapiąc na boczny tor, skąd ruszył w drogę po nieskończenie długim postoju.

Dużo później noc zaczęła rzednąć i gwiazdy zbladły w rozstępującym się mroku.

— Chłodno — powiedział Thumbs — nie zimno pani, señorita?

— Nic - zaprzeczyłam, lecz mimo to trzęsłam się trochę. Thumbs rozpostarł serape, które na meksykańską modłę nosił złożone ciasno na ramieniu. Otoczył mnie tym szorstkim wełnianym okryciem, nagrzanym od jego ciała. Wzruszył mnie ten przyjazny odruch podbitego obcego człowieka, z którym zbliżyła mnie noc. Ale kiedy spojrzałam w jego uśmiechniętą twarz — wesołą twarz potulnego, bezinteresownego i wrażliwego grubaska — poczułam nagle, że już nie jest dla mnie obcy. Ani on, ani ludzie, o których mi opowiadał. Gdy doszedł do końca swojej opowieści, wydało mi się, że upłynęły całe lata, odkąd oglądałam tę ciekawą scenę na zapadłej stacji Tiburón. Znałam już tych ludzi, jak bym spędziła pośród nich szmat życia. To, co widziałam, było formalnym pożegnaniem dwojga kochanków - kobiety pozostającej w domu z mężczyzną wyruszającym na wojnę: scenę rozgrywającą się wszędzie niezliczoną ilość razy tak dziś, jak i dawniej, we wszystkich minionych wiekach od początku świata.

Jest więc to opowieść pierwszego mechanika Thumborna, którą spróbuję powtórzyć według jego własnych słów, jak najdokładniej potrafię.

## CZEŚĆ PIERWSZA

Przyłynęli z La Paz i wpłynęli do portu o zachodzie. „Orca”, co znaczy Delfin, była przyzwoitym, schludnym jachtem długości siedemdziesięciu stóp i Thumbs bardzo ją lubił. Był on na tym jachcie skipperem, matem, elektrykiem, mechanikiem; czasami bywał też kucharzem, a czasem nawet rozjemcą w częstych sprzeczkach Tracey z mężem. Tracey Cowles — dziewczyny, której fotografie zawsze można znaleźć w prasie.

Aczkolwiek szczerze nie cierpi rozgłosu, nie może go uniknąć. Bo i jakże to uczynić przy takich milionach w szybach naftowych, przy takim wyglądzie, urodzie, skandalach, wielkopańskich manierach, całej tej cholernej otoczce zbyt wielkich pieniędzy.

W owym czasie Tracey była jeszcze księżną, to znaczy, że była jeszcze żoną księcia, afe już się wyczuwało u niej przesyty i szczęście małżeńskie zaczynało wietrzeć. Dlatego właśnie wsadziła tego biedaka na jacht i pływała po całej Zatoce Meksykańskiej łowiąc ryby. Księżę czuł się lam równic nieswojo, jak górską kozica w akwarium — co bawiło Tracey. Był jej drugim mężem i nosił madziarskie nazwisko, którego żaden przyzwoity Amerykanin nie potrafi wymówić: Ladislaus księżę Barany. — Mów mi Lahszi — błagał wszystkich demokratyczny jak samo piekło nieszczęśnik. Spotkała go na Riwierze francuskiej, gdzie amerykańskie dziedziczki zwykle poznają swoich książąt. Przyjechał tam, żeby sprzedać czyjeś rodowe klejnoty, a Traccy kupiła wszystko: klejnoty, tytuł i jego samego. Thumbs nie sądził jednak, że on ożenił się z powodu pieniędzy. Wyraźnie stracił

dla niej głowę. Thumbs jednak nigdy go nie lubił, litował się nad nim tylko. Czasami Barany chełpił się przed całym światem, jaki to z niego doskonały strzelec, i opowiadał wszystkim do znudzenia o Wysokich Tatrach, niedźwiedziach, które tam ustrzelił, i afrykańskim safari, na które zabrał Tracey na miesiąc miodowy. Albo raczej ona jego. Raz, gdy „Orca” trafiła na lekką dmuchawę, zachował się całkiem kiepsko i Tracey śmiała się z niego. Nie dziwota więc, że się rozgniewał. A rzecz naturalna, jak chłop się rozgniewa, to pije, a kiedy Jego Wysokość pił, robi! się dość nieprzyjemny.

Taka to była Tracey, póki w kilka miesięcy później nie zdarzył się na „Arundclu” okropny wypadek — coś, co ją gruntownie odmieniło. Lecz zanim się to stało, nic nie sprawiało jej większej frajdy, jak irytowanie mężczyzn i nastrajanie ich do bójki. Walka — to lubiła najwięcej. Walka z koniem, walka z marlinem, walka z zawieruchą, walka z mężczyzną. Przyglądanie się walkom bokserskim, kogucim, walkom byków, im krwawsze tym lepiej. Kiedyś Thumbs powiedział do Glenna: — Gdyby Tracey była królową, nie byłoby ani jednego dnia pokoju dla jej poddanych, bo pokój ją nudzi. - A Glenn odpowiedział: — Tracey jest królową. — No tak, ale to było w czasie, kiedy się w niej durzył, a to dawne dzieje - a może terażniejszość?

— Teraz, gdy mamy wojnę, dopiero rozrabia — rzekł Thumbs i powiedział też, że jeszcze nic widział mężczyzny, który by nic szalał za nią, nie wyłączając jego samego. - W dodatku ona nie uznaje żadnych bzdur, żadnych lakierowanych paznokci, wysokich obcasów i innych wymysłów. Ale, chłopie, jak zechce, żebyś zwrócił uwagę, że jest kobietą — ma w sobie coś takiego, że wkoło trzaskają iskry, tak powietrze jest naładowane promieniami, wibracjami czy czymś tam innym, co nazywa się seks.

Więc tego wieczoru Tracey zapragnęła zabawić się w

mieście, a trzeba wiedzieć, co w owym czasie w Mazatlan nazywało się zabawą. Wtłoczyli się, do rozklekotanej taksówki: Tracey, księżę, Thumbs i lekarz — doktor Hakanson, cichy chłopak, najprawdopodobniej student medycyny, którego Tracey przygarnęła. Kierowca zawiózł ich do miejsca, które można by grzecznie nazwać dzielnicą rozrywkową, a gdzie co krok grzęźnie się w łajnie i błocie. Czarne świnie podbijają ludziom nogi, półnagie dzieci bawią się w rynsztokach o każdej porze dnia i nocy, a za połówkami drzwi licznych *pulquerías* i *cantinas* mężczyźni śmieją się, śpiewają i brzdąkają na gitarach. Osiołki stoją poprzywiązywane koło drzwi, podczas gdy ich właściciele piją, wszędzie drą się stare gramofony, ludzie śpią oparci o ściany, woły ciągnąc wózki człapią po błocie ulicy, dzieci żebrzą i wszędzie pętają się dziwki. Kazali taksówce poczekać na rogu, a sami przez chwilę krążyli na piechotę póki w końcu nie wylądowali w lokalu zwanym się „La Conchita”.

Był to chyba najlepszy lokal w owym czasie w Mazatlan, najlepszy, lecz nienadzwyczajny. Po prostu bar, kilka stolików, parkiet cztery na cztery i trzyosobowa orkiestra rzeźpoląca ile siły. Wzdłuż jednej ściany stały rzędem dziewczęta, bardzo wymalowane i z kwiatami we włosach. Obecni w lokalu mężczyźni to przeważnie trochę zamożniejsi Meksykanie, plus kilku marynarzy na przepustce w porcie i jeden samotny rybak, nie młody, ale wyelegantowany i niezmiernie dumny z pary nowych, strasznie fantazyjnych butów. Jeden ze stolików zajmowali amerykańscy turyści i gdy weszło gęsiego towarzystwo Tracey, patrzyli na nią z chłodną wrogością, krajowcy zaś jakby w ogóle jej nie zauważali — co stanowiło ich osobliwy wyraz grzeczności. Thumbs zaobserwował już nieraz, że wszystkie kobiety od razu zajmowały wrogie stanowisko wobec Tracey, i wcale ich za to nie potępiał. Jego rodzona matka patrzyłaby na nią z tym samym chłodnym wyrazem potępienia. Tracey miała na



sobie płócienne pantofle, białe portki i męską koszulę, rozchyloną przy szyi i ściśle opiętą na piersiach; gdyby nie to i gdyby nie buntownicza grzywa włosów barwy miodu, wyglądałaby jak bezczelny chłopak okrętowy.

Najbezpieczniejszym napojem w każdym porcie jest piwo i to właśnie zamówili. Książę, który wypił pokaźną ilość doskonałego koniaku na „Orca”, był w wyjątkowo paskudnym nastroju. Natychmiast zaczął udawać, że się okropnie interesuje dziewczętami po drugiej stronie sali. To, oczywiście, jeszcze nie wystarczyło, by wyrzeć wrażenie na Tracey. Ona sama, prawdę mówiąc, nie odrywała oczu od baru, utkwivszy wzrok w siedzącym tam mężczyźnie.

Mężczyzną tym był Glenn Hammers.

Ostatni raz Thumbs widział go w Vera Cruz. Kombinował wówczas coś, co miało związek z morszczykami. Miał pełną głowę pomysłów zorganizowania spółki, zakupienia jakiegoś starego szwedzkiego frachtowca i przewożenia morszczyków Bóg wie gdzie - chyba do Japonii. Zawsze można było spotkać Glenna w którymś porcie. Raz bywał na wozie, raz pod wozem, ale zawsze na tropie jakiejś niezwyklej przygody i zawsze wiązała się z nią myśl o kupnie statku.

Można by nazwać Glenna pełnym uroku włóczęgą portowym, tylko że żaden włóczęga portowy nie był ulepiony z tej gliny co Glenn. - Twardy i odporny — określił go Thumbs — i na wskroś porządny facet.

Tym razem nie wiodło mu się, to było jasne. Zapuścił brodę, śmieszny, prawie biały wiecheć na ogorzalej twarzy; jego białe płócienne ubranie było brudne, kilka guzików oberwanych, a dziurki od guzików wystrzępione. Najbardziej zaś uderzyło Thumbsa, że nie miał butów, tylko *guarachas*, tak jak ubodzy Meksykanie. A jedną z maksym Thumbsa było, że jeśli chcesz wiedzieć, jak nisko ktoś upadł, wystarczy spojrzeć na jego obuwie.

- Cóż cię tak fascynuje w tej włochatej małpie? I w

dotatku albinosie? — spytał księżę ujrzawszy, że Tracey przypatruje się Glennowi.

— Chciałabym z nim zatańczyć - odparła, nawet nie patrząc na męża. Nie odrywała wzroku od Glenna, który ze swej strony nie zwracał na nią wcale uwagi. Przyglądał się pilnie dziewczynie tańczącej na małym parkiecie.

Dziewczyną tą była Vida.

Thumbs widywał ją tu wcześniej, lecz nigdy z nią nie rozmawiał. Mimo charakteru tego lokalu, nie można było z nią ot, tak sobie, bez żadnych ceremonii porozmawiać. Miała w sobie coś, co trzymało mężczyzn na właściwym miejscu. Podobno było córką Tii Teresy, tłustej starej Indianki, właścicielki lokalu. Tańczyła dla gości „Conchity”, a czasem także i z nimi, nadzorowała dwóch kelnerów, występowała wobec gości jako gospodyni i w razie awantur stawała po stronie dziewcząt. Ale zdecydowanie nie była dziewczyną, do której można by podejść i powiedzieć prosto z mostu: — No, jak tam, mała?

Nie było w „La Conchita” kabaretu w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale gdy Vida zaczynała tańczyć inni automatycznie odstępowali na bok i przyglądali się jej tańcowi klaszcząc w dłonie i pokrzykując zachęcająco. Jej taniec nie był żadnym z tych podrobionych hiszpańskich tańców, jakie ogląda się w nocnych kabaretach o łacińskich nazwach w Nowym Jorku. Był dużo prymitywniejszy i o wiele żywszy, chociaż zarazem bardziej niewinny i przyziemny.

Miała na sobie jeden z tych strojów z Tchuantepec, w których kobiety wyglądają niby kwiaty, z szeroką falbaną z krochmalonej białej koronki na spódnicy i drugą taką samą wokół twarzy. Gdy się bliżej temu przyjrzeć, zaraz widać, że to, co ma na głowie, to zwyczajna dziecięca spódniczka z rąbkiem udrapowanym wokół twarzy i resztą opadającą swobodnie na plecy tancerki. Vida kompletnie zapamięty-

wała się w tańcu, a tupanie, klaskanie i pokrzykiwanie ze wszystkich stron robiło się coraz głośniejsze i bardziej podniecające z minuty na minutę.

Czy rozumiecie sytuację? Oto przy barze siedzi sobie Glenn i wolno sącząc piwo wpatruje się w tańczącą Vidę. Tracey wpatruje się w Glenna, jak by był czymś, co można złapać, upolować lub postrzelić. A na to wszystko patrzy jej mąż, który zaczyna być wściekły w ten swój wysoce oglądany sposób.

- Łazęga — powiada.

- Najwyraźniej — mówi Tracey nie odrywając wzroku od mężczyzny przy barze.

— Zapchlony.

— Bardzo możliwe.

— I zawszony.

— Zupełnie prawdopodobne.

— Pewnie śmierdzi jak lichy.

— Trudno temu zaprzeczyć. Idź no, kochanie, i zaproś go do nas na butelkę tequili. Albo szampana. Cokolwiek, czym ma ochotę się urządzić. Thumbs nie był pewien, czy Tracey chce tego naprawdę, czy tylko napuszcza męża na Glenna Hammersa. Thumbs nigdy nie lubił bijatyk, więc powiedział szybko:

— To drobiazg, jesteśmy starymi przyjaciółmi. Znam go od dziecka.

Zapytam, czy zechce się do nas przysiąść. — Z tymi słowami podszedł do baru i siadł koło Glenna, który początkowo wcale go nie zauważył, tak był pochłonięty patrzeniem na Vidę. Wodził za nią wzrokiem, a gdy skończyła tańczyć i wyszła z pokoju wśród głośnych pokrzykiwań mężczyzn, zaczerpnął głęboko oddech, jak by wypłynął na powierzchnię wody dla nabrania powietrza. A potem znowu gapił się na drzwi, w których zniknęła, nic chciał stracić ani chwili, kiedy ukaże się z powrotem.

- *Hiya*, Glenn — rzeki Thumbs i Glenn wreszcie go zauważył.
- *Hiya*, Thumbs — odparł tak spokojnie, jak by się właśnie umówili na to spotkanie w barze w Mazatlan. Thumbs spytał go, co teraz porabia, a on odrzekł, że woził turystów w głąb rzeki Santiago by polowali na aligatory; nocami kazał im rozbijać namiot w miejscu, które nazywał na użytek turystów „miejscem parzenia się aligatorów”. — Uważali to za bardzo niebezpieczne i ogromnie romantyczne
- rzekł z suchym chichotem. — Mieli potem o czym łągać wróciwszy do domu. Ależ śmierdziało w tych zaroślach, a na dodatek aligatory czkały całą noc.

Miał już wyżej uszu tego interesu, który w dodatku nie przyniósł mu pieniędzy. Ale po szklance tequili wrócił do życia i zaczął opowiadać o swym nowym zamierzeniu: jedzie do Nowej Południowej Walii popробować połowu rekinów na skalę handlową. Powiedział, że to się nieźle komuś tam udaje w miejscowości Pindimar, i czy Thumbs o tym słyszał, a jeżeli tak, to co o tym sądzi? Tak, odparł Thumbs, pamięta, że podobno jakiś facet odkrył wreszcie sposób konserwowania i wyprawiania skóry rekinów i że wykonane z niej torebki i pantofle stają się modne. Czy o to Glennowi chodzi?

Nie, powiedział Glenn, ma na oku coś całkiem innego, ale nic może jeszcze o tym mówić. Czeka na wynik pewnej korespondencji, a potem dopiero pokaże, co znaczy łowić rekiny. Brzmiało to trochę mgliście i Thumbs zaczął się zapatrywać na sprawę tym bardziej sceptycznie, im bardziej entuzjastycznie odnosił się do niej Glenn. Mówił dużo o kutrze z podwójnym dieselowym motorem, który chciał zakupić, a Thumbsowi zrobiło się żal swego przyjaciela. Glenn miewał zawsze podobnie fantastyczne plany, a każdy z nich sprowadzał się do marzenia o własnym statku. Ale naprawdę to Glennowi potrzebny był mostek kapitański porządnego kontrtorpedowca — nie włóczęga po wybrzeżu.

przez co nie było go stać nawet na parę butów. Thumbs w końcu przedstawi mu zaproszenie Tracey.

— Księżna pyta, czy nie zechciałbyś się do nas przasiąść? — rzekł ze sztywną poprawnością, wiedząc jak drażliwy bywa człowiek, który jest w nędzy.

— Kto? — spytał Glenn.

— Tracey. Tracey Cowles. Musiałeś słyszeć. Piszą o niej ciągle w gazetach. Jest właścicielką „Orca” — tego jachtu, na którym pływam. I chce cię poznać.

Glenn ma śmieszne oczy. mówił Thumbs. Całkiem jak by nie miały własnej barwy. Tak jak woda morska. Są w nich tylko refleksy: niebieskie, zielone, czarne.

Patrzył teraz na Tracey i miał bardzo jasne oczy, i można było w nich dostrzec każdą plamkę na siatkówce. Tracey bezczelnie odwzajemniła mu spojrzenie bez drgnienia powieki. Kiedy się jej przyjrzał od stóp go głów, odwrócił się znów do baru.

— Dziękuję ci, Thumbs powiedział. — Powiedz lej pani, że nie jestem zainteresowany.

— Słuchaj, Glenn, nie ma co się złościć. Tracey jest równym kompanem, i nic ci się nie stanie, jeżeli ją poznasz, Jak jest w nastroju, może ci zafundować całą flotę kutrów motorowych.

— Powiedz jej, niech idzie do diabła — odrzekł zniecierpliwiony, bo w tej samej chwili spoza scrape, wiszącego w drzwiach zamiast zasłony, wyszła Vida, zerwał się więc i ruszył w jej stronę. Ale przychwycił ją w drodze ów Indianin w nowych butach i wymieniwszy parę słów, zaczął z nią tańczyć. Glenn zapalił papierosa, by ukryć rozczarowanie, i pozostał przy parkiecie, czekając swej kolejki. Gdy Thumbs powrócił do stolika, ujrzał, że Tracey nadal wpatruje się w Glenna. Usiłowała zwrócić na siebie jego uwagę, a gdy się jej to nie udało, wpadła w złość.

Pokpiwała sobie nadal z męża, który wściekał się i pil

coraz więcej. Wreszcie wstai mruknawszy coś paskudnego po węgiersku. Wyglądało na to, że podejdzie i wywoła awanturę z Glennem. Zmienił jednak kierunek, wszedł na parkiet i próbował odebrać Vidę Meksykaninowi w średnim wieku, z którym właśnie tańczyła. Ale Vida najwyraźniej nie chciała tańczyć z Jego Wysokością księciem Barany, więc książę zachował się po chamsku i próbował zabrać ją partnerowi siłą. Znal wiele języków, ale hiszpańskiego nie, i zawsze, gdy wpadał w podniecenie, wracał do języka ojczystego. Powstał wielki hałas i poruszenie, dziewczęta piszczały, Meksykanin klął po hiszpańsku, turyści amerykańscy gwałtownie dopominali się o rachunek, książę wykrzykiwał groźby i przekleństwa, a marynarze zaczęli przysuwać się do niego w nadziei na porządną ogólną rozróbkę. Tracey lubowała się w podobnych rzeczach, siedziała więc spokojnie, uśmiechając się z błyskiem w oczach i papierosem w zębach. Wyglądała jak kocica siedząca pod drzewem w oczekiwaniu, kiedy sfrunie do niej ptaszek. Gdy Thumbs wstał, żeby załagodzić sprawę, chwyciła go za rękę.

— Zostaw — powiedziała. To zabawne.

Nagle jedna z dziewcząt na parkiecie wrzasnęła przenikliwie i w rękę Meksykanina błysnął nóż.

Wśród całej tej wrzawy i podniecenia Vida zachowywała się bardzo spokojnie. Zawsze, zwłaszcza gdy napięcie dochodziło do punktu kulminacyjnego, cechował ją spokój.

— Nie bądź głupi, ty... — powiedziała do księcia łamaną angielszczyzną

— Daj mi ten nóż, Manuelito równie spokojnie do Meksykanina.

Meksykanin niechętnie opuścił rękę z nożem, lecz książę był już zbyt pijany, żeby ustąpić. A może byłby ustąpił, gdyby Tracey nie zawołała czegoś, co zabrzmiało jak trzaśnięcie z bata. Było po francusku, Thumbs więc tego nie zrozumiał, ale Laheziego doprowadziło do szału. Odwrócił się do Meksykanina i zaczął drzeć się na Vidę, a choćby kto nie znał

nawet ani francuskiego, ani węgierskiego, zaraz by się domyślił, że obrzucał ją obrzydliwymi wyzwiskami.

Dopiero wówczas Glenn podszedł i stanął przy Vidzie, chociaż podobnie jak Thumbs nie znosił burd. Zawsze tak bywa, że ludzie znający własną siłę niechętnie biją się bez uzasadnionego powodu.

— Zostaw tę dziewczynę;., ty... — rzekł biorąc Vidę za rękę, żeby odprowadzić ją na bok, ona jednak oparła mu się.

— Lepiej odejść, dobrze? — powiedziała do niego łagodnie. — To ciebie nie dotyczy. Sama dam sobie radę.

Glenn postać chwilę wahając się, potem wzruszył ramionami i skierował się do baru. Wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby w tej chwili księżę nie zamierzył się pięścią w twarz Glenna. Glenn odparował cios nonszalancko i rzekł:

— Odczep się. Nie walczę z pijanymi. Księżę raz jeszcze zamierzył się na Glenna, krzycząc coś po francusku, i Glenn znów go odepchnął mówiąc ze spokojem: Dobra, niech będzie, że jestem tchórzem, ale mimo to nie walczę z ludźmi, którzy mi nie dorównują wagą. — Vida próbowała odciągnąć księcia od Glenna i nagle Thumbs ujrzał, jak Barany obraca się na pięcie i bije Vidę po twarzy. W następnej chwili rozpętało się piekło. Glenn trzasnął go tylko jeden jedyny raz i księżę gruchnął jak długi na ziemię. W ręku Manuela znowu błysnął nóż, dziewczęta piszczały, mężczyźni zaczęli się pchać na parkiet, a księżę oszalały ze wściekłości czy strachu chwycił za rewolwer, który zawsze nosił przy sobie w kieszeni.

Tracey wskoczyła na krzesło, żeby móc lepiej widzieć, zupełnie jak na finiszu podczas wyścigów konnych. Glenn wybił księciu rewolwer z dłoni i jednocześnie stuknął go lewą pięścią. Potem już Thumbs nie wiedział dokładnie, co się działo, poczuł tylko, że pora wziąć udział w walce. Nawet łagodny doktor Hakanson skoczył nagle na arenę, rozdając i otrzymując ślepe ciosy. W gruncie rzeczy nie udało się nigdy

ustalić, czy to nóż Manuela zranił Glenna, czy kufel od piwa, który Hakanson rozbił na jego głowie.

Fakt faktem, że w końcu znaleźli się na ulicy, wlokąc za sobą skrwawionego Glenna. Słyszeli przenikliwy świst policyjnego gwizdka, potykali się o psy i świnie i zapadali w bagno rynsztoków. Dał się słyszeć tupot wielu stóp, więc Tracey zorganizowała spieszny odwrót.

— Szybko do taksówki! — krzyknęła oszołomionym mężczyznom. —

Nie mam zamiaru spędzić nocy w areszcie, a już najmniej w areszcie w Mazatlan. - Nadal uważała, zdaje się, to całe wydarzenie za wcale zabawną rozrywkę, choć miała w swym towarzystwie dwóch

poszkodowanych: swego Lahszi, który zwisał zamroczony z ramienia doktora Hakansona, i Glenna Hammcrsa, którego Thumbs wyciągnął z „La Conchity”, kiedy się pod nim ugięły nogi. Glenn miał paskudne

cięcie na czaszce, przebiegające od czoła przez całą głowę aż do szyi.

Rana krwawiła obficie czyniąc z włosów i brody lepki, rdzawy kwacz.

Tracey i Thumbs wzięli go pod ramiona, dźwignęli na nogi i w ten sposób dowlekli do taksówki. Człapanie łapci krajowców słysząc już było bardzo blisko, toteż uciekli w samą porę. Kierowca wiózł swój ładunek do portu,

czyniąc straszliwą wrzawę trąbieniem. Glenn był nadal całkiem

nieprzytomny, więc Tracey położyła jego kołyszając się bezwładnie

głowę na swoich kolanach i wkrótce jej białe spodnie przesiąkły krwią.

Książę już oprzytomniali mruczał coś po francusku, lecz ona nie zwracała

na niego uwagi.

Bączek stał przycumowany do mola, zbudzili więc śpiącego marynarza i

szybko odbili od brzegu. Dobrze było znaleźć się znów na wodzie po

awanturze w „La Conchita”. Złoty księżyc wisiał nad skałami Tortuga

niby plasterek cytryny w napoju chłodzącym. Gdy wypłynęli poza wąski

kanal między czerwonymi i zielonymi bojami świetlnymi, woda zrobiła

się czarna, połyskująca żółtymi, pełgającymi



odblaskami księżyca. „Orca” zajaśniała białą, schludnie i zgrabnie, w chwili gdy na sekundę objął ją promień latarni Creston. Noc pozbawiała człowieka wszelkiego poczucia odległości. Tracey zanurzyła chusteczkę w wodzie i chciała przemyć ranę Glenna, lecz Thumbs powiedział:

— Nic wolno. Ta woda jest pełna bakterii. Lepiej niech krew zakrzepnie.

Tracey ciągnęła chustkę po wodzie, a Hakanson zauważył:

- Jeśli poczują krew, w jednej chwili wsiądą nam na pięty.

— Kto? Meksykanie? — zapytała Tracey.

- Nie. Rekiny — odparł Hakanson.

— Lubię rekiny — powiedziała Tracey. Są takie głupiutkie. I takie szczerze. Na Węgrzech nie ma rekinów, prawda, Lahszi?

Na dźwięk słowa „rekiny” Glenn Hammers nagle oprzytomniał, jak by usłyszał sygnał pobudki. Usiadł, potrząsnął głową i zaczął grzebać w kieszeni szukając fajki, ale jej nie znalazł.

Rekiny są bardzo pożytecznymi zwierzętami - powiedział z ożywieniem.

To jego nagłe zmartwychwstanie było takie śmieszne, że wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet ponury książę. Glenn patrzył na nich po kolei, nadal jeszcze oszołomiony, najwidoczniej usiłując zrozumieć, z czego się śmieją. Tracey, nie odrywając od niego oczu, wyciągnęła z kieszeni tytoń i bibułkę, zwinęła skręta, zapaliła, zaciągnęła się nim raz i włożyła Glennowi do ust.

- Masz — powiedziała. — To ci dobrze zrobi.

Dziękuję — rzeki wdychając dym. — Dziękuję. — Wierchem dłoni spróbował otrzeć krew, która wciąż spływała mu po twarzy.

- Nic, nic — powiedziała Tracey łagodnie. — Boli? Doktor zaraz się tym zajmie.

Glenn przyglądał się jej bacznie, ona zaś uśmiechała się do niego.

— Ach, więc to pani — rzekł. — Cóż? Pani wygrana.

— Proszę nam powiedzieć coś jeszcze o rekinach -poprosiła. Co w nich jest pożytecznego? Czy, dajmy na to, można takiego nauczyć, żeby zjadł teściową?

— Na przykład skóra — powiedział. — Można dostać duże pieniądze za dobrą skórę. 1 można wytopić tran z wątroby. Trzy peso za pięć galonów.

— Zawsze myślałem, że tran robi się z wieloryba — rzekł Hakanson.

— Bo jest pan lekarzem — odparł Glenn. — Nie wie pan tego, co wiedzą krajowcy. Im większy i lepszy rekin, tym więcej i tym lepszy tran.

— Proszę nam powiedzieć jeszcze coś o rekinach — poprosiła Traccy. — Czy przywiązują się do człowieka? 1 czy można je nauczyć, żeby wyławiały ustrzelone ptactwo z wody? A jak właściciel umrze, to odmawiają przyjęcia pokarmu?

- Jeśli są takie pożyteczne, to czemu się ich nie hoduje na farmie rekiniej?

— spytał Hakanson podchwytnym kpiarskim tonem Traccy.

Glenn ich nie słuchał. Patrzył przez zatokę na szybko przybliżającą się „Orca”.

— Co to? — spytał.

— To jacht, złotko — odparła Traccy uprzejmie. — Takie urządzenie, na którym ludzie pływają po wodzie. Nie widziałeś nigdy statku?

Glenn nic odpowiedział, tylko spojrzał na nią. W wyrazie jego twarzy było coś tak ponurego, gorzkiego i wzgardliwego, że — zdumiewająca rzecz — Traccy spuściła oczy. Nawet jej rzęsy miały kolor miodu.

Nie kładli się spać tej nocy. Siedzieli na pokładzie słuchając plusku ryb i widzieli, jak księżyc blednie i wstaje słońce w

kłębowisku zielonkawych chmur, jak by ktoś wysypał koszyk niedojrzałych jabłek. Pili, palili papierosy i rozmawiali, i znów pili, i znowu rozmawiali. Traccy odprowadziła męża na bok, a gdy powrócił; zupełnie wytrzeźwiały i odświeżony, grzecznie przeprosił Glenna i skłonił go, żeby zszedł z nim do kajuty, wziął prysznic i ubrał się w jedno z jego własnych lnianych ubrań.

— Żałuję, że nie mogę panu zaproponować butów, ale moje będą dla pana za małe — rzekł cierpko, lecz okazało się, że nie są za małe, i to przyprawiło księcia o jeszcze gorszy humor, bo chlubił się swymi małymi dłońmi i stopami. Rasowe konie, a także rasowi mężczyźni mają małe stopy, mawiał w zachwycie nad własnymi. Ale Glenn Hammers mógł się poszczycić też niezłym rodowodem. Zresztą wcisnąłby się w te buty, choćby miał skonać; by tylko zrobić księciu na złość.

Dziwny był moment, kiedy Glenn wyszedł potem na pokład, czysty, świeży i elegancki, ze zgoloną brodą i zajodynowaną i zaklejoną plastrem raną na głowie. Nie wyglądał już ani trochę na włóczęgę. Thumbs zauważył, że Traccy szybko wyjęła szminkę i pomalowała sobie usta, czego nie robiła od wyjazdu z Cataliny. Ale na Glenna to nie podziałało. Nie zwracał na nią uwagi, oglądał tylko jacht. Człowiek, który zna statki i morze, ma w sobie coś, co zdradzi go w każdym przebraniu, gdy tylko stanie na pokładzie. Kiedy Glenn oglądał i dyskutował z Thumbsem na temat „Orca”, Traccy przypatrywała mu się uniósłszy lewą brew, co było jej zwyczajem, gdy wpadła na jakiś trop.

- A więc pan wie jednak, co to statek — powiedziała w końcu, kryjąc się za smużkami dymu, który wydmuchiwała nosem.

- Nie sądzisz, że już pora, abyś przedstawił mnie księżnej, Thumbs? rzekł Glenn kładąc taki nacisk na tytule, że zabrzmiał jak obelga.

— Tracey — powiedział Thumbs — to jest kapitan Glenn Hammers. Jesteśmy od dzieciństwa przyjaciółmi, obaj związani w pewnym sensie z flotą. Jego ojcem był admirał Hammers, a moim Jake Thumborn, konstruktor okrętów.

— Ooo... — powiedziała Traccy i opanowała się. — O, to teraz wiem, kto pan jest. Czarna owca Hammersów z San Francisco?

— Tak. To chyba wszystko świetnie podsumowuje.

— Jestem zachwycona znajomością z panem, kapitanie. Słyszałam o panu najrozmaitsze opowieści. Powinniśmy się spotkać dużo wcześniej. Sądzę, że mamy wiele wspólnego.

Na przykład co?

— Na przykład to, że nic jesteśmy zdolni siedzieć spokojnie, słuchać rozkazów i wieść bezpieczny, normalny, nudny żywot jak inni ludzie. Nam jest potrzebne poczucie niebezpieczeństwa, prawda?

Glenn wzruszył ramionami, ale słowa Tracey zajęły go.

— Czy to za to postawiono pana przed sądem wojskowym i wylano z marynarki? — spytała szybko Tracey.

— Muszę panią rozczarować. Po prostu wystąpiłem — bez zbytniego poszkodowania na honorze. Po zatuszowanej bójce z jednym sukinsynem, marnym pijaczyną komandorem. Rzecz naturalna, powstało trochę hałasu w rodzinie, bo Hammersowie zawsze ślubowali żyć w nierozdzielnych więzach z flotą, więc wyjechałem, żeby oszczędzić im wstydu.

— Ale wstąpił pan do gangu i zajmował się przemytem rumu?

— - Niestety, kiedy wystąpiłem z marynarki, złoty wiek prohibicji już się skończył. Słyszała pani fałszywą wersję mojej biografii.

— No, to dlaczego pan wystąpił? Czy to może tajemnica? Glenn znów wzruszył ramionami. Cisnął papierosa za

burtę i śledził wzrokiem łuk, który zatoczyła iskra, póki nie zgasła w wodach zatoki.

— Powiem pani dlaczego — rzekł nagle zwracając wzrok na Tracey. - Bo marynarka mnie znudziła. Tak mnie znudziła, aż miałem wrażenie, że gniję od wewnątrz. Nic, tylko rutyna, rutyna, rutyna. Prowadzenie ksiąg i podpisywanie nad wykropkowaną linią, wypełnianie druczków, blankietów i innych bzdur w trzech egzemplarzach. Trzeba tylko słuchać rozkazów i czekać, kiedy się skończy pięćdziesiątkę, żeby zostać komandorem i cierpieć na obstrukcję jak większość z nich. Gdybym chciał żyć jak marny urzędnik-czyna pocztowy albo bankowy, nie potrzebowałbym iść do marynarki. To mi się wcale nie uśmiechało i nie było tym, co nam mówiono w Annapolis.

— I nigdy nic żałował pan tego kroku?

- Ani przez chwilę — odparł i coś się wewnątrz niego zatrzasnęło. — Wiodę ściśle i dokładnie taki żywot, jaki mi odpowiada.

— Czy rzeczywiście? — zapytała.

— Rzeczywiście!

Podniosła się i przez chwilę stała tuż przy nim z ręką opartą lekko na jego ramieniu. — Ale nadal nie ma pan tego, o czym pan marzy.

Niebezpieczeństw. Przygód. Nie stoi pan na mostku i nie prowadzi statku przez porządną, ostrą wichurę. Lubi pan żeglować. Lubi pan statki. I nie ma pan żadnego.

- Istotnie, lubię statki — rzekł Glenn. Ale proszę mnie nie pytać o moje marzenia. To, o czym marzą mężczyźni, nie jest przeznaczone dla kobiecych uszu.

Tracey udała, że nie słyszy zuchwalstwa. Stojąc poza nim lekko dotknęła jego włosów wokół rany, gdzie Hakanson ich nie zgolił.

- Jestem zmęczona - powiedziała. Pójdę się teraz zdrzemnąć i trochę pomarzyć. Proszę nic pytać o czym ani

0 kim. Myślę, że kiedyś jeszcze może zamienimy swoje marzenia albo zmierzmy je i zobaczymy, czyje są silniejsze. Dobranoc, kapitanie — a raczej do widzenia.

— Rany, ona jest śliczna rzeki Glenn, kiedy odeszła. - Księżna? Tak, jak chce — powiedział Thumbs.

— Głupiś. Ja mówię o „Orca”

Nazajutrz po burdzie mieli się udać na Ravillagiedos

1 Thumbs się niecierpliwił, bo gdyby nie wyruszyli przy przyptywie, nie daliby rady przejść nad płycizną. Tracey zdrzemnęła się w swej koi, Glenn spał w salonie, a Thumbs kręcił się przy motorze z oliwiarką. Jedząc papaje na śniadanie Tracey powiedziała nagle nieco zbyt non-szalancko:

Czy nie zechciałby pan, kapitanie, spędzić z nami tygodnia? W kajucie Thumbsa jest wolna koja, a podobno wyspa Clarion jest istnym rajem dla rybaków.

Kiedy zobaczyła, że Glenn waha się z odpowiedzią, szybko dodała: — Mój mąż jest zachwycony pańskim towarzystwem. Mogę zapewnić, że rozerwie się pan wyśmienicie, i ręczę, że złapie pan największego w życiu marlina.

Bardzo mi przykro — odparł Glenn sztywno - ale w związku z pewną niezwykle ważną sprawą muszę pozostać w Mazatlan. Poza tym marny byłby ze mnie pasażer na rejsie wycieczkowym; mam pożałowania godną słabość do pływania własnym statkiem.

Tracey zaczęła się złościć; wciąż się uśmiechała, lecz nozdrza jej zbladły i wyglądały jak z wosku na opalonej twarzy — zawsze tak bywało, gdy sprawy przybierały niepomyślny dla niej obrót.

— To bardzo źle, kapitanie, bo obawiam się, że już za późno — powiedziała i rzeczywiście „Orca” zaczęła już drzeć od pracy motorów i kotwica poszła w górę. — Gdybym

wiedziała wcześniej, odesłałabym pana na łód bączkiem.

— Och, proszę się nie martwić, księżno rzekł Glenn. — Mogę się dostać wpływ na łód. To głupstwo.

Podszedł do barierki i zaczął ściągać koszulę, odpowiadając w ten sposób na jej bluff własnym nieco melodrama-tycznym bluffem, z rodzaju tych, jakie mógłby stosować wobec turystów, których woził na polowanie na aligatory. Tracey, jednakże, o dziwo, dała się nabrać.

— Co robisz! Ty durniu! Tu pełno rekinów! — krzyczała, a widząc, że on się tylko śmieje i stanąwszy na barierce gotuje się do skoku, chwyciła go wpół, by ściągnąć na pokład. — Thumbs, zatrzymaj motor — uwaga...

Och, ty durniu, ty zakuty łbie, nieznośny, zwariowany durniu... — dyszała, płakała i wymyślała trzymając go cały czas. Mocowali się, bili, zmagali; to już nic był bluff, już nic kpiny, tylko coś śmiertelnie poważnego, jak poważne są zwierzęta — samce i samice w sporach, kto silniejszy. Walczyli w ciszy, z ciałem przywartym do ciała i słychać było tylko ich gorące, szybkie oddechy. Nagle doprowadzona do szalu Tracey wydawszy nieartykułowany okrzyk wbiła zęby w ramię Glenna.

- Ty suko! krzyknął, bo w zaskoczeniu stracił równowagę na barierce i spadł na pokład. Było to poniekąd zwycięstwem Tracey. Zdusił ją na moment tak wściekłym, silnym uchwytem, jak by chciał jej zgrucholać kości, a potem odepchnął i zakrył dłonią znak, który pozosławiły jej zęby na jego ramieniu. - Wasza Wysokość jesl najzwyklejszą suką powiedział. W tej samej chwili na schodkach wiodących do kajut ukazał się książę. Miał skacowaną twarz i mrugał powiekami w ostrym świetle ranka.

— Wołałaś mnie? Co się stało?

Nic, kochanie. Kapitan Hammers chce się z tobą pożegnać. Thumbs, powiedz któremuś z chłopaków, żeby odwiózł kapitana na brzeg — powiedziała nonszalancko

Traccy krzyżując ręce na piersiach, gdyż w czasie walki rozpięła jej się koszula.

— Naprawdę? Musi pan nas porzucić, kapitanie? Jaka szkoda — rzekł jej mąż niezwykle uprzejmy i schorowany po nocnej pijatyce.

- Strasznie mi przykro, ale niestety tak. Bardzo dziękuję za gościnne przyjęcie — odparł robiąc z całego zajścia żart.

Kiedy Glenn stał obnażony do pasa i czekał na spuszczenie łodzi, okazało się, jaki był wynędzniały - sama skóra i kości. Miał sińce pod oczami, a na ramionach gęsią skórę, trząsał się i krew na nowo sączyła się przez bandaż na głowie.

Nietęgo się czujesz. Napijesz się? — spytał Thumbs. gdy Glenn miał zeskoczyć do bączka, ale on tylko się uśmiechnął.

— Pewnie mam trochę gorączki od tego zadrapania. Mam nadzieję, że io nie wścieklizna. Ktoś powinien wziąć Jej Wysokość na smycz i oduczyć gryzienia obcych ludzi. No, chyba się jeszcze zobaczymy...

„Kto wie” — pomyślał Thumbs. Patrzył, jak Glenn odpływa. Wygląda! na wynędzniałego strasznie zmęczonego. Istotnie, Glenn Hammers miał nieobliczalny sposób pokazywania się na nowo i to w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Z drugiej strony, tacy jak on mają niewielkie szanse na długowieczność, jak to określają agencje ubezpieczeniowe. I rzeczywiście, byłby skonał w ciągu następnych dwóch tygodni w Mazatlan, gdyby nie Vida.

W owym czasie Glenn Hammers mieszkał w lichej gospodzie „El Aguila”, lecz nie ze względu na jej egzotykę, tylko na własną sytuację finansową. Był winien señor Hernandezowi za dwutygodniowe mieszkanie, utrzymanie i oddał mu się w pewnym sensie w zastaw, siebie i tajemniczy list, którego oczekiwał każdej chwili, a który miał go postawić na nogi.



Doczekał się jednak nie listu, lecz bardzo osłabego ataku malarii. Łomocące bóle głowy, palenie w żyłach jakby od miliona lodowatych igieł, dreszcze, drżenie, dygotanie w ucisku febry. Potem przez głowę przewalały mu się cale piekła delirium, zatracił całkiem poczucie rzeczywistości, nękały go wściekłe zmary, z którymi walczył skręcając się w konwulsjach, z czego nie zdawał sobie sprawy. Czasem przytomniał w stanie całkowitego wyczerpania i stwierdzał, że leży we własnym łóżku, chłodnym i mokrym od potu. Poznawał lichy pokoik, ściany, na których niezliczone skorpiony, rozduszone przez poprzednich lokatorów, tworzyły niesamowite desenie. Dotykał pulsującej rany i zachodził w głowę, kiedy, jak i gdzie ją zdobył - co stanowiło jeszcze jedną udrękę. Gorączka wyostrzyła jego zmysły, nieznośnie dokuczała mu mieszanina różnych smrodów, co często ludzie odczuwają przed popadnięciem w obłąd. Ciekące rury kanalizacyjne, gnijące ryby, ludzie oddający mocz pod jego oknem, smród milionów zdechłych termitów, które wyroiły się nocą, a których malutkie rozkładające się ciała zalegały rankiem jego prześcieradło. Potem znów ruszały ku niemu ze ścian rozgniecione skorpiony, włochate tarantule, ogromne pająki, czkające aligatory, rozpoczynało się piekło delirium i znowu zaczynał szaleć.

Kiedy Hernandez mimo swej stukilogramowej tuszy nie mógł utrzymać szalejącego w gorączce na posianiu, wezwał do pomocy przyjaciela, który właśnie przywiózł ryby do kuchni, niejakiego Manuela Perez. Przypadek sprawił, że był to ten sam człowiek, który tańczył z Vidą w „La Conchita” i pałał chęcią wymordowania wszystkich *gringos\**, teraz jednak czuł dla Glenna tylko jakąś posępną, indiańską litość.

Gringos — 1. mn. od gringo — tak zwą w Meksyku cudzoziemców, zwłaszcza Amerykanów i Anglików.

Mężczyźni siedli na piersi i udach chorego *gringo*, lecz ten straszliwą siłą szaleńca zrzucił ich obu, porwał się z łóżka, powstał ułamek sekundy na nogach i po chwili leżał na podłodze jak stara wymiętoszona skarpetka.

— Ten sukinsyn skona mi tu na rękach — rzekł Hernandez zegnając się.

— Jest w kiepskim stanie — przyznał Manuel podnosząc Glenna z podłogi i rzucając z powrotem na łóżko.

- Umrze w moim domu! Nie może być! *Gringo!* A wtedy zacznie się istne piekło! Z policją! Z Bstados Unidos, z konsulatem, z władzami! — wrzasnął Hernandez tak zrozpaczony, że Manuel nieśmiało poddał myśl, żeby może przewieźć tego *gringo* do szpitala.

Do szpitala? Człowieku, czyś ty zwariował? A któż zapłaci za pogrzeb?

— krzyknął Hernandez nic wątpiąc ani przez sekundę, że szpitale to jedynie przedsiönki cmentarzy.

Uspokój, się, przyjacielu — powiedział Manuel. -Poproszę Vidę, żeby przyszła. Jeśli kto jest w stanie uratować tego *gringo* od śmierci, to tylko Vida Pachuela ze swym pudełkiem tajemniczych leków.

Ach, ta? Jedna z dziewcząt Tii Teresy? — spytał Hernandez z drwiną, jak przystało na przyzwoitego obywatela, ale zarazem lubieżnie kreśląc w powietrzu dłońmi bardzo nadobne kształty kobiece. Co ona może mu pomóc? Jemu wcale nie do tańca.

Ona go wyleczy. Jeden mądry stary ślepiec nauczył ją tajemnych leków — odparł Manuel i odszedł pośpiesznie. Powrócił niebawem wiodąc triumfalnie Vidę, w samą porę, aby pomóc nieszczęsnemu *patron* „El Aguila” podnieść się z podłogi, gdzie go rzucił Glenn Hammers w nowym wybuchu delirium.

Vida, bardzo drobna, cicha i bardzo rezolutna, powiedziała coś szeptem szalejącemu *gringo*. Położyła jedną dłoń na jego czole, a prawą przeżegnała go. Kazała mu leżeć

spokojnie i patrzeć na nią. *Gringo*, o dziwo, natychmiast się uspokoił. Otworzył rozgorączkowane oczy, a kiedy poznał drobną postać o twarzyczce w kształcie serca pod ciemnym rebozo, uśmiechnął się szepcząc jej imię. Usta miał spękane, język czarny i suchy jak węgiel drzewny. Vida poprosiła

o zimną wodę i wcisnęła do niej sok z cytryn, które przyniosła z sobą. Napoiła go, obmyła mu twarz i oczyściła zaognioną i zakażoną ranę na głowie: proste usługi, które przyjął z uległością nowo narodzonego albo konającego.

Ale gdy tylko opuszczała go, zaczynał znowu szaleć, gorzej niż przedtem. Wtedy to właśnie Vida kazała Manuelowi sprowadzić taksówkę i zabrała Glenna do domu Tii Teresy.

Ilekczo Glenn miał chwilę przytomności w ciągu następnych trzech dni i nocy, za każdym razem widział Vidę siedzącą u łóżka, jej wpatrzone w niego czarne indiańskie oczy, poważne i pełne współczucia. Obok, na stoliku, stała tandetna figurka Matki Boskiej z Guadalupe, a migotliwy płomyk osłonięty rubinowym szkiełkiem kładł łagodny blask na czarnogranatowych włosach Vidy, malował zarys jej wysoko osadzonych kości policzkowych i czepiał się iskierką czubków gęstych długich rzęs. - Vida? Jesteś tu, Vida? szeptał wówczas, nie całkiem pewny, czy to sen czy rzeczywistość.

— Tak, señor. Jestem na twoje usługi — odpowiadała ona i dotykając wierzchem palców jego czoła sprawdzała gorączkę. Przypominał sobie, że w podobny sposób robiła jego matka, kiedy chorował w dzieciństwie. Uśmiechał się z zadowoleniem i zamykał oczy. Rana na głowie nie jątrzyła się i już nie gorączkował. Większość czasu zabierał mu krzepiący sen.

Ale po upływie jeszcze kilku dni minęło błogie wyczerpanie

i Glenn zaczął się niepokoić i niecierpliwić. Ważny list wciąż nie nadchodził. Co rana wysyłano Manuela na pocztę, lecz zawsze wracał z wyrazistym wzruszeniem ramion i próżnymi dłońmi.

— *Nada?*

— *Nada*, señor. Nic.

Manuel kręcił się koło Vidy, za bardzo, zdaniem Glenna, który nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że owe drobne bolesne ukłucia, odczuwane podczas częstej obecności Manuela, oznaczały zazdrość. Taka, na przykład, głupia sprawa z broszką. Niepozorną broszką z sześcioma nierównymi, lecz prawdziwymi perełkami. Glenn byłby jej nawet nie zauważył, gdyby nie zdobyła jednego z punktów strategicznych małego, ale kształtnego ciała Vidy. Otóż któregoś dnia znikła.

— Zgubiłaś swoją śliczną broszkę, Vida?

— Nie, señor. Ofiarowałam ją Świętej Dziewicy. Obiecałam złożyć ją w ofierze, kiedy byłeś bardzo chor}, i widzisz. Matka Boska ciebie uzdrowiła, tak?

— Tak. Rozumiem... — odrzekł Glenn rozbawiony, wzruszony i zakłopotany. — Ty mnie, a ja lobbie? Można by powiedzieć, małe podkupienie Najświętszej Dziewicy... Jestem ci więc teraz winien nową broszkę. Czy może wolisz naszyjnik z pereł?

— Proszę się nie kłopotać, señor. Manuel powiedział, że da mi lepszą, jak pojedzie znów na połów pereł do La Paz. To były liche pereł, i tak nie mógłby ich sprzedać.

Glenn zastanowił się chwilę nad jej słowami.

— Więc Manuel jest obecnie twoim faworytem?

— Nie rozumiem cię, señor. Wybacz, że jestem taka głupia, ale bardzo mało mnie uczono i rozumiem tylko proste słowa. Pytasz, czy z nim śpię? Nie, señor. Czy go lubię? Tak, lubię. To dobry człowiek. — Zwróciła swoje spokojne spojrzenie na Glenna. — Chce się ożenić ze mną, jak tylko zdoła odnaleźć żonę.

— Czekaj no... a cóż to ma znaczyć? Jak... jak tylko co?...

— Ona uciekła od niego z kelnerem z hotelu Colonial. Manuel, naturalnie, nic może się w uczciwy sposób ponownie ożenić, póki się z nią nic rozwiedzie, a jak może się rozwieść, jeżeli nie wie, gdzie ona jest. Glenn rozważył ten cały galimatias, który dla meksykańskiego umysłu wydawał się tak prostą sprawą.

- Czy wiesz, Vida, że słowem, którego najczęściej używasz, jest „naturalnie”? — spytał uśmiechając się.

Tak, naturalnie, ale... — powiedziała i zaczęła śmiać się sama z siebie.

— I, naturalnie, jeżeli Manuel, Boże broń, odnajdzie swoją żonę, wyjdiesz za niego za męża?

Jakże inaczej, señor? Jego trzech malcy potrzebują matki. Chiquitín miał zaledwie sześć miesięcy, kiedy ta hczwstydnica uciekła z piersiami wezbranymi mlekiem. Musieliśmy karmić dziecko mlekiem kozy, żeby nie umarło. To bardzo smutne, że w naszym kraju umiera tyle dzieci — powiedziała. — Słyszałam, że w twoim jest inaczej, tak, señor? — Złożyła ręce na kolanach i spoglądała z góry na małą wieżyczkę, którą tworzyły jej palce, jak zwykle, gdy jakaś rzecz wymagała głębokiego przemyślenia. „Śmieszne — myślał Glenn jak dobrze ją znam, jak bliskie stały mi się jej drobne nawyki w tak krótkim czasie”. Podniosła głowę i popatrzyła prosto w jego oczy. — Tak się stało, że jeszcze niedawno byłabym bardzo rada zostać żoną Manuela -powiedziała. — Ale teraz? Teraz naprawdę nie wiem. — Szybko, jak by chcąc zatrzeć to, co powiedziała, szepnęła: — A teraz, jeżeli pozwolisz, ubiorę się w swój strój i nim wyjdę do pracy, przyniosę ci jeszcze czekoladę, żebyś dobrze spał.

Pokój, w którym Vida pielęgnowała Glenna, znajdował się po przeciwnej stronie *patio* niż front domu, gdzie co wieczór pełno było i głośno. Glenn czuł dudnienie, szarpanie strun

i rzepolenie w drzeniu grubych, starych ścian. Czasami myśli, że tam, po drugiej stronie, Vida tańczy, nie pozwalając mu zasnąć. Kubek gorącej jak ukrop przyprawionej korzeniami czekolady, którą mu przynosiła przed wyjściem do pracy, stał się codziennym wieczornym rytuałem, takim samym, jakie wykonują matki, zanim ułożą swoje niesforne pociechy do łóżek.

— Dobrej nocy, señor. Obyś spał dobrze i miał słodkie sny - mawiała Vida schylając się nad nim w swoim stroju z Tehuantepec, którego lekki zapach bielonego w słońcu płótna i krochmalu przywodził wspomnienia pierwszych niezdarnych, pełnych podniecenia weekendowych eksperymentów z pokojówką. - Muszę iść do pracy.

— Ładna mi praca. Mnie się wydawało, że taniec jest dla ciebie największą radością i zabawą. Czy to tylko zwykła komedia i szwindel?

— Nie rozumiem, señor. Jaki może być szwindel w tańcu?

— Och, na miłość boską, wiesz przecież! Rozpalić i zawrócić gościom głowy, skłonić do picia, do wydawania pieniędzy... wcale nic mówię, że otrzymują za nie zbyt mało, ale...

Na jasnym czole Vidy pojawiły się maleńkie zmarszczki, jak zawsze, kiedy ważyła jego pytanie i zastanawiała się, co odpowiedzieć. Glenn lubił te śmieszne trzy zmarszczki, poważne, przebiegłe, niewinne. Małe kocięta również je mają.

- Dziewczęta, naturalnie, też muszą zarabiać na życie, señor, muszą płacić za jedzenie, nie? Mają obowiązki względem swoich rodzin. Jedne muszą się opiekować starą matką, inne dziećmi, a wszystkie mają mnóstwo małych siostrzyczek i braciszków i prawie każda z nich ma męża, który ją bije na kwaśne jabłko, jeżeli nie dość zarabia. Wiesz przecież, señor, jak to jest. Ileż wydają pieniędzy na samo mydło o pięknym zapachu!

Jakżebym chciała ulżyć im w ich doli — rzekła składając dłonie w geście gorącego życzenia.

— Nie mówiłem o dziewczętach, mówiłem o tobie -odparł Glenn zniecierpliwiony, zagniewany. Był dzieckiem generacji pozbawionej złudzeń, co uzupełnił jeszcze własnym osobistym sceptycyzmem, nabytym w wielu portach i rozlicznych tarapatach. „Nie ma ludzi bardziej sentymentalnych niż zawodowe tancerki z sal tańca — mówił sobie. — Każda ma w zanadrzu jakieś nieszczęśliwe dzieje. Nie bądź głupi, nie wierz ani słowu, nie daj się złapać na te najstarsze kawały. Ciekawym, co ona chce przez to uzyskać. Jeszcze jedną broszkę z pereł od Manuela - a co ode mnie! Niech to wszyscy diabli, kupię jej diamentową tiarę, jak przybędzie list z kontraktem. Przyozdobię ją niczym choinkę w święta, jeśli jej na tym zależy” - myślał zły aż do bólu.

Popatrzył na Vidę i cały starannie wzniesiony gmach jego sceptycyzmu rozsypał się bezdźwięcznie. Pozostał jedynie fakt, że Vida zabrała go do swojego pokoju, złożyła na własnym łóżku, pielęgnowała i karmiła, i poświęcała mu cały swój czas i troski nie prosząc o nic w zamian. „Ty wieprzu, ty, ze swoimi brudnymi myślami” - powtarzał sobie. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Wyciągnął rękę do jej dłoni. -Gdyby nie ty, Vida, tobym już nie zipał i miałbym za swoje — rzeki po angielsku, a po hiszpańsku spytał:

— Powiedz mi, czemu robisz to wszystko dla mnie, całkiem obcego człowieka?

— Ależ ty nie jesteś dla mnie wcale obcy. Przychodziłeś do „Conchity” cztery wieczory pod rząd, nic?

— Widziałaś mnie?

— A jakże. „Znowu przyszedł twój *quero*, twój blondynek — śmiały się ze mnie dziewczęta. — On ciebie zjada swymi śmiesznymi oczami” — mówiły. „Oczy tego *gringo* są jak woda - mówiła Tia Teresa -ale ta woda wrze. Uważaj, uważaj, żebyś się nią nic sparzyła”. Ty patrzyłeś na mnie, aja patrzyłam na ciebie. Jak możesz mówić, że jesteśmy obcy?

Glenn poczuł, że nieznanne jakieś ciepło rozpala mu twarz.

W głowie zaczęło mu wirować. „Pewnie malaria” — pomyślał i nie wypuszczał z dłoni reki Vidy.

- Bardzo mi żal, ale już muszę cię opuścić. Śpij dobrze i miej słodkie sny... - powiedziała i łagodnie wycofała rękę.

— Nie możesz jeszcze trochę zostać? Zostań. Vida, proszę! Ręka powróciła i delikatnie pogłaskała mu powieki. Ta pieszczota wydała się Glennowi słodsza i bardziej intymna niż pocałunek.

— Śpij teraz, nie otwieraj oczu, señor. Przykro mi, ale już muszę iść do pracy.

- Dlaczego musisz? Co by się stało, gdybyś nie przyszła parę wieczorów do „Conchity”?

— Co by się stało? Święci Pańscy, powinienesz być zobaczyć, co się robiło przez te trzy noce, które spędziłam przy tobie, kiedyś był taki chory! Ja odpowiadam za dziewczęta. Tylko ja jedna umiem sobie poradzić z mężczyznami, jak się upiją, a jeszcze muszę na dodatek mieć oko na pieniądze Tii Teresy, boby inaczej kelner ją okradł do ostatniego włosa na głowie.

— Och, doña Vida, zbytnio się kierujesz rozsądkiem westchnął Glenn i puścił jej rękę. Podniosła ją do ust i zaśmiała się.

— Och, don Galan - odparła wesoło (Galan to jej wersja trudnego do wymówienia imienia Glenn) — cóż by się ze mną stało, gdybym nie kierowała się rozsądkiem za każdym razem, kiedy młodzi nierozsądni ludzie chcieli, bym straciła głowę...

Gdy się słuchało Vidy, jej młode życie wyglądało jako jedno pasmo wesela, następujących po sobie szczęśliwych momentów — dzięki Najświętszej Pannie i osobistemu patronowi San Cristobalowi. (Bardzo silny, muskularny święty, którego można zobaczyć w katedrze, jak niesie

w



nagich ramionach malutkie dziecko, ubrany w urzekające różowe damskie majtki, co w wyobraźni tych prostych duszyczek stanowiło strój hiszpańskiego granda w siedemnastym wieku). Kiedy Vida snuła swą opowieść, Glenn wędrował razem z nią ścieżkami jej dzieciństwa i usiłował patrzeć na rzeczy i ludzi jej ogromnymi indiańskimi oczyma. — Opowiedz mi więcej o sobie — prosił — skąd pochodzisz, kim byli twoi rodzice, jak cię wychowywano, wszystko.

— Jaki ciekawy jesteś, señor! Ale Vida ma mało do opowiedzenia. Byłam szczęśliwa od urodzenia. Jestem dzieckiem wydrążonego kamienia - - mówiła Vida ze śmiechem. — A może ty, *gringo*, nie wiesz, co to znaczy?

Glenn odrzekł, że owszem, słyszał już to wyrażenie.

Wydrążony kamień można zobaczyć u drzwi sierocińców, jest to blok piaskowca, w którym znajduje się wgłębienie niby kołyska, gdzie zropaczona matka może zostawić swoje niepożądane dziecko, by się nim zaopiekowano.

— Ach, jak tam było ślicznie w sierocińcu! — wykrzykiwała Vida radośnie. — Jak czysto, señor, och, jak czysto! A siostry, ile mnie one nauczyły!

Nauczyły ją pacierza, robić szydełkiem, na drutach, haftować, robić papierowe róże do kaplicy i śpiewać w chórze. Zaczęły nawet uczyć ją czytać, pisać i rachować bez pomocy palców, ale nadeszły ciężkie czasy i zgromadzenie rozwiązano,

— I znów miałam szczęście powiedziała Vida i diablik zaigrat w jej oczach — bo gdybym tam została, zrobiłyby ze mnie w końcu zakonnice, a Bóg świadkiem, że byłabym bardzo lichą zakonnice.

Zamiast tego, znów na szczęście, oddano ją pewnemu staremu ślepcowi, by go prowadziła w żebraczych wędrownkach.

— Taki dobry był staruszek, señor! Nie zbił mnie ani razu, nawet jak był bardzo pijany.

— Bardzo się cieszę — mruczał Glenn na takie oświadczenie.

Mieszkali w Guadalajara, zdaniem Vidy, najpiękniejszym mieście świata. Żyli szczęśliwi i wolni jak ptaki *dążąc* zawsze tam, gdzie życie kipiało najgoręcej, najsilniej i najradośniej: na stację kolei, gdy przybywał wielki pociąg, przed arenę, kiedy się odbywały walki byków. Na rynek w dni targowe, na schody katedry w niedziele i święta. Mieszkając wszędzie i nigdzie stale się obracali wśród muzyki i śmiechu, dźwięku monet w cynowym kubku, uśmiechów miłosiernych obcych ludzi.

— Trzeba być żebrakiem, żeby wiedzieć, jak hojni i dobrzy są ludzie, senor!

Nocą sypiali bezpiecznie pod podcieniami otaczającymi Plaża. Kiedy było zimno albo padał deszcz, starowina brał ją pod swoje własne wyświechtane serape i chronił od zimna. Gdy było gorąco, budząc się czasami zastawała go, jak suchym palmowym liściem odpędza! muchy od jej twarzy.

- Ty mi go bardzo przypominasz — powiedziała z roziskrzonymi oczyma.

— Ja? W czym? — spytał Glenn przetykając ten nieprawdopodobny komplement.

— Jesteś prawdziwym *cabalero*, dżentelmenem, tak samo jak staruszek - odpowiedziała z pełną powagi prostotą. Taki to on był dla mnie, senor! Był dla mnie aż do ostatniej chwili życia matką i ojcem, jak to się u nas mówi. A śmierć miał z Bożej łaski lekką i bezbolesną. Panie, świeć nad jego duszą!

W opowiadaniu Vidy ten stary łajdak wyglądał na jednego z najwybitniejszych filozofów naszej doby, który przekazał jej sporo mądrości, nim skręci! kark zwalając się po pijanemu z kamiennego muru. Jeszcze większe miała szczęście, że ją następnie zabrała wędrowna trupa cyrkowców, zwana w tamtych stronach

*carpa*, jedna z tych, które stanowią wylęgarnię najlepszych tancerzy i najdowiejniejszych wodewilistów. Przyjęto ją do rodziny *patron*, zobaczyła szeroki świat — który zapewne stanowiło kilka wiosek wokół jeziora Chápala — i zyskała dwóch wiernych przyjaciół spomiędzy aktorów: niejakiego Pepito, który śpiewał teksty aktualnych ballad na targach i jarmarkach i był niezrównanie bystrym i wykształconym chłopcem; oraz niejakiego Pancho, który umiał stać na głowic, fikać koziołki, wróżyć z talii kart i w ogóle był najsprytniejszym szczeniakiem pod słońcem.

— Och, jakie cudne były te lata spędzone na drodze, a ile się nauczyłam, señor...

- Wyobrażam sobie — mruknął Glenn ponuro.

— Patron nauczył mnie śpiewać, a Pepito, Pepito nauczył mnie, jak robić, żeby śpiew brzmiał jak w radio i... och, całe mnóstwo innych rzeczy... Nie wątpię — przyznał Glenn ochryplym głosem, wściekły na siebie, że dał się ponieść zazdrośnym i podejrzliwym myślom co do wzruszającego dzieciństwa Vidy.

— Ale najlepszego nauczyłam się od Mamacity. Gdy ciąża już nie pozwoliła jej tańczyć, zaczęła mnie uczyć i wyobraż sobie, ubierała mnie w swój własny kostium! Był on naturalnie trochę za obszerny, ale mówiła, że z czasem dorosnę i wypełnię go na przodzie...

— Na miłość boską, ileż wtedy miałaś lat?

— Bo ja wiem? Dziesięć? Jedenaście? Jeszcze nie byłam dorosła, jako kobieta, kiedy nasza trupa się rozleciała. W Acapulco. Tak żałowałam, señor. Co się stało? Mamadla zmarła przy porodzie. Pancho, naturalnie przestał jeść ze smutku i zrobił się za słaby, żeby stawać na głowie, a Pepito w żalu za biedną Mamacitą naraził się policji — myślę, że jeszcze siedzi w więzieniu. W Acapulco. Więc *patron* zabrał pięcioro dzieci do Vera Cruz do babci i nie wiem, co się z nim stało. A mnie wzięła do siebie Tia Teresa — niechaj kto

powie, że to nic szczęście! Jak bym wygrała *numero grande* na loterii, no nie?

- Hm... — na nic ponad to Glenn nie mógł się zdobyć. Tia Teresa była stuprocentową Indianką; tłusta, kiwająca się jak kaczka, płaskonosą, dziobata, z chytrymi oczkami spoglądającymi przez wąskie szparki. „Nic bardzo *simpática*” — myślał Glenn.

— **1** tam dopiero zaczęło się prawdziwe szczęście — rzekł zasepiony.

- Tak. Naturalnie. Choć serce mi omal nie pękło, kiedy musiałam porzucić Angelita, kochałam go tak bardzo...

Wiem, wiem. On był synem gubernatora, młody, bogaty, przystojny, elegancki, pierwszy, który cię uwiódł, a potem ojciec zmusił go, żeby cię porzucił i poślubił córkę wielkiego rodu rzekł Glenn znudzonym głosem, była to bowiem zwykła legenda, jaką ma na podorędziu każda mądra z byle baru od Tijuana do Buenos Aires. Vida wybuchnęła śmiechem.

- Ależ nie, nie, nie, señor, wybacz, że się śmieję, ale musiałbyś zobaczyć Angelita! To był stary muł, który ciągnął nasz wóz z rekwizytami, taki brzydki stary muł, ale kochałam go, miał miękki pysk i strasznie ciężko dla nas pracował...

- I znalazłaś się w lokalu u Tii Teresy. W Acapulco. Sądzę, że niewiele już trzeba było się uczyć. Czy też może wolałabyś o tym nie mówić?

— Aleś ty śmieszny, señor! Ja nic jestem z takich, co się wstydzą ciężkiej pracy. Czułam się szczęśliwa, że mogę choć trochę odpłacić Tii Teresie za te wszelkie pożyteczne rzeczy, których mnie nauczyła.

— Na przykład?

— Na przykład mleć ziarno i szorować garnki, a z czasem przyrządzać *langosta con mole* i robić pyszne *lámale*, klap-ktap-klap-klap. Tia Teresa miała zwykłą *fonda*, taką malutką jadłodajnię.

Glenn często jadał w takich małych *fonda*, kiedy mu szczęście nie dopisywało. Cztery słupy podpierające dach z palmowych liści, osłaniający trzy kociołki stojące na piecu opalanym węglem drzewnym. *Metate* do mielenia ziarna, kilka drewnianych łyżek do mieszania sosu *chili*, stół i cztery ławy dla klientów. Ileż w tym ciepła, przyjaźni i niewinności. Zbyt wiele, by mogło być całkiem prawdziwe.

- Daleka droga wiedzie z sierocińca do „La Conchity” — rzekł zadumany.

- Teraz jesteś atrakcją nocnego lokalu, niby jednoosobowa rewia — nie opowiadaj, że doszłaś do tego po prostu przyrządzając *langosta con mole*.

- Nie — odparła Vida ogromnie rozbawiona — dlatego że grzecznie obsługiwałam gości, a może trochę dlatego, że opowiadałam im niektóre dowcipy Pepita i śpiewałam jego piosenki, ale najważniejsza była tu *langosta con mole*. „Najlepsza w całym Acapulco” — mówiono, a szczęśliwym trafem właśnie wtedy do Acapulco zaczęli zewsząd ściągać turyści i rozmaici elegancyjści ludzie i *fonda* zrobiła się za mała, żeby móc wszystkich pomieścić, więc zamieniono ją na obszerniejszy i lepszy lokal i wywieszono pierwszy dumny neonowy szyld „La Laguna”, a niebawem stał się nieodzowny bar, muzyka, tańce i...

— Dziewczęta - dokończył Glenn.

- Naturalnie. Dziewczęta są bardzo przydatne i potrzebne w interesie. Nie można prowadzić lokalu bez dziewcząt. Mężczyźni chcą tańczyć, no nie? Pożartować i pozalecać się trochę, no nie? Pomyśl tylko o tych wszystkich marynarzach i rybakach, kiedy udał im się połów i mają kieszenie aż ciężkie od pieniędzy... 1 stąd naturalnie dziewczęta.

— Nie mogę cię zrozumieć. Vida. Czasami jesteś jak dziecko, a czasem wydajesz mi się twarda i wyrachowana...

— Aj, señor, co by się ze mną stało, gdybym była łagodna? Z tymi wszystkimi pijaczynami i gburami z kutrów na

tuńczyki? A poza tym nic mogę zawieść Tii Teresy, skoro traktuje mnie jak własną córkę. — Vida nachmurzyła się i umilkła, a Glenn przypatrywał się granatowym blaskom na jej czarnych indiańskich włosach. — Zapewne wydaję ci się bardzo nieokrzęsana i pospolita, señor. Może gdybym nie przestała chodzić do szkoły, nabrałabym pewnej ogłady — rzekła swą najdumniejszą i najstaranniejszą hisz-pańszczyzną. A rozmarzony Glenn odpowiedział na to niedorzecznie: Rad jestem, że nic zeszpeciłaś sobie włosów trwałą ondulacją, jak inne dziewczęta. — Cieszę się, że moje włosy podobają się memu señor. Ale teraz, kiedy opowiedziałam już wszystko o sobie, chcę się dowiedzieć czegoś o tobie — rzekła Vida.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Na przykład... — urwał, ale zaraz się przełamał: — Na przykład... musieli być przecież jacyś mężczyźni w twoim życiu?

- Tak, naturalnie, byli — odparła ze szczerą prostotą, która go jakoś uciszyła, a nawet ukołysała. - Ale niewielu — dodała z uśmiechem - i żaden z nich nie był podły albo ordynarny, albo nikczemny. A w twoim życiu nie było kobiet?

— To jest całkiem inna sprawa.

— Czemu? W każdym z nas tkwi potrzeba obdarzania i cieszenia się miłością, no nie? Wie o tym nawet *padre* Antonio w konfesjonale, daje mi więc małą pokutę za moje drobne grzechy,

„Tak — myślał Glenn koty będą czyste nawet w chlewie, a świnię pozostaną brudne nawet w marmurowej sali”.

— Czego chcesz się o mnie dowiedzieć? — spytał.

Jaki byłeś w dzieciństwie, jak wyglądałeś, jak ciebie nazywała matka, do jakiego *santo* się modlisz, gdy jesteś smutny? A ten list, na który czekasz, czy ma być od kobiety?

Nie, nie od kobiety. Od takiego zwierza, co się nazywa

Chempax Co., San Francisco, USA — roześmiał się, a potem zamyślił wspominając dzieciństwo, patrycjuszowską rodzinę, ekskluzywne szkoły, do jakich go wysyłano, swoje drobne bunty i ten wielki wybuch, którym zakończył karierę w marynarce. „Nie — myślał — nic z tego nie da się wytłumaczyć takiej dziewczynie jak Vida”. — Byłem okropnym dzieckiem — rzekł. — Moi rodzice już nie żyją. Mam trzech przystojnych, głupich i aroganckich braci, którzy w sumie posiadają na swym koncie pięć rozwodów i ośmioro dzieci. A ja sam? Jestem czarną owcą w nudnie pobekującym stadzie białych. Ot, i wszystko. Vida zaśmiała się.

— Ależ owce powinny być czarne. Widziałam je na wysokich pastwiskach koło Los Ochuelos, wszystkie czarne i tylko parę białych, a te są wyrzutkami. No i proszę!

— Zajmijmy się w dalszym ciągu twoją biografią, dona Vida. Co po Acapulco?

— Mazatlan. „La Conchita”. — Zadumała się i na chwilę zapadło milczenie. — Początkowo było trochę ciężko. Ale, jak widzisz, i to okazało się dla mnie bardzo szczęśliwe.

— Pod jakim względem, Vida?

— Bo... — zaczęła zwracając twarz ku obrazowi Najświętszej Panny — bo, mój *guero*, gdybym nie przyjechała do Mazatlan, nigdy bym nie spotkała ciebie — powiedziała spokojnie.

— Czyż nie wiesz, że spotkalibyśmy się i tak, bez względu na to, gdzie byś się znajdowała? To było nieuniknione. Możesz to nazwać przeznaczeniem. Vida, spójrz na mnie -domagał się Glenn gorąco. Przeklinał swoją słabość, która kazała mu leżeć na grzbiecie i czekać, aż się pochyli nad nim z lekkim uśmiechem. Patrzyła mu w oczy, lecz nie jak kobieta, a raczej jak dziecko, które z powagą przygląda się czemuś nowemu. — No i cóż tam widzisz? - spytał.

Masz bardzo dziwne oczy. Są jak czysta woda. Przej-

rzyste i widać w nich kamyczki i małe srebrne rybki, i złote migotanie, jakby słońce odbijało się na dnie. Powiedz, czy to właśnie takie oczy nazywają niebieskimi w piosence?

— Tak odparł Glenn z głębokim westchnieniem; takie właśnie mniej więcej były jego oczy. Od biedy można powiedzieć, że niebieskie.

Przemyślała to sobie ogromnie poważnie i zapytała:

— Powiedz mi, mój *guero*, czy tak samo dobrze widzisz niebieskimi oczami, jak my widzimy czarnymi? Czy ty widzisz mnie tak samo dobrze jak ja ciebie?

Glenn popatrzył na nią i uśmiechnął się łagodnie, widząc że jest śmiertelnie poważna.

— Tak — upewnił ją. Widzę cię doskonale.

Nadal przypatrywała się jego oczom z wyrazem przejęcia na twarzy, a po chwili zapytała:

— A teraz powiedz, *guerito*, czy twoje dziecko miałoby takie same niebieskie i jasne oczy?

— Nie wiem, jak by to było, gdybym miał córeczkę. Ale przypuszczam, że syn miałby niebieskie oczy, bo wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie takie mają, a także wszyscy synowie moich żonatych braci.

Po tych słowach zapanowała długa cisza, a potem Vida westchnęła i powiedziała bardzo cichutko w zamyśleniu:

— Aj, mój señor, myślę, że chciałabym mieć synka z niebieskimi oczami...

Coś eksplodowało głęboko w piersi Glenn'a. Zaprażył porwać dziewczynę w ramiona i zacząć całować, a mimo to nie uczynił tego. Nie wziął jej w ramiona, nie pocałował. Pozwolił jej wymknąć się z pokoju i zostawić go samego.

„Wielki Boże, co się ze mną dzieje? — myślał po jej wyjściu. — Co to wszystko znaczy? Chyba się zakochałem. Tylko człowiek zakochany może być na tyle głupi, żeby odmawiać sobie tego, czego najwięcej pragnie w swoim idiotycznym życiu...”



Przez trzy tygodnie „Orca” krążyła wokół Revillagigcdos i Thumbs wściekł się, gdy Tracey zmieniła plany i kazała mu wracać do Mazatlan. Cały czas była niespokojna, nie pomogła jej nawet siedmiogodzinna chwalebna walka z marli-nem i to, że księżę nabałaganił i zmarnował kawał dobrej linki. Rzucili kotwicę w zatoce i Tracey zeszła na ląd z Thumbsem, który chciał uzupełnić paliwo i prowiant. Wiedział, że postanowiła zdobyć Glenna Hammersa, chociaż nic nie mówiła. Panowała uświęcona pora sjesty i na pomoście nie było nikogo, a małe domki z niewypalanej cegły podgarnęły cień pod siebie w słońcu stojącym wysoko i powitał ich jedynie zapach ryb z rybnego targu. Ale ponieważ przybycie *gringos* zawsze oznacza dla Meksykanów pieniądze, wkrótce zgromadził się mały tłumek ofiarujący się zaprowadzić ich do „La Conchita”. Nozdrza Tracey zadrgały, gdy ten sam Manuel, który brał udział w bójce, poinformował ich, iż señor *capitán* zamieszkał w domu Tii Teresy. Poprowadził ich brudną uliczką od tyłu domu, lecz *patio* zaskoczyło ich swoim wyglądem. Było chłodne i dobrze utrzymane, a wokół malej fontanny na środku stały w doniczkach kwiaty. Z krokwi zwisały trzy klatki z ptakami, a oswojona papuga kleła na Tracey, jakby przestudiowała wszystkie odwieczne kawały o sprośności papug. Manuel ruszył na poszukiwanie Vidy. Przyprowadził tutaj *gringos* wiedziony chęcią nie tyle zarobku, ile jej ujrzenia. Po chwili wrócił, skinął na Thumbsa i wyszeptał mu do ucha, że señor *capitán* chętnie go zobaczy, ale nie pragnie, aby go odwiedziła señorita. Thumbs kazał Tracey poczekać w *patio*, na co przystała z uśmiechem, choć wargi zbieleły jej z gniewu. Zastał Glenna wycieńczonego i wynędzniałego, lecz już bez gorączki. Broda zaczynała mu odrastać i głowę miał owiązaną bandażem, który pod względem czystości pozostawiał wiele do życzenia. Pokój był jednakże czysty i chłodny,

jak to zwykle bywa w starych domach hiszpańskich o podłogach z wypalanej cegły oraz grubych murach. Łóżko należało do owych rupieci z mosiądzu, jakie można znaleźć w każdej chacie od Marsylii aż po Szanghaj. Mała umywalka w kącie, drewniane krzesło, komoda. Nic poza tym w pokoju nie było. Na ścianie ponad łóżkiem wisiał olejny obraz San Benita, który jest nieodzownym rekwizytem mieszkań wszystkich niezbyt zacnych dziewcząt w Meksyku, bowiem San Benito jest ich patronem.

*Hiya*, panie Hammers — rzekł Thumbs. A Glenn odpowiedział:

— *Hiya*, komandorze. — Wyglądał źle, chudy, same oczy, zęby i szczecina.

— Dziwi cię mój widok?

— Czemu miałby dziwić? Wiedziałem, że ta damulka jeszcze *tu* wróci. To daje się wyczuć, kiedy taka się przyczepi.

— Ona jest przed domem, martwi się o ciebie. Czuje się odpowiedzialna za tę paskudną ranę, którą ci zrobili tamtej nocy. Nie ma żadnej infekcji czy czegoś takiego?

— Nie odparł Glenn dotykając leciutko bandaża. — Ślicznie się goi. Tran z rekinów potrafi wszystko wyleczyć. Już niedługo zorganizuję połowy rekinów wzdłuż całego wybrzeża i zacznę sprzedawać tran za brzęczące złoto. Na początek potrzeba mi tylko pięćdziesięciostopowej szalupy z osiemdziesięciokonnym dieslem...

Innymi słowy, znowu wsiadł na swojego konika. Thumbs, który wiedział, że Tracey aż roznosi niecierpliwość, zrećźnie usiłował skierować rozmowę na jej temat. Glenn jednak miał w głowie tylko tran z rekinów i o niczym innym nie chciał mówić.

Otóż zdarzyło się, że dzień przedtem przybył list, ów tajemniczy list, którego tak gorąco wyczekiwał. Początkowo nie mówił o nim wprost, krążył dookoła, ale zbyt był podniecony, aby mógł rzecz całą zachować dla siebie, po

prostu musiał wtajemniczyć w nią Thumbsa. Pokazał wszystko: pisma, sprawozdania, analizy i obliczenia z laboratorium chemicznego w Stanach Zjednoczonych — a wszystko dotyczyło tranu z wątroby rekina. Sensacje natomiast wywołał zawarty w liście najprawdziwszy czek na czterdzieści siedem przyzwoitych, uczciwych dolarów — amerykańskich dolarów, nie pesos — a to w owym czasie stanowiło w Meksyku małą fortunę. „Jako wynagrodzenie za przesyłkę takich to a takich próbek, które dotarły w dobrym stanie. W przyszłości jednak...” i tu następował tekst umowy pełen „jednakże”, „co więcej” i „po czym”. Zasadniczą treścią tego wszystkiego, gdy ją wyłuskać z trzeszczącej skorupy bełkotu prawniczego, była oferta płacenia siedemdziesięciu pięciu amerykańskich centów za galon, cena fantastycznie wysoka.

— No, niech mnie diabli... - powiedział Thumbs oszołomiony.

— Masz — widzisz? Stanę się bogaczem. Będę największym człowiekiem na tym cholernym wybrzeżu — powiedział Glenn z uśmiechem zbyt szerokim jak na swoją zabiedzoną twarz. — Wyhoduję sobie brzuch bogacza i zafunduję kilka kamieni w woreczku żółciowym, czy coś innego, na co lam teraz jest moda - nerwy, wrzody na żołądku, hemoroidy albo chorobę serca. Do cholery, kupię Vidzie diamentową tiarę, założę sobie harem i będę miał własny jacht, i... rany boskie, Thumbs, rozumiesz, co to znaczy? Dość wysiać im cysterne tego świństwa dwa razy na miesiąc i jestem magnatem.

Jego entuzjazm był zaraźliwy, ale Thumbs nie zatraci! trzeźwego i sceptycznego stosunku do sprawy.

— Pewnie, że pozostało ci tylko złapać kilka milionów rekinów, jak dotąd nie masz jeszcze łodzi, nie masz sieci, nie masz lin, nie masz pojęcia, jak łowi się rekiny, nie masz kapitału, nie masz nic. Masz tylko śliczną, lśniąca bańkę mydlaną. Daruj, że ci ją przekłuję.

— Rekiny, mój Boże, tu jest aż gęsto od nich. A kapitał? Wytrząsnę i kapitał.

— Jak?

— Jakoś. To jest nic. Parę zielonych papierków, żeby móc ruszyć z miejsca... niedługo zobaczysz... pokażę tym zarozumiałcom, moim braciszkom i ich przemądrzałym żonom, tym płaskim dechom, że zrobię karierę bez wysiadywania w obrotowym krześle, bez nadskakiwania jakiemuś niedojdzie, bez lizania butów jakiemuś sukinsynowi komandorowi, od którego zależy awans w marynarce.

— „Oho — myślał Thumbs — a więc tu cię, bracie boli! Ale jeżeli chcesz się zrehabilitować w oczach rodziny, to pomysł z tranem jest bardziej szalony niż wszystkie poprzednie.”

— Słuchaj. Glenn - powiedział poważnie nie jesteś w odpowiedniej formie, żeby móc się zająć rekinami. Posłuchaj, chcę spędzić martwy sezon w Monterey u rodziny. Czy nie lepiej, żebyś najpierw wybrał się ze mną i pozbył malarii? Poza tym łatwiej pewnie wytrząsnąć jakiś kapitał w Stanach. A w ogóle to wiesz, że żaden obywatel amerykański nie ma prawa być właścicielem przedsiębiorstwa w Meksyku. To kładzie krzyżyk na twoim pomysle, jeszcze nim cokolwiek zaczniesz. Lecz Glenn przybrał wyraz uporu i broda wysunęła mu się naprzód niczym dziób lodołamacza.

— Wszystko zostało wzięte pod uwagę - rzekł z dumą. — My zakładamy czysto meksykańską *cooperativa*.

— Co za „my\*”.

— Ja i Vida jako kierownik nominalny. Cooperativa Pachueta de Pescadores, Mazatlan. Jak ci się to podoba? Jeżeli chcesz, możemy cię przyjąć do spółki, i tak będzie nam potrzebny taki partacz mechanik jak ty — powiedział ze znamionami uśmiechu na zbiedzonej pośliskiej twarzy. „*Hombre*, wyglądasz okropnie — myślał Thumbs więc

teraz do statków i rekinów doszło jeszcze jakieś meksykańskie babsko?"  
- Któż to ta Vida, na miłość boską? Nic myślisz o tej tancerzce, przez którą napytałeś sobie biedy? Na pewno jest doskonałą partnerką do łóżka, ale do interesu... interes to całkiem inna sprawa... — urwał ujrawszy nagłą zmianę wyrazu oczu Glenna. Kapitan nawet się nie rozgniewał, tylko uśmiechnął się z politowaniem.

O tym nie mam najmniejszego pojęcia rzekł bardzo spokojnie — bo okupuję jej łóżko w absolutnej i dziewiczej samotności. Vida mi ocaliła życie, i to wszystko. I powiem ci coś jeszcze: ona jest jedyną prawdziwą damą, jaką w swym życiu spotkałem - oprócz, oczywiście, mojej matki. Śmieszne, że takie rzadkie okazy można napotkać czasem w *patio* w „La Conchita”, prawda?

„Oj. chłopie, chłopie - myślał Thumbs ze smutkiem — więc to tak!  
*Hombre*, aleś wpadł!”

Zaczął się niepokoić o Tracey wyczekującą w *patio*. Słyszał, jak z kimś rozmawia. Mówiła głośno i z pewną ostrością tonu, która znamionowała, że jej opanowanie dobiegło kresu. W sekundę później drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Vida wcale nie jak wielka dama, ale rozgniewana dziewczyna.

— *Guero*, mówię tej *gringa*, żeby poszła sobie precz, a ona nie słucha. Tu nie jest publiczna plaża, gdzie każdy może sobie wejść, chodzić i siedzieć, ile mu się chce. Tu jest nasz dom i jak jej każę się wynosić, to ona musi iść, no nie?

Przyszła odwiedzić chorego przyjaciela, señorita -rzeki Thumbs z całą dyplomacją, na jaką mógł się zdobyć. — Na pewno nic masz do niej o to pretensji?

- Bardzo żałuję, señor, ale jej wizyta jest dla niego bardzo niewskazana. Znowu wywoła gorączkę. Zapewniam cię, señor, że nie chcę być niegrzeczna, ale señor *capiton* jest jeszcze za słaby, aby go denerwować. Ta kobieta przychodzi

tu, żeby go drażnić. Lubi sprawiać kłopot. Znam ten typ. W Acapulco była taka sama señora. Przez nią zabito jednego mężczyznę w „La Laguna” i były z tego poważne kłopoty dla nas... dla wszystkich. Tak było źle, że musiałyśmy się wynieść, ja i biedna l ia Teresa. Proszę, señor, każ jej stąd iść.

Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić, bo Tracey dosyć już się naczekała i postanowiła wejść do środka. Nie wtargnęła rozzłoszczona do pokoju, tak jak Vida. Zapukała i weszła pełna ugrzecznienia, niepokoju i słodyczy. Nie była też tego dnia w spodniach, ale w białej sukni lnianej z pozoru prostej, lecz należącej do owych arcydzieł krawiectwa, o ileż kosztowniejszych od innych, zdobniejszych strojów. W każdym razie wyglądała świetnie, miała uszminekowane tylko usta i przedstawiała uosobienie kobiecości. Natomiast Vida, która odeszła na chwilę od pracy w kuchni, miała na sobie ogromny fartuch popstrzony rybimi łuskami i przesiąknięty zapachem ryb i czosnku, więc w porównaniu z Tracey wyglądała bardzo niekorzystnie.

Jak niemal wszystkie kobiety Vida znienawidziła Tracey od pierwszej chwili, a Tracey ze swej strony była dla niej słodziutka i traktowała ją niczym rozkoszne stworzonko. Zapewne nawet nie zgrywała się. Tracey odbierała wszystko innym kobietom, czując przy tym nie większe wyrzuty sumienia niż rekin pożerający blaszaną puszkę, ale nie była zazdrosna w sposób małostkowy. Inne kobiety zbyt mało dla niej znaczyły, aby się nimi przejmować. Jeżeli były ładne tak jak Vida, wówczas lubiła na nie patrzeć i porównywać z sobą, zwłaszcza gdy wychodziła z tego obroną ręką.

— Och, czy nie przeszkadzam, señorita? Proszę mi wybaczyć - powiedziała słodko. — Cóż za uroczy pokój -i jaki czysty! Prawda, jaki czysty, Thumbs? Zachwycający! Daruj mi, że wtargnęłam tutaj nieproszona, señorita, ale taka jestem niespokojna o kapitana Hammersa. Jak się czujesz, Glenn? — i wzięła go za rękę leżącą na kocu.

jakby to była jej własność, przedmiot, którego tu zapomniała.

— Dobrze, ale nie w formie, żeby przyjmować przedstawicieli znakomitych rodów — odparł Glenn a zwłaszcza przedstawicielki.

— Jakież uroczy, uroczy pokoi — powiedziała Tracey przypuszczając całą siłą szturm do Vidy — To twój, señorita? i twoje łóżko? Ustąpiłaś je mojemu przyjacielowi w chorobie? Jakie to naprawdę miłe z twojej strony, że się nim opiekowałaś aż do naszego powrotu. Ile ci jesteśmy za to winni?

Kiedy Tracey przybierała tę idiotyczną rolę matrony, nie zapowiadało to nic dobrego. Glenn usiadł nagle, a Vida zacisnęła pięści. Chciała dobrze odpowiedzieć Tracey, a nic nie przychodziło jej na myśl.

- *Guero*, proszę to jest niedobre dla ciebie... proszę... — powiedziała zamiast tego. — Chcę, żebyś wyzdrowiał. Nie chcę, żebyś miał znów gorączkę w nocy.

— Słyszysz, księżno? To są rozkazy doktora — rzekł Glenn. — Będziemy musieli posłuchać.

- Oczywiście! Przypuszczam, señorita, że dawałaś mu jakieś tajemnicze indiańskie leki? To bardzo ciekawe! Zawsze chciałam spotkać prawdziwą *curandera*\*. Z czego jest to lekarstwo? Czy może nie wolno mówić, bo zawiera jakieś tajemne składniki, na przykład ogon nienarodzonego cielęcia? Albo ekskrementy dziewicy? Czy może serce sępa?

— Nie. Dawałam mu tylko codziennie dziewięć gramów chininy. To zwykle pomaga — odparła Vida, a spokój jej odpowiedzi zamurował na chwilę Tracey. Żeby dopiec Vidzie, usiadła na łóżku i zbadła puls Glenna.

- Nie jestem Indianką — powiedziała do niego miękko — ale też posiadam szósty zmysł. Cały czas czułam, że coś jest z tobą złego. Właśnie dlatego zadreślałam Thumbsa, aby

**Curandera (hiszp.) — znachorka.**

wracać do Mazatlan. Dobrze, że zdążyliśmy w porę przypląć i zaopiekować się tobą.

— Dziękuję. Tu się mną doskonale opiekują — odrzekł Glenn sucho i na te słowa blada twarz Vidy odzyskała trochę rumieńców.

Mężczyźni nigdy nie będą w stanie pojąć kobiecych rozgrywek. One są podobne do szermierki -jeśli ktoś nie zna zasad walki, próżno mu tłumaczyć, kto został *touché*. Wszystko odbywa się tak elegancko, tak szybko i z takim wdziękiem — zwłaszcza gdy starcie odbywa się w języku hiszpańskim, który specjalnie nadaje się do grzecznych pchnięć. Na zewnątrz były same uśmiechy, wymiana grzecznych słówek oraz zachwyty dla włosów przeciwniczki -u Tracey bezładnej powodzi miodu spływającej na ramiona, u Vidy zaś blasku czarnego lakieru uplecionego w schludną koronę wokół jej małej główki. Glenn jak by coś z tego rozumiał, bo wyglądał na rozbawionego, natomiast Thumbs czuł się po prostu nieswojo. Ale po kilku minutach Glenn zamknął oczy jak by z wyczerpania czy oszołomienia i Vida bez ceremonii kazała Tracey wyjść, — Bardzo chętnie — powiedziała Tracey — jeśli nam jeszcze pozwolisz posiać po taksówkę, żebyśmy mogli zabrać z sobą kapitana.

— Zabrać go!... — krzyknęła Vida. — Zabrać? Czemu? Dokąd?

— W pierwszym rzędzie na mój jacht, gdzie już doktor Hakanson zadba, żeby zastosować właściwą ku racie, a potem do Stanów na rekonwalescencję.

— On się jeszcze nie dość dobrze czuje, żeby mógł wsiąść na twój statek — rzuciła Vida wściekle. — Ale czy ciebie to obchodzi? Chcesz, żeby poszedł z tobą, więc myślisz, że możesz go sobie po prostu zabrać. Jak rybę kupioną na targu. Zabrać go! Dobra sobie! Kim ty jesteś, że chcesz go zabrać? — Spojrzała szybko na Glenna i to, co zobaczyła w



jego twarzy, sprawiła, że nagle rozpromienił ją uśmiech triumfu. -

**Bueno\***, najpierw zapytaj go, czy chce, by go stąd zabrano, a jeśli powie: tak, możesz go sobie zabierać -powiedziała. Oczy jej pałały, ale podeszła szybko do figurki Najświętszej Panny i nerwowo zaczęła układać lilie stojące w dzbanuszkach, udając, że nie słucha, co Glenn mówi.

— Przykro mi, księżno — rzeki Glenn. - To strasznie miłe z twojej strony, że proponujesz mi koję, ale Vida ma słuszość. Lepiej dla mnie, abym został, gdzie jestem. Po prostu nie czuję się na siłach podróżować w twoim podniecającym towarzystwie.

Tracey zignorowała obelgę.

- Jesteś chory i nie wiesz, co dla ciebie dobre, a co złe. Przyślę ci doktora Hakansona i on rozstrzygnie, czy czujesz się dość dobrze, żebyś mógł popłynąć.

- Dzięki — odparł Glenn ostro — ale jak dotąd nie jestem jeszcze kandydatem do przytułku. Doceniam twoją ofiarność, ale jeśli nic weźmiesz mi za złe, jestem zmęczony. Do widzenia.

Tracey umiała często opanować sytuację lepiej i szybciej niż większość mężczyzn. Dlatego zawsze wygrywała w pokera. Wiedziała, że jest prawie pokonana, ale nie zagrała jeszcze swego ostatniego atutu.

- Oczywiście, kapitanie. Już idziemy i nie będziemy ci się naprzykrzali, skoro się źle czujesz — rzekła łagodnie. Tylko... chcę tylko, żebyś wiedział, że pozostanę w Mazallan, póki nie będę miała pewności co do twojego zdrowia. Gdy tylko odczujesz potrzebę porady u doktora Hakansona, daj znać na „Orca”.

Podeszła do drzwi, ale jeszcze się zatrzymała i dodała z zakłopotanym uśmiechem:

- Jestem okropnie samolubna pragnąc, żebyś szybko

**Bueno (liiszp.) - dobrze.**

wyzdrowiał. Potrzebna mi jest twoja pomoc, żeby kupić statek. Nie chodzi tym razem o jakiś jaehcik, chodzi o „Arundela”... pewnie go znasz? Należał do pana Pritcheta, póki staremu się nic zmarło. Podobno stoi w doku w Nassau, więc przyszło mi do głowy, żeby się tam wybrać moim samolotem i obejrzeć go. Rozumiesz, że potrzeba mi takiego jak ty znawcy, by mi poradził, co z nim zrobić? No, to na razie szybkiego powrotu do zdrowia, kapitanie! Nie zapominaj, że czekam, kiedy wyzdrowiejesz... i weźmiesz „Arundela” pod swoją komendę. Co powiesz o Galapagos na początek? Thumbs, idziesz? *Muchísimas gracias y muy buenas tardes\**, señorita!

Vidzie twarz się wydłużyła, bo choć nie całkiem rozumiała wygłoszoną po angielsku mowę pożegnalną Traccy, wiedziała doskonale, że podzielała ona na jej *guero*.

„Oj, chłopie — myślał Thumbs wchodząc za Traccy do *patio* — coś mi się zdaje, że tym razem to ty połknąłeś haczyk”.

I rzeczywiście kapitan Hammcrs pojechał z Tracey obejrzeć „Arundela”. „Kupiła go albo on sam się jej sprzedał” — myślał Thumbs. Za tych pięć kawałków, których potrzebował. Rozważywszy, co ona dostała za swoje pieniądze, a ile on zapłacił za tę podróż, zrobił dość kiepski interes. Ale te pięć tysięcy stało się jego obsesją, odkąd miał w kieszeni lisi z umową z Chempax. Prawda, istniały pewne widoki na powodzenie przedsięwzięcia, a bez odrobiny bodaj kapitału był jak sparaliżowany. Najprawdopodobniej mógłby pożyczyć tę sumę u braci, lecz wolałby się dać żywcem spalić na stosie niż prosić ich o pomoc. To zrozumiałe, bo wszystko, co robił, miało tylko jeden cel: pokazać im. Udowodnić, jak daleko zdołał zająć o własnych siłach. Pokazać im, że człowiek może żyć własnym życiem bez jakiegokolwiek po-

**Muchísima s... (hiszp.) — Bardzo dziękuję i do widzenia.**

mocy, lekceważąc konwencje i ograniczenia własnej kasty. Udowodnić, że właśnie on jest tym, który tego popróbuje, a co więcej, popróbuje z powodzeniem. „Urodzony, zaprzysiężony buntownik i tyle” — myślał Thumbs. Upiera się, żeby być sobą, i stąd wywodzą się wszystkie jego kłopoty, żyjemy bowiem w wieku, który dąży do wzajemnego upodobnienia wszystkich ludzi. Indywidualizm jest uważany za niebezpieczny i karygodny, a człowiek o pewnej osobowości za niewygodnego szkodnika...

Thumbs dziwił się, skąd Glennowi strzeliło do głowy, że on mu potrafi wygrzebać te piekielne pięć tysięcy.

- Jak to? Tylu bogaczy wozisz na połowy morskie i nie znajdziesz nikogo, kto by zechciał zainwestować parę kawałków w dobry interes? — powiedział Glenn z całą naiwnością. Ale jedynym bogaczem, jakiego Thumbs znał, była Tracey.

Nie odwiedziła już Glenna po ostatniej wizycie. Czekala z taką samą niewzruszoną cierpliwością i sk upieniem, z jakim manewrowala linką, kiedy ogromna ryba wzięła przynętę. Tymczasem pływali sobie w górę i w dół wybrzeża, ale co kilka dni wracali do Mazatlan. To wiercenie się w kółko zaczęło już Thumbsowi wychodzić uszami, a na dobitkę atmosfera na jachcie stała się tak naprężona, że i maczetą by nie przeciął. Cenne książęce flaki napytały sobie zwykłej meksykańskiej kolki i rozpętała się wściekła awantura, gdy Jego Wysokość uparł się, żeby „Orca” wzięła kurs na dom, a Tracey odmówiła. W końcu pojechał pociągiem — nie było jeszcze wówczas połączenia lotniczego, toteż kto nie miał prywatnego jachtu do dyspozycji, musiał posłużyć się pociągiem jako jedynym środkiem komunikacji z Mazatlan.

- Jak się ma kapitan Hammers'? Wciąż chory? — spytała Tracey Thumbsa. gdy odprowadziła męża.

— Kapitan Hammers potrzebuje pieniędzy i nie może ich dostać — palnął Thumbs.

— Ach tak? Żeby obsypać tę tancereczkę szmaragdami?  
odparła zjadliwie. Wówczas Thumbs, który miał tego po dziurki w nosie, wyrzucił z siebie wszystko razem: rekiny, wątroby, tran, Chempax, szansę przyzwoitego zarobku dla miejscowych rybaków i zarazem rehabilitacji Glenna.

A więc taki plan obmyśliła sobie ta suka, żeby go nie wypuścić z reki — zastanawiała się Tracey z dość osobliwym rodzajem uznania dla przebiegłości rywalki. — Zwabić go czymś malowniczym jak połów rekinów, ale nie wypuścić z portu. Dać mu posmakować niebezpieczeństw, przygód, obok nadziei na wielki szlem w interesach — właśnie to, co naszym chłopcom się podoba. Rekiny, ładne sobie! Sądzę, że to by mu dobrze zrobiło, gdyby na jakiś czas gdzieś osiadł. Gdyby się zabrał do jakiejś ciężkiej, stałej pracy, stworzył możliwość pracy dla innych, kierował małą flotyllą rybacką — to by w nim podniosło poczucie własnej godności...

Wepchnęła ręce do kieszeni — jak zawsze, kiedy była wściekła. Wielkie nieba, Thumbs, czy nie biorą cię mdłości na myśl, że taki człowiek jak Hammers marnuje życie? Jeśli go nie wyciągnę siłą z lej piekielnej dziury, zejdzie na psy! Poczucie własnej godności — tutaj? Boże, wyciągnę go z tego bagna, choćbym to miała życiem przypłacić. Dam mu na początek dowództwo „Arundela” — to jedno może w nim podnieść poczucie własnej godności!

Zaraz jednakże opanowała się.

Powiedz kapitanowi Hammersowi — rzekła zmrożonym głosem — powiedz kapitanowi, że jeśli chce porozmawiać ze mną o interesach, niech będzie jutro punkt jedenasta w hallu hotelu Colonial.

W wyniku tej urzędowej konferencji odjechali na Bahamy, żeby obejrzeć jacht „Arundel”, pozostawiając Thumbsa na miejscu z czekiem na pięć tysięcy dolarów oraz garścią zleceń

pod płaszczykiem przyjacielskich próśb. Miał doprowadzić „Orca” do Balboa, postawić ją w suchym doku, wrócić do Mazatlan, zapłacić z góry za używany kuter, który Manuel narail Glennowi, oddać go do remontu, wystarać się o licencję oraz dopilnować kupna lin, sieci i rozlicznych przedmiotów niezbędnych do połowu rekinów — o czym Thumbs miał znikome pojęcie - oraz uczynić Vidę Pachuelę prezesem nominalnym Cooperativa de Pescadores, Mazatlan.

Tymczasem Glenn miał się spotkać z przedstawicielami Chempax w San Francisco, żeby ostatecznie przypieczętować umowę, a potem udać się do Tracey, oczekującej go ze swym hydroplanem w Nowym Jorku. Thumbs wsadził ich do pociągu w Mazatlan, lecz Tracey, jakby nie mogąc się z nim rozstać, jeszcze raz wyskoczyła na peron.

— Do zobaczenia, Thumbs, za tydzień będziemy z powrotem. Uważaj na siebie.

— Nawzajem, Wasza Wysokość.

- A... Thumbs — powiedziała z zaskakującą tkliwością

— nie życzysz mi powodzenia.

Ależ tak. Powodzenia, dziecko. Nagle zarzuciła Thumbsowi ramiona na szyję i pocałowała go. Był to rodzaj pocałunku, jakim malutka dziewczynka mogłaby obdarzyć swego dziadka, ale po Thumbsie przeszedł prąd od stóp do głowy. Zapewne nigdy nie przyszło jej na myśl, że tłusty, śmieszny Bob Thumborn jest mężczyzną.

W dość dziwny sposób Vida, która wychowała się w rynsztoku, reprezentowała w życiu Glenna ściśle te rzeczy, od których właśnie uciekał porzuciwszy marynarkę oraz zerwawszy z rodziną: dyscyplinę, odpowiedzialność, porządek

— trwanie na stanowisku i spełnianie swych codziennych obowiązków, choćby to nawet było czasem nudne jak flaki z olejem. Tracey z kolei symbolizowała jak by drugą stronę

jego charakteru: niepokój, potrzebę rozrywki, przygody, niebezpieczeństwa. Thumbs znał ją, jak jeszcze chodziła z warkoczykami, a w miarę jak rosła, przypatrywał się jej pogoni za coraz to gwałtowniejszymi i bardziej przejmującymi dreszczykami, jakby nic jej nie mogło zadowolić. „I nie ma co się dziwić, skoro polowała na lwy i brała udział w połowach pełnomorskich, zanim ukończyła dwadzieścia lat” — myślał Thumbs.

Tak więc Glenn i Tracey odjechali — nie na tydzień, a na przeszło miesiąc i nie dawali znać o sobie nawet pocztówką. Thumbs nigdy nie dowiedział się dokładnie, co się z nimi działo przez cały ten czas. Mógł tylko zgadywać. W każdym bądź razie, kiedy już wreszcie ich ujrzał, ich wzajemny stosunek uległ radykalnej zmianie. Atmosfera naładowana elektrycznością, groźba tropikalnych burz, odległe grzmoty i błyskawice, i śliczne tęcze na horyzoncie.

Z grubsza i tylko po trosze Glenn opowiedział mu ich przeżycia. Były ostrzeżenia, że nad Indiami Zachodnimi szaleje huragan, lecz oni postanowili zaryzykować i spróbować go ominąć. Jednak na skutek błędnej i nieobliczalnej natury huraganów dostali się na jego skraj i wpadli w ciężkie tarapaty. Paliwo się wyczerpywało i Tracey musiała lądować na jednej z tamtejszych miniaturowych wysepek, żeby przeczekać zawieruchę. W okolicy nie było nic, prócz kilku Murzynów i ich kóz. Spędzili tam pięć dni w piwnicy spróchniałego i rozwalonego domostwa, niegdyś należącego do właściciela plantacji. Tracey i Glenn, zupełnie sami, radzi, że uszli z życiem niebezpieczeństwu — nie, nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby sobie uzmysłwić, co się stało.

W drodze powrotnej mieli jakąś awarię silnika, a więc dla dokonania niezbędnych napraw postanowili zatrzymać się w Hawanie, miejscu o dość cieplarnianej temperaturze, by zawiązujące się uczucie rozkwitło pełnym kwieciami. Zwłaszcza jako kontrast z ciężkimi dniami, które tych dwoje

wariatów właśnie przeżyło. Luksusowy hotel, napoje, tańce, gorące rumby i także same miłosne zachody gdziekolwiek się obrócić - najbardziej sprzyjające okoliczności. Thumbs nie wykluczał, że Tracey umyślnie poleciała na spotkanie huraganu i skreśliła coś w motorze, by nakierować sprawy na odpowiednie tory. Musiała zastosować dość drastyczne środki. Glenn bowiem nie należał do tych, którzy lubią być przedmiotem starań — wolał, aby starania i wybór pozostawiono jemu. Otóż Tracey musiała dobrze rozegrać karty, bo gdy przyjechał, miał zupełnego bzika na jej punkcie. Co za kobieta, co za wspaniała, cudowna kobieta, dlaczego Thumbs nigdy mu o niej nie mówił, jemu się nawet nie śniło, że taka kobieta może w ogóle istnieć! Była wszystkim, po prostu wszystkim. Szatan jako pilot, równy towarzysz w biedzie, śmiała się niebezpieczeństwu w oczy, nic poskarżyła się ani słówkiem na wszystkie niewygody, a trzeba ją było widzieć zasypaną po kolana w gruzach albo jak nosiła wodę ze studni, jak przekopywała drogę przez gruzy tego huraganowego schronu, jak spała na klepisku, dźwigała ciężary niczym mężczyzna, śmiejąc się i żartując cały czas z Murzynów, kóz, pogody. Z Glennem też, jeśli się martwił o nią. Ale za to w Hawanie! Nowa wieczorowa suknia, uosobienie kobiecości! Biła urodą wszystkie kobiety. Gdzie się nie ruszyć, wszyscy się oglądali i zawsze biegł za nią szept zachwyty jak... jak ślad na wodzie za rufą okrętu przy pełni księżyca... „*Hombre* — myślał Thumbs, gdy Glenn zaczął wpadać w nastrój poetycki — chłopie, nic ma mowy, zakochałeś się!”

Tę część myśli Glenna, której nie zagarnęła Tracey, zajął „Arundel”. Kochał ten statek, a Tracey go kupuje. „Arundel” przechodzi teraz remont i pod koniec marca mają popłynąć na wyspy Galapagos: Glennard B. Hammers, kapitan,  
i Robert H. Thumborn, główny mechanik.

Był to zapewne wielki moment dla kapitana Hammcrsa, kiedy mógł się pokazać przyjaciołom i rodzinie w San Diego, San Francisco, Nowym Jorku. Wymuskany, z kapitańskimi papierami i dowództwem w kieszeni, żywe zaprzeczenie wszelkich krążących o nim plotek, że nędzarz, że włóczęga portowy, że tramp żyjący gdzieś w grzechu z jakąś półcywi-lizowaną kobietą, że nieuleczalny alkoholik i ofiara narkotyków, albo w ogóle trup, jak głosiły rozmaite wieści. Przeciwnie, elegancki, przystojny, dobrze wychowany, interesujący jegomość z błyskiem niezależności w oczach.

— Wszyscy byli przemili, ale zdaje mi się, że braciszekowie nie bardzo mnie lubią, prawda? zagadnął Thumbsa, który nie mógł się nadziwić, że przyjaciel, który z niejednego pieca jadał chleb, jest aż tak naiwny.

— No, jasne. Zazdroszczą ci, bo robisz, co ci się żywnie podoba, gdy oni muszą lizać czyjeś buty i słuchać rozkazów.

- W gruncie rzeczy wszystko zależy od tego, co kto woli

— rzekł Glenn nieco arogancko. — Ja wołałem wolność. Oni — bezpieczeństwo.

— To, to. W gruncie rzeczy to ty jesteś piekielnie zarozumiały - rzekł Thumbs.

Jak dotąd, wszystko dobrze. Ale co z Vidą? Co z Cooperativa Pachucla w Mazatlan? A skoro o tym mowa, co z kontraktem dla Chempax i całymi tonami tranu z wątroby rekinów, które miał dostarczyć po siedemdziesiąt pięć centów za galon? Och, to nie ucieknie, mówił Glenn wspaniało-myślnie. Przecież nie na zawsze wyjeżdżają i Vida razem z Manuelem Perez, który się zna na łowieniu rekinów, może dopilnować wstępnych układów!

Nie pierwsze to zajęcie czy zobowiązanie, które Glenn cisnął za burte, by ruszyć innym kursem kryjącym w sobie jakąś bardziej podniecającą obietnicę. Thumbs wyznawał prostą maksymę: ludzie nie robią nowych błędów w nowych okresach życia. Nic, popełniają wciąż ten sam i płacą zań



wciąż wyższą cenę. Z pewnością Glenn Hammers, który rzucił marynarke, bo mu się znudziła, nie zawahał się przed rzuceniem połowów rekinów, jeżeli mógł zostać dowódcą przyzwoitego, mocnego jachtu i poprowadzić go ku odległym wyspom.

„Arundel” stanowił typ jachtu, jaki mógł się podobać Tracey. Stary szkuner z ożaglowaniem topslowym był wielkim edwardiańskim piękniśm, nim Tracey, Glenn i stoczniovcy wspólnym wysiłkiem usunęli większą część jego skomplikowanego takielunku. Znieśli oni topmaszt, lecz pozostawili fok, kliwer i dodali grot bermudzki.

Wymontowali stary silnik oraz wszystkie bezużyteczne błyskotki, które zainstalował staruszek Pritchett, i wstawili dwa nowe gładkie 120-konne dieslowskie silniki. Choć jacht po tej przeróbce nie mógł już nigdy wyglądać tak wspaniale jak w czasach swej młodości pod pełnymi żaglami, stał się łatwiejszy w żegludze i mimo że został wyekwipowany we wszystkie możliwe najnowocześniejsze urządzenia i luksusy, jego wygląd pozostał jak na wymagania księżnej nadal romantyczny.

Takielunek miał nieco zbyt teatralny i stosunkowo małą szybkość, bo dwanaście węzłów co najwyżej, ale poza tym był to piękny statek. Nadto cała ta przebudowa trwała o cztery miesiące dłużej, niż przewidywano, i kiedy jacht wypłynął na morze, był już lipiec, nie marzec — najgorsza pora na rejs do Galapagos.

Tymczasem Glenn i Thumbs skompletowali załogę — mat, młodszy mechanik, radiooperator, boy i dwóch majtków pokładowych. Do tego Tracey dodała jeszcze swoją świtę — kucharza, stewarda, osobistą pokojówkę oraz, ku zdumieniu Glenna, także i męża. Na tym luksusowym jachcie byli jak sardynki w puszcze, a przy zbyt wielkiej ilości ludzi na statku można szybko się nabawić uczucia klaustrofobii, a wtedy wybuch grozi w każdej chwili.

— Czemu zawdzięczamy przyjemność towarzystwa Jego

Wysokości? — spytał Thumbs w czasie jednej z poufnych pogawędek z Tracey. — Czyż nie czytałem w kolumnie towarzyskiej, że chcesz się z nim rozwieść?

— Właśnie- odparła wesoło. Ale jeżeli chcę dostać od niego zgodę na rozwód, muszę mu najpierw dogodzić.

Dziwił się, jak można komuś dogodzić wlokąc go jachtem, którego nienawidził, na archipelag, którego nie cierpiał, z kapitanem, którego chętnie by zabił, gdy tymczasem jego żona flirtuje ze wszystkimi naokoło, począwszy od Glenna Hammersa, a skończywszy na radiooperatorze. Ale Thumbs nie powiedział nic i Tracey, wydmuchując leniwe kółeczka dymu z papierosa, ciągnęła dalej swe zwierzenia.

— Nie da się zgłębić tych Europejczyków, mimo ich gładkich manier. Nazywasz księcia mięczakiem, ale to wcale nieprawda. Jeżeli na czymś mu zależy, jest zupełnie nieugięty. Walisz głową w mur, żelazobeton. W jego rodzinie, jak mi powiedział, ludzie zawierają związki na dolę i niedolę. Jakiś się ożenił, to już raz na zawsze. Związek z gatunku, „póki nas śmierć nie rozłączy”. On jest dwunastym księciem Barany i kategorycznie odmawia, by miał zostać pierwszym w tym szlachebnym rodzie, którego żona opuściła. Wielki mi ród! Pewnie w jego kraju robią księcia z każdego, kto ma w majątku więcej niż trzy kozy. Więc teraz chce, żebym spełniła swój obowiązek i obdarzyła go następcą — swój święty obowiązek przedłużenia rodu o trzynastego księcia Barany — ładnie to brzmi, nie? Jak coś z rodowodu konia. Gdybym ja wiedziała, że on ma tę obsesję na punkcie sakramentu małżeństwa, tobym mu zwała zaraz po pierwszym walcu. Ale nie da się poznać drugiego człowieka, póki... Słuchaj, Thumbs, czasami myślę, że on nie jest normalny, że coś z nim nie tak - to się zdarza w tych starych rodach...

Śledziła wzrokiem papierosa ciśniętego za burtę, póki nic opadł na powierzchnię wody, gdzie go pochłoneła malutka falka, i dużo ciszej dodała:

— On mnie czasami przeraża. Naprawdę, a ty mnie przecie znasz, Thumbs, ja się nie daję łatwo przestraszyć...

Wiem doskonale. Nie mogę sobie wyobrazić, co trzeba by zrobić, żeby ciebie nastraszyć.

Siedziała patrząc w pokład z dziwnym, drwiącym uśmiechem.

— Nie możesz? — zapytała. A potem w nagłym postanowieniu podwinęła rękawy, gwałtownym pociągnięciem rozwiązała szal na szyi i rozpięła bluzkę. - Patrz! — powiedziała rozkazującym tonem. Thumbs spojrział.

Widował swego czasu wiele skalowanych dziwek z doków — biedne, pijane nieszczęśnice maltretowane przez sutene-rów. Nigdy jednakże nie widział czegoś takiego jak ślady palców pozostawione przez Jego Wysokość na ciele Tracey. Sine, czarne i purpurowe sińce, jak to nazywają w rubryce skandali, stłuczenia, zadraśnięcia, pręgi na jej skórze o złotawej barwie miodu.

— A to łotr — rzekł z trudem łapiąc oddech.

— Zagroził, że prędzej mnie zastrzeli, niż zgodzi się, bym pojechała na ten rejs bez niego, i jestem przekonana, że byłby to zrobił — powiedziała wciąż z uśmiechem, ale spod niego przebierała gorycz, niby kropla angostury, która nie zmieszała się z cocktailem i pozostała na dnie szklanki. — Nigdy się lak bardzo nie przejmowałam, czy będę żyła, czy nie. Ale leraz,.. — wybuchnęła nagle i zaraz się opanowała — ale teraz kiepski byłby kawał, gdybym dała się zastrzelić czy udusić. Teraz, kiedy wreszcie jest dla czego żyć. - Odwróciła się gwałtownie, nim jeszcze przebrzmiały le słowa, i zostawiła Thumbsa z rozdziawionymi ustami.

„Boże, poratuj — myślał Thumbs — nigdy tak nie mówiła. Tym razem to nie zwykły kaprys, zachcianka, chwilowe zadurzenie. Tracey — się boi! Tracey — zakochana! Biedactwo...”

Lecz jeszcze tego samego wieczora flirtowała zapamiętałe

z młodym chłystkiem, który się na jachcie opiekował radiem, i Thumbsowi zrobiło się głupio, że dał się nabrać. „No proszę — myślał — znowu uprawia swoje stare gierki”. Tracey zawsze wodziła za sobą na smyczy kilku pęteków. Na „Orca” był Hakanson. Na „Arundelu” zaś Cecil Jakiś-Tam, do którego zwracano się per „Drucik”, jak do wszystkich radiowców. Był to nieokreślony typ, chudy i smarkaty. Miał nieprzyjemny zwyczaj trzaskania palcami, gdy się do niego zwracano, i wszystkim opowiadał, że musi się dwa razy dziennie golić, jak by mu to dodawało męskości. Dla Thumbsa był odpychający, toteż nie rozumiał, czemu Tracey flirtuje z nim przy cocktailach, zachwyca się gwiazdzistym niebem w jego towarzystwie, a nawet schodzi na ląd w Hawanie, żeby z nim potańczyć. Właśnie w Hawanie, gdzie nie tak dawno spędzała czas z Glennem Hammerscm...

— Do czego tym razem zmierzasz? W kim chcesz wzbudzić zazdrość? W kapitanie czy księciu? — spytał ją kiedyś, gdy zeszła do niego pod pokład, żeby mu przynieść mrożoną herbatę i kanapkę. Było goręcej niż w piekle, kiedy przechodzili śluzy Kanału, ale na niej upał jak by nie robił wrażenia — usiadła na kracie i jadła razem z nim.

- Do czego zmierzam? Sądziłam, że jesteś na tyle bystry, by odgadnąć. Mój mąż przekupi! Cecila, by mnie szpiegował, chce mnie i... i... kapitana przyłapać na czymś. To, lekko mówiąc, jest nużące. Dlatego muszę przeciągnąć chłystka na swoją stronę, rozumiesz teraz?

„Więc o to chodzi myślał Thumbs. — Nic ma co, miła to będzie i spokojna podróż — wszyscy wmieszani i wszyscy gotowi skoczyć sobie wzajem do gardła”.

Nic wiedział, co naprawdę jest między Glennem a Tracey. Chyba niemożliwe, aby kapitan pozwalał sobie nadskakiwać tylko dlatego, że się tak uparła go zdobyć! A może Tracey ostrzegła go, by miał się na baczności, póki są pod okiem księcia z nabitą bronią w kieszeni. Z drugiej strony, jeżeli

rzeczywiście łączyła ich miłość, to się z nią nie obnosili. Jedynym znakiem zażyłości, jaki Thumbs między nimi dostrzegł, było, że czasem zapalała papierosa, zaciągała się i wkładała mu go w usta — tak jak pierwszego wieczoru, gdy oprzytomniał po bójce. Ale w tym geście było coś, co nadawało mu większą wymowę niż pocałunek na oczach ludzi... I rzeczywiście podróż była od początku aż do końca straszna. Tak wiele się krzyżowało prądów na pokładzie, że wszyscy zrobili się nerwowi. Nawet kapitan chwilami wydawał się roztrzęsiony, a taki stan odbija się na całej załodze. Stary „Arundel” był szczęśliwym jachtem, lecz nowy wcale go pod tym względem nie przypominał. Jak powszechnie wiadomo, spór między mostkiem a maszynownią istnieje, odkąd wynaleziono pierwszy parowiec, toteż i „Arundel” nie pozostał wyjątkiem. Chociaż kapitan i Thumbs żyli z sobą w zgodzie, Thumbs nie mógł znieść zastępcy kapitana, a kapitan zawsze zrzędził na drugiego mechanika. „Drucik”, który miał być ponoć dobrym elektrykiem i wcale się takim nie okazał, zajmował się roznoszeniem plotek i mąceniem wody. Między kucharzem a stewardem zupełnie bez przyczyny wybuchały kłótnie tylko dlatego, że atmosfera na statku była pełna napięcia.

Jeżeli kapitan miał starcia z księciem, nigdy nie dopuszczał do nich nikogo. „Drucik” parę razy pozwolił sobie na zuchwalstwo, ale Glenn dał mu odprawę, więc przycichł. Jedną jedyną osobą, która udawała nieświadomą naprężonej sytuacji, była Tracey. Ona czuła się w tej atmosferze jak ryba w wodzie. Bardzo jej dogadzała świadomość, że Glenn i Lahszi radzi by się wzajem pozabijać przy akompaniamencie zagrzewających okrzyków „Drucika”. W Zatoce Tehuantepec „Arundel” dostał się w strefę złej pogody,

a w odległości mniej więcej dziewięćdziesięciu mil od Salina Cruz nastąpił defekt silnika. Wpłynęli kulejąc do portu i musieli sterczeć cztery dni na miejscu czekając zakończenia napraw. Kapitan Hammers utrzymał jednak dyscyplinę i nie puszczał jachtu ani załogi z garści. Thumbs często myślał, że to wstyd, by taki Hammers uciekł z marynarki w pogoni za własnymi dzikimi mrzonkami.

- Bo marynarce potrzebni są ludzie jego pokroju i ducha

— wyjaśniał młodszemu mechanikowi — w równym stopniu, jak robotni, pozbawieni wyobraźni, posłuszni, zwykli faceci jak ja.

Czasami Thumbs zastanawiał się, co tacy ludzie jak Tracey

— a nawet Glenn — mają na myśli marząc o wyspach Galapagos.

Przygodę, odwieczny a daleki raj utracony, jakąś głupią robinsonadę. On sam był już tam kiedyś na kutrze rybackim, wiedział więc, że płyną zakosztować piekła.

— Zaczarowane wyspy, dobre sobie! — zrzędził. — I to w najgorszej porze roku, w końcu lipca. Sezon *chubasco* na całym wybrzeżu, na morzu burze i perspektywa śmierci z pragnienia, jak to się już wielu przydarzyło na tych bezwodnych pustkowiach. — Ostrzegał Tracey i Glenna, prosił, żeby odłożyli rejs do zimy, ale im, bałwanom, ani to było w głowie.

Sztormy *chubasco*, niepogoda, ryzyko, niebezpieczeństwo? Och, to tym lepiej, tego właśnie im trzeba!

„Okay, niech wam będzie” — myślał Thumbs, ale w każdym razie dopilnował, by zatankowano odpowiednią ilość paliwa, zaopatrzone jacht w prowiant i, co najważniejsze, słodką wodę, nim wypłynęli z Guayaquil, ostatniego portu. Między wybrzeżem Ekwadoru a tymi przekłętymi wyspami mieli sześćset mil otwartego morza i niepogody i tyleż z powrotem, nie licząc paliwa i wody potrzebnych na opłynięcie tego dużego archipelagu. Jeżeli chodzi o Glenna, miał ręce pełne roboty przy jachcie, a oczy zaprzątnięte śledzeniem barometru. „Arundel” nie był najłatwiejszy do

opanowania w nagłych szkwałach; nieco rozbrykany, za wąski. „Trochę podobny do tych zbyt szczupłych dziewcząt na okładkach pism ilustrowanych, co to, jak na taką patrzysz, to ci się zdaje, że dość palcem kiwnąć, a wpadnie w histerię” - zauważył Glenn.

Jedną z przewrotności tych regionów jest, że im bardziej zbliżać się do równika, tym zaczyna się robić chłodniej, a jednocześnie słońce nabiera okrutnej ostrości, pokrywa ludzką skórę pęcherzami, wbija szpile w oczy i kompletnie człowieka odwadnia.

W spokojne dni woda była jak roztopiona cyna, a w miejscach, gdzie promienie słońca uderzały w nią jak młot, wystrzeliwały iskry. Czasami Thumbs czuł litość dla księcia. Nieszczęsny Lahszi patrzył zza ciemnych okularów oślepienymi oczyma z czerwonymi obwódkami na cyrkowe sztuczki ryb latających, skaczące delfiny, fontanny wypuszczone przez wieloryby i płetwy grzbietowe nieodstępного konwoju żarłocznych rekinów. Tylko zapowiedź porządnych łowów na wyspach jakoś go trzymała. Nieustannie czyścił i oliwił swoje rozliczne strzelby, a na rufie kazał wznieść urządzenie, gdzie strzelał sobie do rzutków, ile dusza zapragnie. Był wybornym strzelcem i o wiele przewyższał w strzelaniu Tracę — również nieźle posługującą się bronią. Thumbs podejrzewał, że celowo pozwala się pokonać, aby mu dogodzić.

Możliwości wędkarskie na tych wodach są niewiarygodne, lecz Tracę wkrótce przestała się tym emocjonować. Za łatwe. Żadna zabawa, skoro wystarczy rzucić za burtę linkę z kawałkiem przywiązanego do niej płótna, żeby złapać rybę, jaką tylko człowiek sobie wymarzy. Trochę przeszkadzały rekiny — nigdy nic odstępowały jachtu, ciche, wyczekujące, gotowe porwać rybę wraz z haczykiem, urwać linkę albo z całego połowu zostawić poszarpaną głowę na haczyku.

Bardzo niewielu ludzi zagląda na Galapagos, jest to

bowiem podły, bezużyteczny i niebezpieczny zakątek. Kilka kutrów rybackich, raz na jakiś czas grupka naukowców czy kilku półgłówków, którzy są wariatami już od razu na początku albo wariują dopiero po paru miesiącach pobytu wśród tych bezlitosnych zwałów popiołu, myślał Tbumbs. I on, i Glenn często opływali Zatokę Kalifornijską, zatokę, półwysep, znali więc jeden z najdzikszych zakątków świata — pustynię, nagie skały, lwy morskie niby ryczące głązy, głód i pragnienie, i gigantyczne fale. Na archipelagu Galapagos wszystko to należy pomnożyć jeszcze przez pięćdziesiąt plus pewna porcja nieznanych trudów. Każdy kto udając się tam marzy o koralowych brzegach z palmami — jak to zapewne czynili Tracey i Glenn — albo, jak księżę, o dżunglach, w których można polować na tygrysy, jaguary i krokodyle, musi się przykro rozczarować. Nic, tylko jałowe, popielate pustkowienie, jakby wszelkie życie pochłonęła ofiara całopalna, pozostawiając tylko nagie szkielety gór i drzew. Rośliny i krzewy, które powinny być zielone, są popielatoszare; także są równiny, gdzie chciałoby się widzieć trawę, także błotniste połacie zalewisk przypiływu oraz głębokie piaszczyste żleby w oślepiającym upale. Tylko gigantyczny kaktus jest zielony, ale inną zielonością niż zwykłe rośliny. Zielony jak metalowe kręgi o ogromnych kołcach, wchodzące w skład jakiejś piekielnej maszyny do torturowania i wykręcania roślin w niesamowite kształty. A poza tym są jeszcze, oczywiście, czarne bazaltowe skały i czarne, spustoszone połacie lawy pokrywające zbocza licznych wulkanów. Na ich stożkach znajdziesz wiele dymiących szczelin i kraterów wszelkich kształtów i rozmiarów, a jak się udać w głąb lądu i pozostawić za sobą grzmiący, huczący brzeg, człowiek natrafia na taką ciszę, że aż zaczynają go ogarniać Bóg wie jakie atawistyczne lęki. Ptaki, owszem, są, lecz cisza jak by się jeszcze pogłębiała, kiedy przerywa ją świergot ptaka, cykanie koników polnych, które spłoszyłeś sze-



lestem, albo łopot wielkich skrzydeł sokoła w powietrzu.

W każdym razie San Cristóbal, gdzie „Arundel” najpierw zarzucił kotwice, jest jeszcze całkiem łagodnym miejscem w porównaniu z innymi wyspami. Zbyt łagodnym jak na gust Tracey. O jakieś pięć mil od brzegu znajduje się tam spore ranczo, zwane Progreso, skąd zaraz, gdy zobaczono jacht, przysłano kilku *vaqueros*\* z końmi. Jest to jedyne zamieszkałe miejsce na archipelagu, nudne, nędzne, ani lepsze, ani gorsze od wielu podobnych zagubionych w prerii rancz, a już na pewno wcale nie egzotyczne. Kilka źródełek — rzadkie a cudowne zjawisko na tych zabójczych wyspach — umożliwia uprawę lichej trzciny cukrowej i hodowlę koni i bydła. Ale, jak to zupełnie słusznie stwierdziła Tracey, równie pęsepy widok można napotkać w każdym z tysiąca suchych zakazanych miejsc na naszym południowym zachodzie.

Ponieważ ani właściciela, ani zarządcy ranczo nie było, nadzorca pconów sam zaofiarował podróżnym gościnę. I spędzili noc trzęsąc się z chłodu w hamakach zawieszonych dla nich w chwiejącej się szopie o dachu z falistej blachy, która całą noc wydawała odgłosy, jak by kongregacja duchów tańczyła na niej menueta. Była to jednak tylko gęsta mgła, zwana tu *garua*, która się skrapla w chłodne noce na tych szerokościach i jest zbierana jako cenne, życiodajne H<sub>2</sub>O do różnych garnków, kubłów i starych worków z nieprzemakalnego płótna, a potem rankiem wlewana do manierek.

Aby dogodzić swojemu mężowi, Tracey wystąpiła jako tłumacz między nim a *vaqueros*, którzy bardziej niż ochoczo obwieścili swą gotowość ruszenia z nim na polowanie. — Jaka tu zwierzyna? pytał Lahszi, by móc się zdecydować na wybór strzelby. Aj, najrozmaitsza, doskonałe polowanie. Świnie i kozy, i świnie. Świńskie mięso bardzo dobre. Kozie

\* **Vaquero** (hiszp.) — **pastuch**.

też. Smaczne. Dzikie świnie, dzikie kozy. Nieszczęsny książę już zapewne widział siebie polującego na odyńca, jak na starych makatach, lub przy składaniu się do kozic w Alpach. Niedźwiedzie? Tygrysy? Kazał Tracey zapytać. *Como not* Ależ tak, niedźwiedzie i dziki, i bardzo niebezpieczne, olbrzymie zwierzęta z gatunku kotów, wszystko, zapewnił człowiek, bo Indianin zawsze daje odpowiedź, która jego zdaniem może sprawić pytającemu przyjemność. Więc całe towarzystwo ruszyło konno w górskie okolice. „I szkoda słów, śmieszna stanowiliśmy kawalkadę wspominał Thumbs. — Odnosiło się wrażenie, jakby każdy miał ukryte u siodła parę ładunków dynamitu, który lada chwila może wybuchnąć”. Tracey wolała zostać na miejscu albo nawet wrócić na jacht z kapitanem, ale Barany najwidoczniej nie pozwolił jej na to. Glenn ze swej strony nie chciał się zgodzić, aby jechała w nieznaną spopielalą głąsę mając za jedyne protektora i obrońcę swego strzelca z Wysokich Tatr. Co do Thumbsa, ten przyczepił się do nich, aby w razie kolizji tych dwóch odegrać rolę zderzaka. Cummings, steward, człowiek w średnim wieku, który niegdyś służył na liniowcu transoceanicznym i chlubił się swym doświadczeniem w postępowaniu z pasażerami pierwszej klasy, nabrał ojcowskich uczuć dla Lahszi i chodził za nim niby wąsata mamka, i boy z głową nabitą opowieściami o skarbach, który raz przynajmniej przestał dłużyć w nosie, by pełnić rolę nosiciela broni czy czegoś takiego. Kilku *vaqueros* wyruszyło z nimi jako przewodnicy, dla rozrywki, papierosów, słodyczy, napiwków — i żeby się przyjrzeć zachowaniu tych dziwnych ludzi z innego świata.

W każdym bądź razie ta pierwsza wyprawa zrobiła całkowitą klapę, a tak zwane polowanie okazało się zwyczajną farsą. Lahszi, dwunasty książę Barany, uznał to za obelgę, kiedy *vaqueros* zachęcali go, by strzelał do jakiegś

wynędzniałej, z wyglądu schorowanej czarnej świni albo zmęczonej starej kozy, które wychodziły ufnie i z zaciekawieniem z cienia zarośli *guava* lub spoza skały, jakby cieszyły się, że wreszcie widzą jakieś nowe twarze, czy też w nadziei, że nowo przybyli nakarmią je albo pogłaszczą. *Quelle farce*<sup>1</sup>. Równie dobrze mógłbym strzelać gazy w ZOO — rzekł melancholijnie. Dzień był upalny, a noc chłodna, on zaś wyglądał nieco absurdalnie ze swym wytwornym myśliwskim ekwipunkiem — w kurtce polowej, ciężkim topi, wysokich butach przeciw moskitom — i pewnie wiedział o tym. Miał jednak to na pocieszenie, że inni mężczyźni, ludzie morza, chociaż sensowniej ubrani, w panamy, płócienne spodnie i koszule, lecz nie przyzwyczajeni do konnej jazdy, nabili sobie wilka jak wszyscy diabli.

Nazajutrz opuścili San Cristobal i udali się na dużą wyspę, zwaną czasami Albemarle, a czasem Isabela. Wyglądało na to, że znajdą tu, czego szukali: wysokie góry, wulkany, lasy, flamingi, pingwiny, albatrosy, równik i Antarktydę skupione razem. Główna atrakcja: setki mil, gdzie nikt jeszcze nie postawił nogi. Zupełnie dziewiczy zakątek, gdzie wszystko jest możliwe, wszelkie niespodzianki, odkrycia, wszystkie fantastyczne przygody, jakie tych dwoje romantycznych badaczy mogło sobie wymarzyć w nieokiełznanym snach.

Tagus Cove jest jedynym miejscem, gdzie przy sprzyjających okolicznościach mała łódź może dobić do brzegu. Kanał, który tam prowadzi, jest bardzo wąski i trudny do odnalezienia, bowiem zakrywa go mała paskudna wysepka. Nawet na mapie wygląda to, jak by w gardle Isabeli utknął knedel. Glenn postanowił rzucić kotwicę dwie mile od brzegu, a na ląd dotrzeć łodzią śliczną, z motorem przyczepnym, który wziął z sobą przewidując takie właśnie komplikacje.

Trzeba było nie lada wyczynu żeglarskiego, by dopro-

wadzić łódź do brzegu i księżę oraz steward Cummings cierpieli męki piekielne przy huśtaniu. Kiedy ujrzeli stosy pobielających kości ścielące się wokół mikroskopijnej zatoczki — kości wielorybów, najrozmaitszych gatunków zwierząt, a prawdopodobnie też trochę z gatunku *homo sapiens* — podróżnicy radzi byli, że mają za przywódcę człowieka kalibru kapitana Hammersa.

— Skóra cierpnie — szepnął struchlały Cummings.

— No... — przyznał Dave, boy, blady i rozdygotany, pełen rozkosznej nadziei na wszystkie najstraszliwsze dreszcze, które on, nadczłowiek, sobie obiecywał. Księżę nie mówił nic. Wyczerpany, wymiotował oparłszy głowę dyskretnie o chropowatą skalę wulkaniczną. Inni też milczeli rozglądając się wokoło. Coś złowróżbnego unosi się w samym powietrzu nad tym przeklętym archipelagiem, co powoduje, że człowiek czuje ucisk w piersi, *łomotanie* serca i szum w uszach. Nieustanne wyczuwanie nieznanymi niebezpieczeństw, choć żadne ze skąpych sprawozdań ludzi goszczących tu przedtem nie napomyka o jadowitych węzach, febrach, drapieżnikach. Któż jednak mógł być pewien, co kryją te dziewicze lasy powyżej ośmiuset stóp nad poziomem morza, które były ich celem? Jaka była przyczyna, że nikt nigdy nie zatrzymał się na Isabeli dostatecznie długo, by zbadać niezbadane?

Traccy podsumowała to wszystko mówiąc: - Nie zdziwiłabym się, Lahszi, gdybyś tu jeszcze ustrzelił dinozaura.

Co do Thumbsa, ten nie zdziwiłby się nawet, gdyby nagle jeden z wulkanów wybuchnął i zmiotł wszystkich do morza, by ich do reszty ugotować.

Cała natura jest lam tak wroga, jakby nie mogła znieść człowieka, tego intruza, i jego wszystkich bzdur. Krzewy nie wypuszczają liści, tylko ciernie, owoc jednego z nich jesł trujący i przyprawia człowieka o obłąd, manzanita wywołuje na skórze pęcherze i doprowadza do szału swędzeniem

dziesięć razy gorszym niż sumak trujący, kręgi kaktusa mogłyby posłużyć za doskonałe łoża dla fakira, a z oślizłych mangrowców wylatują całe chmary malutkich czarnych moskitów, które zadają istne tortury. Nawet trawa, którą się napotyka wyżej, jest zaopatrzona w drobne kolce, w prawdziwy komplet miniaturowych noży, pilników, igieł, pił, najrozmaitszych ostrzy, ostróg i innych narzędzi.

— No, więc jesteśmy na miejscu — rzekł Glenn, kiedy wyciągnęli łódź poza ślad najwyższego przypływu, zabezpieczyli i ustalili, że będą trzymać przy niej stałą wartość. Ostatecznie, gdyby coś stało się z tą łodzią, szanse na ich ocalenie byłoby bardzo nikłe.

A więc to jest Tagus Cove — rzekł księżę.

— Niezawodnie, mój kochany — powiedziała Tracey. -Jesteśmy na drugim świecie, czy to nie cudowne?

Krótkie spięcie między księciem Barany a kapitanem Hammersem, które Thumbs przewidywał i którego się lękał, nastąpiło niebawem — w dniu, gdy usiłowali wdrzeć się na wyższy poziom góry, gdzie zakurzony grynszpan kaktusa i meskitu zmienia się w prawdziwą zieleń rzeczywistych drzew, lasów, dżungli. Od początku wzajemna grzeczność tych ludzi nie miała szans na przetrwanie, a napięcie rosło, wzmagало się od epizodu do epizodu niby rozwlekłe, zamaszyste *crescendo* w symfonii, aż osiągnęło swój dysonansowy szczyt, ostateczne załamanie, katastrofę. Większość tych niemiłych i istotnie niebezpiecznych epizodów powodował księżę — wykolejony, niezrównoważony neurastenik i, bezsprzecznie, bardzo nieszczęśliwy człowiek.

„Biedaczysko — wspominał Thumbs. — Budził we mnie żal. Niesmak też, ale jednocześnie żal, jeżeli pani wie, o co mi chodzi...”

Choć duża część wyspy stanowiła jakby przedsmak piekła,

to jednak — mimo piasków zarzuconych kosmami, prostopadłych czarnych skał, niebezpiecznego wąskiego kanału wiodącego przez wiry kipieli do jedynej przystani, mimo spiekoty, oślepiającego słońca w południe, dreszczów chłodu nocą była ona również rajem. Rajem dnia piątego, zanim Bóg dał człowiekowi zadanie; że „przełożony będzie rybom morskim i ptastwu powietrznemu, i bestyom, i wszystkim ziemi, i nad wszelk im płazem, co się płaza po ziemi”. Do tego rajy niewinnych ufnych zwierząt wtargnął człowiek w osobie Lahszi, księcia Barany, i wziął go we władanie swymi strzelbami, sztucerami, pistoletami.

„Ptasłwo powietrzne” było w tak fantastycznej obfitości, jakiej namiętny myśliwy nie mógłby sobie wyśnić nawet w najbardziej odurzających snach. Zrozumiałe, że Barany wpadł w istny szał i strzelał bez opamiętania strącając mewy i gapy, pelikana i kormorana, dwa stare albatrosy, trochę kaczek oraz kilkoma godnymi pożałowania zabłąkanymi śrutami również parę zieb i drozdów, a nawet młodą nierozważną sówkę. Rzecz w tym, że te skrzydlate istoty po prostu nie rozumiały, iż. człowiek jest ich wrogiem. Zamiast uciekać, nadlatywały ufnie, dosłownie mrąc z ciekawości. Tracey nie mogła dłużej znieść tego masowego mordy.

— Co z tobą jest? Upiłeś się? Czy słońce ci na mózg padło? — spytała męża. - Nic sądzisz, że już dość lej zabawy?

— Jeżeli nie nauczę ich porządku, staną się kłopotliwe, zobaczysz. Będą nam kradły jedzenie i spróbują ci wydziobać twoje śliczne oczka — odparł ze złością. Nacierpiał się co niemiara, zanim dobili do lądu. i uskarżał się odtąd na nieznośny ból głowy. Łykał potężne dawki aspiryny, która jest nieodpowiednim lekiem w morderczym upale. Sól utraconą w strugach potu uzupełniał tabletkami soli, które z kolei sprawiały, że pił ogromne ilości wody. Glenn ostrzegł, że będzie musiał ograniczyć racje wody, jeśli Barany zużyje zbyt wiele tego cennego płynu.

Co do stworzeń „co się pływają po ziemi” — były tam stonogi, szkarłatne kraby, jaszczurki w pomarańczowe pasy, nawet trochę nieszkodliwych a płochliwych węży; było też kilka olbrzymich żółwi, od których wywodzi się nazwa archipelagu. Apatyczne kloce, bezpieczne w swych skorupach, z miną królowej Wiktorii zażywającej z godnością drzemki w czasie nużących ceremonii dworskich.

Były też iguany — setki, a może nawet tysiące iguan.

Wyglądały jak malutkie smoki. Próbowaly nawet zionąć ogniem, lecz udawało im się tylko wydać lekkie kichnięcie i na więcej brakło im śliny. Ich komiczna ciekawość była bez granic, a kiedy się już oswoiły i spoufaliły, można było dostrzec melancholijne woreczki pod ich oczyma i uśmiech rezygnacji na zawsze wbudowany w rysy. mądry uśmiech gatunku skazanego na zagładę. Jak by mówiły: „Trzeba nas było widzieć, kiedy rodzina nasza miała jeszcze siłę i wpływy! Ach, mój przyjacielu, wszystko jest marność nad marnościami!”

Thumbs, trochę zgorszony wykrzykiem tak niestosownego podobieństwa w tym uśmiechu, wahał się przed określeniem go jako... ludzki.

Gdy Traccy zobaczyła, że księżę sięga do kieszeni po rewolwer, szybko pochwyciła go za rękę.

Masz tu dinozaury, które ci obiecałam, chociaż w miniaturze — powiedziała bez wrogości. — Nie zabijaj, proszę, tych maluchów. Kto wie, może jutro, w dżungli, znajdziesz wielkie, prawdziwe pierwotne potwory, prawdziwe smoki... a jaką potem wzbudzisz sensację, mój kochany!

Tego dnia, gdy słońce rozpędziło chmurę, która zwykle niby gruby bandaż spowijała wierzchołek najbliższego wulkanu, ujrzeli po raz pierwszy jego stożek, a niżej głęboką zieleń lasu. Na oko nie było do niego daleko, ani droga nie przedstawiała się uciążliwie.

Ten drugi dzień ich pobytu na Isabeli był dość spokojny, póki nie zaszło bardzo nieprzyjemne wydarzenie z lwami morskimi.

Hałaśliwa ich gromada obozowała na półkach skalnych i ukształtowanych w schody występach skalistego brzegu, cały harem leniwych samic, śpiących albo karmiących swoje małe.

— To jest zupełnie jak obraz Ingresy, prawda? Ten z milionami tłustych kobiet, zapomniałam, jak on się nazywa, tylko że czekoladowych, a nie cielistych — powiedziała Tracey w zachwycie.

Słyszając to Barany uniósł brew i zauważył złośliwie:

— Odkąd to miłady interesuje się tak dekadencjami sprawami jak sztuka i kultura?

Tracey nie zwróciła na to uwagi, była zbyt oczarowana lwim przedszkolem. Małe były okropnie śmieszne i miłe — tłuste bachory kiwające się jak kaczki. W chwili gdy Tracey wskoczyła na następną półkę, by im się lepiej przyjrzeć, czworo ich oderwało się od reszty i z ufnością podpełzło ku niej, równie skore ją obejrzeć, jak ona pobawić się z nimi.

Wtedy w raj ten wtargnął huk wystrzału.

Jedna z dam haremu leżąca na wyższej półce, zapewne matka, ocknęła się, poruszyła lekko głową, klasnęła łapą w skałę i znów popadła w drzemkę. Ogromny samiec tkwiący jak posąg o kilka skał dalej od swych żon, wydał chełpliwy, groźny ryk głowy rodu, ryk ten nie został jednak poparty jakąkolwiek akcją. Trzy młode dotarły z klapaniem i klaskaniem na występ, gdzie klęczała Tracey, czwarte, trafione kulą, zatrzymało się w połowie drogi.

Spojrzało na Tracey swymi ogromnymi ciemnymi oczyma, błagalnymi, nie rozumiejącymi oczyma chorego dziecka. Kilka wielkich łez spłynęło mu na płaski nos mieszając się ze stróżką krwi wypływającej z nozdrzy. Potem zwierzę wydało urwany, pełen skargi dźwięk i skonało.



Tracey zsunęła się ku lśnącemu ciału zwierzęcia i położyła dłoń na jego gładkim, krągłym łbie. Trzy pozostałe młode potoczyły się za nią, nadal ciekawe i zupełnie nie czujące strachu przed tą samiczką, jakiej nigdy jeszcze nie widziały. Znów ozwał się strzał i tym razem odpowiedział mu potężny, wściekły ryk samca na autokratycznym bazaltowym tronie. Zachwiał się i nie przestając ryczeć potoczył w dół po skałach ułożonych w kształcie schodów, aż wreszcie zwałił się z wielkim chlupotem w nieruchomą, głęboką zatoczkę pośród najeżonych ostrych odłamów bazaltu.

Świetny strzał! Prosto w lewe oko! — pokrzykiwał Barany. — Cummings — Dave — trzeba mi liny — spuszczę się po niej i uwięzę tego byka, ajak dam wam znak, ciągnijcie, dobra, kapitanie?

— Obawiam się, że już ktoś inny nim się zajął — rzekł Glenn wskazując w dół, gdzie mała zatoczka w jednej chwili zamieniła się w kotłowaną trójkątnych płetw, łomocących ogonów, kęsających szczęk, a tymczasem w powietrzu już zaczynały się gromadzić mewy z przejmującym, żarłocznym chichotem.

— Niemożliwe! Rekiny? — zapytał księżę. Glenn nawet nie odpowiedział. Schylił się nad Tracey i łagodnie odprowadził ją od zabitego zwierzęcia.

- Nie chcę, żeby tego malca dostały rekiny — rzekła szeptem. — Chcę, żeby był pochowany, pochowajmy go, Glenn, błagam...

Barany wziął Tracey z drugiej strony pod ramię.

— Strasznie mi przykro, kochanie — wymamrotał. Byłem podniecony — ten klimat to okropne słońce zaślepiło mnie na chwilę...

Tracey z napiętą twarzą tuż przy jego twarzy wyszeptała:

— Mogłabym cię zabić! Mogłabym cię zabić, słyszysz? Zabić...

Barany puścił jej ramię i odstąpił do tyłu. Na twarz

wypłynął mu grymas wymuszonego uśmiechu, jakby nadrabiał miną okropny ból zęba. Wyjął z kieszeni rewolwer i wyciągnął go do niej parodiując dworny ukłon.

— Tesek, oto proszę — rzekł. Jestem do dyspozycji pani.

Ten przykry żart nie znalazł echa i wszyscy w milczeniu ruszyli do obozu. Glenn oświadczył, że przy odpływie uda się na jacht, zbada jego stan i przywiezie nowy zapas jedzenia oraz, co najważniejsze, słodkiej wody, by wystarczyło ekspedycji na dwa, trzy dni w górskich lasach.

— Po co tyle hałasu o wodę? Przecież w tych lasach musi być mnóstwo wody. Brać wodę do dżungli! Przyznaj sam, Hammers, że to absurd.

— Możliwe, Barany, ale póki za was odpowiadam, póty nie będę ryzykował.

- A jak pan zamierza przetransportować tę wodę wysoko w góry?

— W manierkach, proszę pana. 1 w bukłakach z kozłej skóry, jak Arabowie - odparł Glenn hamując gniew z doskonałą techniką, jakiej nabrał w okresach niepowodzeń życiowych: jako kadet marynarki w Annapolis, na przykład, albo kiedy zarabiał na życie wożąc turystów na polowania na aligatory.

Zarzucając karabin na ramię i mrużąc pod wąsem, że wodę można zawsze znaleźć, jeśli się to umie robić: „Czego my, Madziarzy, uczymy się na pusztach” Barany ruszy! w drogę gwizdnawszy na Dave\*a, aby szedł razem z nim.

Nie znalazł wody, lecz wrócił z całkiem niespodziewaną zdobyczą. Mniej więcej w czasie, gdy Glenn przywiózł z jachtu cztery dziesięciogalonowe baryłki wody, książę zadziwił wszystkich przyprowadzając do obozu dwa muły. Były to ładne zwierzęta srebrnoszare i czarne na pyskach, jakie czasami widuje się w Hiszpanii.

Nawet Thumbs musiał się zgodzić, że mimo przykrego widoku, jaki Jego Wysokość przedstawiał na wzburzonym morzu, na suchym lądzie umiał trochę rzeczy, o których ani Thumbs, ani Glenn nie mieli pojęcia. Na przykład tropić. Obedrzeć skórę z królika i wspinać się w górach. Tracey z okrzykiem zachwytu zarzuciła ramiona na szyje mułom i wyciąowała je, a potem w ten sam sposób okazała swą radość mężowi.

Był to moment triumfu księcia i na parę godzin przestały go nękać bóle głowy. Opowiedział, jak dostał muły w zamian za trochę ładunków. Umiał obchodzić się z tymi zwierzętami, juczyl je ze znajomością rzeczy i dokonał wkrótce tego, że nastawiały ucha i były posłuszne jego rozkazom. Sycąc swe zgłodniałe „ja” zdumieniem innych, przyjmował wszystkie komplementy z czarującą skromnością i umniejszał swoje niebywałe osiągnięcie. Cóż to wielkiego, jeśli ktoś z góry nic zakłada, że każdy kłęb unoszącego się dymu musi pochodzić ze szczeliny w stożku wulkanu; i jeśli, widząc ślady kopyt na spękanej ziemi w wąwozie, idzie ich tropem. Doprowadziły go one do grupki walących się chat, gdzie mieszkało dwoje staruszków, wysuszonych, spalonych na brąz i pomarszczonych jak mumie, ostatnich pozostałych przy życiu z całej nieszczęsnej kolonii. Trudno się było z nimi porozumieć, póki Dave nie odgrzebał w pamięci odrobiny szwedzkiego, którą przekazał mu dziadek. Barany bardzo zabawnie odtworzył ich dialog i przynajmniej raz zagościł w obozie śmiech i harmonia.

Czy mają świeżą wodę? Nie, tylko kilka kropel *garua*, która osiadła na dachu, ale w późniejszym okresie roku jest tyle wody, że można się utopić. Ale jak oni sobie radzą bez wody? Radzą sobie — trzeba jeść dostateczną ilość surowych ryb i moczyć się kilka godzin w zatoce, kiedy człowieka ogarnie silne pragnienie. Można pić skórą, zapewniali go. Gdzie znaleźli muły? Po tamtej stronie, mówili, wskazując

niewyraźnie na popielatą zaporę wzgórz, oddzielającą ich schronienie od reszty świata. Na starej plantacji. Ach, na plantacji? Czy są tam jeszcze muły? Pewnie, tysiące mułów. Tysiące dzikich mułów. Czy ludzie na plantacji są przyjaźni? Czy bezpiecznie się z nimi zadawać?

Staruszkowie uznali to za najśmieszniejszy żart, jaki usłyszeli od wyjazdu ze starego kraju. Trudno o bardziej przyjaznych, bezpieczniejszych ludzi niż ci stamtąd, ze starej plantacji, bo są nieżywi. Umarli przed przeszło stu laty. Jeszcze większy śmiech i klepanie po kolanach wywołała uwaga księcia, że tam nie może być tysiąca mułów, a nawet tuzina, bo jak powszechnie wiadomo, muły nie mogą się rozmnażać. Powiedział im, że po prostu kpią z niego, aie w porównaniu z węgierskimi Cyganami bardzo nieudolni z nich łgarze. Żadne kpiny, żadne łgarstwa, a święta prawda, zapewnili go. Tysiące mułów, bardzo złych mułów, dzikich. Te są łagodne, bo zastrzelili ich matki i wykarmili na kozim mleku. Są to dzieci dzikich koni i dzikich oślic, których jest tysiące na starej plantacji! Co jeszcze jest na tej plantacji? Ogórki, odpowiedzieli. I co jeszcze? Ogórki. Całe miliony. A więc musi tam być woda, rzekł Barany, bo bez wody nie ma ogórków. Pewnie, że jest woda. Ale i tak nie można się tam przedostać. Czemu? Nowy wytrysk lawy podczas ostatniego wybuchu wulkanu. Za gorący. Kto wie, za dwadzieścia albo pięćdziesiąt lat może już znowu da się tam przejść.

I oto wrócił z dwoma mułami i jeszcze niósł podarowane trzy ogórki — okropne, zasolone w wodzie morskiej, nim jeszcze nowy wytrysk lawy nie odciął tych zapasów.

— Naprawdę, bardzo prosta transakcja — powiedział Barany.

W tym nastroju otwartości rozłożył cały swój arsenał, by Glenn mógł sobie wybrać broń przed wyruszeniem w drogę. Browning, jego ulubiony śliczny Mannlicher kaliber 7 mm, nawet ciężki Westley Richards, pamiątka chwalebnych ło-

wów. Na krótki moment malutka chmurka zaciemniła jego różowy nastrój, kiedy Glenn grzecznie, ale stanowczo mu podziękował.

- Dziękuję, Lahszi, aleja naprawdę nie lubię polować. Nie lubisz?... A pamiętam, jak wspominałeś coś o strzelaniu aligatorów? Niedźwiedzi? Czy to tylko były takie sobie przechwałki?

- My żeglarze, ogromnie lubimy Igać. Otóż naprawdę musiałem kiedyś zastrzelić niedźwiedzia, kiedy nachodził nasz obóz — to było w Sonorze — ale zrobiłem to z konieczności, nie dla rozrywki.

Nie wiadomo, co nas czeka w dżungli. Weź przynajmniej mój pistolet.

Dla obrony, nie dla zabawy -nastawa! Barany. Tego ranka on był górą i za wszelką cenę chciał utrzymać swą pozycję, pokazać Traccy, jaki jest wspaniałomyślny. Glenn wziął pistolet, który mu Barany poda!, i obejrzał go z niepewną miną.

— To mój stary wojskowy pistolet kaliber 7,62 mm, automatyczny, produkcji austriackiej, doskonała, pewna broń — rzek! Barany przekonująco, lecz Glenn zwrócił mu go z uśmiechem.

— Mam taką zasadę, że nie noszę broni, chcę uniknąć kłopotów — powiedział spokojnie. — Ty go weź, tobie może się przydać — ja idę z wami tylko żeby się przejść. -A czując, że jego odmowa może wywołać zgrzyt, szybko dodał: — Ty jesteś naszym Białym Łowcą. Prowadź, a my pójdziemy za tobą.

Zanim podniosła się *guma*, załadowano bagaż na muły, zabezpieczono łódź, postawiono Cummingsa na straży

i towarzystwo ruszyło w głąb lądu z wielkimi nadziejami. Opanowała ich gorączka spenetrowania tych nie tkniętych stopą ludzką okolic, które stawiały opór potwornymi przeszkodami w drodze, a jednocześnie nęciły obietnicami spo-

kojnego cienia, wilgoci, chłodu i niespodziewanych odkryć, głęboką tajemnicą nieznanego.

— No jak, chłopaki? - zagadnęła rozradowana Tracey po dziesięciu minutach. — *Ja osobiście jestem* taka podniecona, że aż mi dech zapiera.

— Wszystkim nam brak tchu, *mon vieux*. Lepiej zwolnij i nie rozmawiaj!

— upomniał ją książę przytaczając tę pierwszą zasadę górskiej wspinaczki. Odkąd pozostawili linię brzegu poza sobą, był to ciężki marsz i stawał się coraz trudniejszy w suchej, bezdrożnej dziczy pod prostopadłym żarem słońca.

— To zwodniczy teren — zauważył Barany.

- Ale przyjemny, jak bieg z przeszkodami — powiedziała Tracey ciężko dysząc.

To, co wyglądało jak płaska misa, było poprzecinane gęsto wąwozami, szczelinami, rozpadlinami. Człowiek drapał się w dół po stromej ścianie, by stwierdzić, że czarny cień na spodzie jest gorący jak piec. Gramolił się potem w górę osuwając się, ześlizgując, a krzak, który chwycił, żeby się przytrzymać, wbijał mu w dłonie twarde, brutalne kolce. Zdarzało się i gorzej, bo się czasami obrywał i wtedy leciało się w dół z wysokości zdobytej z takim trudem. Niektóre z tych wąwozów miały prostopadłe ściany i były zbyt szerokie, aby je przeskoczyć, i za strome, żeby się na nie wspiąć. Można je było jedynie okrążyć. Te okrążenia za okrążeniami odrzucały ich od wyznaczonego kursu, a różne przeszkody osłabiały zapał. Kuszące zbocze góry aksamitnej miękkości okazywało się z bliska żużlem i popiołem, w który się zapadało po kolana. Zielona polać, ku której szło się z mozołem, stawała się nieprzeniknioną płataniną kaktusów. Stawało się na lawie z pozoru zastygłej jak skała, a ona się załamywała, była to bowiem cieniutka skorupka pokrywająca złowrogie bulgotanie i wrzenie pod spodem. Człowiek wdzierał się z wysiłkiem na grań, która wydawała się ostatnią

dzielącą go od pasa zieloności w górze, a gdy już dotarł na sam szczyt, widział przed sobą nową dolinę do przebycia, za nią dalsze i dalsze. Schodził więc znów pochyłością zastygłej lawy, kruchej i poszarpanej, niczym stosy żużlu. A potem znowu piął się w górę zbocza pokrytego szklistymi zlepami, które wbijały mu się w podeszwy butów albo podskakiwały przy każdym kroku wydając metaliczny dźwięk. Nietrudno na nich wywichnąć nogę w kostce, a zwichnięta kostka może w tych stronach oznaczać zgubę.

Początkowo Barany rezolutnie objął przewodnictwo, jednak nic były to Wysokie Tatry i po dwóch godzinach zrobił najrozsądniejszą rzecz, jaką mógł uczynić, zdając prowadzenie mułom. Żadna z jego alpejskich wspinaczek, chwalebne forsowania lodowców, zwycięstwa w wyścigach bobslejowych, zawodach narciarskich, nie przygotowały go do trudów tej wyprawy. Wspomnienia lodu i śniegu wywołały w nim tylko nieznośne pragnienie i przywiodły aż na skraj halucynacji. Inni też dawali się zwieść mirażom wywoływanym palącym skwarem - łąkom, skałom przybierającym kształt fantastycznego pałacu, blaskowi wody płynącej po połyskliwym bazalcie.

W pewnej chwili miody Dave załamał się. Zachwiał się i upadł z pobielałą twarzą, w której odcinały się tylko czerwienią liczne pryszcze wieku dojrzewania.

— Wygląda jak poziomki ze śmietaną — powiedziała Traccy, żeby rozśmieszyć pozostałych. Thumbs ochłodził chłopcu skronie i przeguby rąk wodą z własnej manierki i chciał go posadzić na mula, który dźwigał dwie beczułki z wodą, ale zwierzę usiadło, przewróciło się i zrzuciło z siebie ten niepożądany dodatkowy ciężar, po czym spokojnie poszło dalej.

Najgorsze było to, że po wielu godzinach trudów i mordegi nie przybliżyli się na pozór ani trochę do celu wyprawy. Głęboka zieleń dżungli ustępowała wciąż dalej i dalej,

i w pewnej chwili Glenn rzeki z ponurym chrząknięciem:

— Może tam na górze wcale nie ma dżungli? Może to tylko jeszcze jedna zwodnicza gra luster?

Tracey stanęła i uważnie mu się przyjrzała.

— Chcesz papierosa? spytała.

— Dziękuję ci, skipper. Nie teraz - odparł głucho.

— Tak. Ja mam też jakby opuchły język - powiedziała uśmiechając się do niego spieczonymi ustami. Ucisnęła lekko jego ramię i ruszyła dalej.

Barany spoglądał za nią zaognionymi oczyma spoza ciemnych okularów.

— Zaczyna się robić chłodniej — rzekł dużo później Thumbs. Już nie było widać góry, bo nadciągnęła mgła.

W końcu przybyli do miejsca, gdzie rosły rzadko rozsiane drzewa o płaskich koronach, i rozłożyli się na noc obozem.

— Czy to ci nie przypomina Afryki, *cheriel* spytał Barany. — Tę noc, kiedyśmy przyjechali z Suswe?

Traccy pozostawiła to pytanie bez odpowiedzi.

— Jestem śmiertelnie zmęczona, mój drogi. Ty chyba też? —

powiedziała. Była to łagodna, ale stanowcza odprawa dla wszelkich sentymentalnych lub czułych wspomnień.

Następny ranek rozpoczął się nieco łatwiej — z odrobiną skośnego cienia pod drzewami i głosami dwóch rozgadanych drozdów. Nic nie wskazywało, że miał to być ich najgorszy dzień.

Zaczynali już się przyzwyczajać do niewygód, skaleczeń, zadrapań, wyprysków, pęcherzy, nadwreżonych mięśni, pieczenia oczu i już mogli sobie z tego żartować- Przeszło godzinę posuwali się niemalże równym terenem poznaczonym tu i ówdzie bezładną plataniną lantany lub dywanem drobniutkich, żółtych kwiatów pustynnych. Wszystko szło dobrze. Dopóki nie stracili mułów.

Te ładne zwierzęta wlokły się z nieugiętą, upartą i niezawodną cierpliwością swej rasy. Niezależne i same dbające o siebie pożywiały się napotkanymi w drodze liśćmi kaktusa.



Zdzierały kolce swymi małymi kopytkami i żując z zadowoleniem włóknisty miąższ gasiły nim zarówno głód, jak i pragnienie. Kiedy jednak wyprawa dotarła na skraj potężnego wylewu czarnej lawy, muły nic chciały iść dalej.

Widzieli to pole lawy przez lornetkę Glenna, gdy jeszcze byli na morzu. Martwa, czarna, jednostajna przestrzeń ciągnąca się od ukrytego w chmurach szczytu góry aż na brzeg i sięgająca przybrzeżnej kipieli. Teraz, gdy stali u jej skraju, wydała im się stosunkowo łatwa do przebycia. Nie miała stromizn, a tworząca ją lawa posiadała wręcz przyjemną strukturę - skamieniała melasa, obfita warstwa czekolady pokrywająca zbocze góry łagodnymi, miękkimi skrętami. Powietrze było nadal szare szarością poranka i chłodne, niebo zakrywała *gama*. Raptem mgły się rozwiały i jak negatyw w wywoływaczu z pełną wyrazistością wyłonił się krajobraz.

Podniósł się okrzyk radości i ulgi, kiedy stwierdzili, że od brzegu lasu dzieli ich tylko to pasmo lawy. W końcu skurczyła się nawet ta wykrętna dal. Dostrzegli charakterystyczną płataninę roślinności dżungli, a przez lornetkę widzieli nawet wysokie drzewa, ich korony w słońcu, oplecione lianami i pnączami, głęboki czarny cień u spodu.

Tym razem to nie miraż powiedziała Tracey z lekkim drganiem śmiechu w gardle. — Ile czasu zajmie nam, twoim zdaniem, przejście przez lawę, Glenn?

— Spytaj Lahsziego, skipper, on się na tym zna. Moja nawigacja na łódzie funta kłaków niewarta.

— Wkrótce już napotkasz swoje dinozaury, Lahszi rzekła wesoło.

- Ty i twoje dinozaury! — odparł rozbawiony książę bez urazy. Nie dla mnie takie bajeczki. Ale na pewno muszą tu być niektóre południowoamerykańskie koty-lwy górskie, pumy, kuguary, a kto wie, może i czarne pantery? Zmierzył okiem nagą przestrzeń rozciągającą się przed nimi.

— Przejście nie powinno nam zająć więcej niż dwie godziny, jak myślisz, kapitanie?

— Ja już nic nie myślę. Ale pewnie masz rację — rzekł Glenn i podał sekstans Thumbsowi. Mniej niż mila... najwyżej dwie godziny? Co powiesz, Thumbs?

Właśnie w tym miejscu i czasie muły się zbuntowały. Barany, arystokrata ziemski, jeździec, wytrawny znawca psów, mułów i osłów, zaczął do nich przemawiać. Szeptał, gwizdał, krzyczał, głaskał, groził. Nie chciały iść. Kładły uszy po sobie, ukazywały długie, żółte zęby, ale nie chciały iść. Barany otworzył torbę przytroczoną do siodła i szedł tyłem przed nimi pokazując kostki cukru na dłoni. Wyciągnęły szyje, porwały cukier, lecz nie ruszyły się z miejsca, stojąc z nogami wbitymi z mulim uporem w ziemię.

Upał wzmagał się. Powietrze nad lawą drżało, migotało, cuchnęło jak wyziewy z fabryki chemicznej. Chmury maleńkich szarych muszek obsiadły dygocącą skórę bydła i brzęcząc zataczały koła wokół głowy księcia. Barany pocił się jak kuglarz, który czuje, że go zawodzą najlepsze tricki. Dave, wychowany na fermie, podsuwał mu z boku różne rady. Barany rzucił w jego stronę jakieś przekleństwo, ale na szczęście po węgiersku. Kazał chłopcu pchać muły od tyłu, a sam ciągnął je z przodu. Muły jednak nie chciały ruszyć.

Nic można było obejść tego pola lawy, które ciągnęło się od szczytu aż do morza. Jeżeli chcieli dojść do lasu, musieli przez nie przebrnąć, a także zabrać z sobą ekwipunek, jedzenie i wodę. Glenn odszedł z Thumbsem na bok, żeby omówić, czy nie byłoby najlepiej zostawić zwierzęta i przeladować niezbędne minimum bagażu na swoje własne grzbiety — tak jak zresztą zamierzali przed cudownym znalezieniem tych upartych mułów. Glenn powiedział po namyśle:

— Może one wiedzą, czemu nie chcą iść? Może to jest świeży wylew i gdy będziemy na środku, załamie się i ugotuje

nas na miękko? Teraz zaczynam rozumieć, czemu te przestrzenie są oznaczone na mapie białą plamą.

Barany widział ich, jak szeptali. „Śmieją się ze mnie myślał — pozwolą mi się rozchorować przy tych półdzikich bydłach, a sami będą sobie stać z boku i bawić się moim kosztem”. Pot jak gorący olej ciekł z porów jego skóry i pomarańczowe zygzaki, zwiastujące nowy atak migreny, zawirowały mu przed oczyma. Wściekły odlamał gałąź od pobliskiego krzaka i jeszcze bardziej rozwścieczony, bo kolce wbiły mu się w palce, jął okładać muły, najpierw po zadach, a gdy zaczęły wierzgać, odskoczył w bok i ściągnawszy za powróż ich łby ku ziemi, uderzył je po pyskach i miękkich, wrażliwych nosach.

To im wystarczyło. Okręciły się w miejscu, mocne kopnięcie powaliło księcia z nóg, rozeszła się gryząca woń, oddały nonszalancko łajno, zadudniła woda w baryłkach, rozległ się trzask gałęzi, zagrzechotały kamienie, i nie zostało po nich śladu. Szarość buszu pochłoneła ich szare ciała.

- Dave, trzymaj, łapaj! — krzyknęła Traccy. — Gleim, Thumbs, szybko! — Sama pędziła już, wyprzedziwszy zaskoczonych mężczyzn. Barany kulał za nimi zmieszany i oszołomiony upadkiem. Parę razy mignęły im jeszcze sylwetki zwierząt, kłusowały niezbyt szybko, ale zniknęły w magiczny sposób w nieprzeniknionym gąszczu kaktusów i cierni. Ani fortele księcia, aby je otoczyć, ani wysiłki szybkonogiej Traccy nie pomogły w odzyskaniu zwierząt.

Uciekły, a z nimi wszystkie zapasy.

Nagle zrobiło się bardzo cicho. Wrzawa koników polnych poruszonych ucieczką i pościgiem uspokoiła się. Ustal szydarczy krzyk sokola zawieszony w powietrzu na prawie nieruchomych skrzydłach. Gdzieś w dole rozległ się ostatni głuchy odgłos, a kiedy poszli w jego kierunku, znaleźli jedną z baryłek na wodę, oderwaną przy uderzeniu o skały i roztrzaskaną. Nic było w niej jednak wody. Wyciekła do

ostatniej kropli i natychmiast wsiąkała w porowaty, podobny do pumeksu grunt.

— Bękarty! — jęknął Thumbs głucho, a słowo to wydało się Tracey tak śmieszne w zastosowaniu do mułów, że wybuchnęła śmiechem.

- A czymże innym są muły? — zawołała i nie mogła powstrzymać śmiechu. Mężczyźni patrzyli na nią zdziwieni i zatroskani. Histeria nie pasowała do Tracey.

— Dobra. A więc tak — rzekł Glenn spokojnie. Nie ma dżungli, nie ma dinozaurów ani kuguarów. Jeśli nam szczęście dopisze, zdołamy jakoś wrócić na „Arundel” z tą wodą, która nam jeszcze została w manierkach. Tracey?...

To powstrzymało jej śmiech. Uważnie popatrzyła mu w oczy, spoglądające spod szerokiego ronda kapelusza, i zrozumiała powagę sytuacji. Niemało badaczy zginęło z braku wody na tych wyspach.

— Tak jest, kapitanie — powiedziała. — Dobrze by było znaleźć się teraz na jachcie. Lahszi, kochanie, wyobraź sobie: zimny prysznic, zimne napoje, wygodna koja, jaja na boczku na śniadanie...

ICsiażę jednak, połyskując gniewnie okiem spoza ciemnych okularów, nie chciał ustąpić.

- Nie zgadzam się oświadczyć z naciskiem. — Stanowczo nie zgadzam się na odwrót. Jeżeli wy pragniecie ustąpić — *tesekl* — to zależy od was, panowie. Co do mnie, nigdy w życiu nie ustępowałem i nie ustąpię i tym razem... — z tymi słowami ruszył ostro w stronę pola lawy połyskującej czarno i złowrogo spoza skąpej zasłony buszu.

— Zwariował chłop — powiedział Thumbs. — Co on chce udowodnić? Że my, Amerykanie, jesteśmy miękcy i zepsuci, a on jest prawdziwym mężczyzną? Wychowany w surowości Wysokich Tatr i wykarmiony wilczym i niedźwiedzim mlekiem? Nie możesz mu przemówić do rozsądku, Tracey?

— A niech idzie - powiedziała Tracey. — Jeżeli chce się

zabić, to niech się zabije! — Rozwarła zaciśniętą pięść, jakby chciała rzucić coś, czego nie warto trzymać. Glenn jednak dopędził księcia i powstrzymał go za ramię.

— Słuchaj - powiedział z groźnym spokojem - jeżeli się upierasz, żeby dalej iść, zmuszasz mnie. bym poszedł z tobą. Ja przynajmniej mam pełną manierkę, podczas gdy ty wypielesz swoją, i jak dostaniesz porażenia słonecznego, zdołam cię jeszcze przydźwigać z powrotem. Thumbs — zawołał — ty i Tracey odpocznijcie chwilę, ale nic za długo, a potem postarajcie się znaleźć najbliższą drogę do brzegu. Tylko dobrze uważaj — ty też, skipper! Postaram się was dogonić.

Dave ze strzelbami księcia na ramieniu poszedł za nim ku lawie. Wierzył nadal w lwy i tygrysy, a był za głupi, żeby zrozumieć niebezpieczeństwo. - Thumbs patrzył na nich, kiedy tak szli jeden za drugim przez busz i ostrożnie weszli na pole lawy. Był bardzo zafrasowany i myślał, iż największy kłopot w tym, że ani nieszczęsny Lahsi, ani Glenn, ani tym bardziej Tracey nigdy nie mogą pozostawić wyzwania bez odpowiedzi. „Trzeba przyznać, że ten książę, ten pasożyt, ma pewien własny rodzaj odwagi, cały z czerwonego pieprzu i papryki, a przeniesiony na obcy grunt, zatraciwszy kastę, musi wciąż wykazywać, że nie jest utrzymankiem, mimo małżeństwa z milionerką. A Glenn, len ma znowu własne powikłania...”

Gdyby Barany nie dostał kopniaka od muła i gdyby nie musiał zrezygnować z przejścia przez pole lawy już po dziesięciu minutach, kiedy się okazało, że to muły miały rację, a nie on — że lawa jest jeszcze gorąca, aż przysmała buty — i gdyby go nie zaślepiła zazdrość, kiedy trochę później Glenn i Tracey odłączyli się od reszty na małą chwilę, nie zestrzeliliby flamingów. Ale zdarzają się takie dni, że wszystko się przeciw człowiekowi sprzysięga. Możliwe, że jakoś udało im się przedostać na ową „drugą stronę”, o której mamrotały

szwedzkie mumie, może pogoń za przekłętymi mułami sprawiła, iż zmylili drogę, w każdym razie szło im się łatwiej, roślinność stała się nieco przyjaźniej sza, choć oślepiający blask słońca i upał dokuczały niemiłosiernie, mimo że do południa było jeszcze daleko. Ktoś mógłby oczekiwać, że Tracey niełatwo pogodzi się z tym, iż nie doszli do dżungli, ale przeciwnie, ona jedyna nie straciła humoru. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że była wspaniała ze swym iście zwierzęcym chodem, złocistą grzywą włosów szesanych do tyłu i płynących za nią, z nogami podrapanymi i krwawiącymi jak u uczniaka, z połyskującą, opaloną skórą niewrażliwą na upał i słońce. Patrzenie na nią, jak świetnie radziła sobie z przeciwnościami, wywoływało u Thumbsa taką samą miłą satysfakcję, jaką odczuwał spoglądając na dobrze zaprojektowaną maszynę. „Każdy muskuł na swoim miejscu, każda kość i staw świetnie funkcjonuje myślał — krzepka budowa, zdrowy metabolizm czy chemia, czy jak się to zwie”. Nagle zrozumiał, czemu Glenn tak stracił dla niej głowę, gdy wylądowali na Bahamach w czasie huraganu. Trudne warunki i wysiłek zawsze ukazywały Tracey od najlepszej strony — a to jest rzadka i zachwycająca zaleta u kobiety, dumiał Thumbs.

Pełzli znowu pod górę, Tracey na przedzie, a nasepiony Barany z postępującym za nim Dave'em z tyłu. Potem nagle Tracey zniknęła za wierzchołkiem wzniesienia i za chwilę usłyszeli jej pohukiwanie i nawoływania, a gdy ją dogonili, ujrzeli poniżej przed sobą tak piękną dolinę, że nie wierzyli własnym oczom.

- Jeszcze jeden miraż? — spytał Glenn cicho.

— Nie. To rzeczywistość. I warto było dla niej poświęcić tyle trudów, prawda? — Z tymi słowami Tracey chwyciła dłoń Glenna i razem zbiegli w dół, jak dzieci. Albo jak kochankowie.

Okazało się, że grań jest brzegiem krateru, jednego

z mniejszych, płytkiego jak zwykle kraterzy w tamtych okolicach, i na jego dnie znajdowało się jezioro. Głębokie, czyste, górskie z wodą błękitną jak lapis lazuli — kąpało się w nim całe niebo. Woda wydawała się chłodna, świeża, głęboka i tylko na przeciwnym brzegu wchodziła w nią srebrna piaszczysta łacha. A dla uzupełnienia tego nierzeczywistego obrazu w błękitnej wodzie stały flamingi. Różowe, z tym szczególnym, właściwym flamingom połyskiem, wyglądały raczej jak kwiaty niż ptaki, kwiaty tropikalne na wysokich czerwonych łodygach.

Pędząc w dół Dave dopadł pierwszy jeziora. Runął brzuchem na ziemię i naczepił wody w dłonie. Natychmiast jednak ją wypluł z wyrazem najwyższego osłupienia.

— Wielki Boże! Ona jest zatruta — wybełkotał. Barany tymczasem uklękł i napełnił swą manierkę. Ale po

pierwszym łyku rzucił manierką o ziemię w dziecinnej wściekłości. Ta woda była ciepła i bardziej słona niż morska, była gorzka i miała posmak siarki i jodyny, i Bóg wie jakich jeszcze wstrętnych chemikaliów.

Flamingi były zapewne również gośćmi w tych okolicach, bo znały ludzi. Kiedy Glenn i Traccy, wciąż trzymając się za ręce, skoczyli do wody, ptaki zerwały się do lotu, nadal przedstawiając cudny widok, chmurę różanych płatków wznoszących się nad jeziorem. Glenn i Tracey natychmiast jednak zawrócili i wyszli na brzeg, plując i otrząsając wodę z ubrania.

— Fuj — wzdrygnęła się Tracey. — Za ciepła, nie wchodzić do niej, to zupa. Szczypie i wypycha człowieka do góry, zupełnie nic można w niej pływać!

Stała, śmiejąc się i ociekając wodą, a ubranie przywarło do jej ciała i błyszczało w słońcu sprawiając, że wyglądała jak zupełnie naga. Być może właśnie ten widok wpłynął na postępek księcia.

Dwa strzały poszły w chmurę flamingów i dwa ptaki

opadły w jezioro, a pozostałe wzbiły się w górę machając krótkimi skrzydłami i znikły po przeciwnej stronie obramowania krateru. Dave, skocz no po nie, szybko! — wrzasnął Barany i Dave posłusznie ściągnął z siebie białe zabrudzone portki i skromnie pozostawszy w bicliźnie, skoczył do jeziora.

Tracey stała ze skamieniałą twarzą, na której było wyryte tyle nienawiści i pogardy, że aż brało przerażenie. Glenn dotknął jej ramienia, już przysychającego w słońcu i spiekocie.

- No, trudno. Chodź, ruszajmy dalej! — powiedział łagodnie, jak by mu jej było żal. Barany zbliżył się do nich w pośpiechu z ptakami, które Dave wyłowił mu z wody. Mówił coś dużo po francusku. Brzmiało to przeprasząco czy wyjaśniająco, ale Tracey bez słowa przeszła obok niego, jak by go nie słysząc i nie dostrzegając.

Zapewne czułby się lepiej, gdyby Tracey zrobiła mu scenę za te bezsensownie zabite flamingi, albo Glenn go skarcił. Glenn jednak nie miał ani czasu, ani energii na sprzeczki, jego zadaniem było zaprowadzić tych ludzi z powrotem na jacht bez szwanku. Barany związał ptaki swoim paskiem i zawiesił na ramieniu Dave'a. Ociekały wodą i przedstawiały żałosny widok, lecz Barany wciąż się zachwycał, jakie to one piękne, po prostu czarujące, *revissant, magnifique*

- Były piękne, pókiś ich nie zastrzeli! — rzekł Glenn lakonicznie i poszedł naprzód, żeby pomóc Tracey wdrapać się na brzeg krateru, nie dlatego jednak, by jej potrzebna była pomoc. Barany zwrócił się z wymuszonym uśmiechem do Thumbsa:

— Czuję, że znowu popadłem w niełaskę. Ale nic, będzie zachwycona nimi, jak się je wypcha. Zawiozę je do Fereniego Nagy, najlepszego preparatora zwierząt na świecie — powiedział, usiłując nadać choć odrobinę sensu temu bezsensownemu morderstwu. Thumbs spojrział na nieżywe ptaki.



cieniutka struzka krwi i lepka różowa woda spływała z pleców Dave'a. Chłopiec drapał się bez ustanku, bo paliły go pryszcze i skaleczenia na skórze.

- Jeśli robaki nie zjedzą ci tych ptaków, zanim dobrniemy do łodzi... - -  
odpowiedział księciu i poszedł naprzód.

— Zupełnie nie wiem, jak to wytłumaczyć — rzeki do Glenna. — Jestem przekonany, że w domu nic oddałby ani jednego strzału w czasie ochrony, nie popełniłby żadnej podłości. Ale tu, kiedy nie ma żadnych prawideł uczciwej gry, jak by opętał go amok.

W tej chwili przyłączyła się do nich Tracey.

Wiesz, jak to bywa, kiedy ktoś znajdzie się w całkiem innym otoczeniu, gdzie dotychczasowe normy postępowania nie obowiązują. Boże wielki, jakie to wstrętne!

Południe zastało ich, gdy brnęli dosyć stromym zboczem, rzadko porośniętym kępami szorstkiej, tropikalnej trawy. Była to paskudna pora, przy braku bodaj odrobiny cienia czy osłony, gdy słońce siekło prostopadle z równikowego nieba. Co prawda, widok ponad nagim grzbietem góry w stronę morza był wspaniały. Glenn widział przez lornetkę część pionowych skal otaczających Tagus Cove, ale nie mógł dojrzeć obozowiska ani łodzi, ani stewarda Cummingsa. Mała wysepka blokująca wejście do kanału wyglądała jak knedel we wrzątku. Dalej, poza zasięgiem przybrzeżnej kipieli t grzywaczy, kołysał się „Arundel” na kotwicy, jasny, zgrabny i mały niby okręcik w butelce.

Glenn i Thumbs na zmianę pilnie śledzili teren w poszukiwaniu możliwie najkrótszej drogi do zatoczki, kiedy zaszło coś, co stanowiło w pewnym sensie ostrzeżenie przed zgubnym wypadkiem, który nastąpił mniej więcej trzy tygodnie później.

Zaczęło się od cichego, odległego dudnienia. Tracey, która kroczyła przodem, zatrzymała się, odwróciła i pokazała na niebo od strony morza.

— Co to może być? - spytał Glenn dopędziwszy ją.

— Grzmot, nie słyszysz? Jeżeli szczęście nam dopisze, będziemy mieli burzę z piorunami, oberwanie chmury, grad

nie posażysz sobie bryłki lodu wielkości jaja siewki, kapitanie? - powiedziała wesoło. Lecz nigdzie nie było widać chmury, tylko rozpalone, oślepiające blaskiem niebo. Glenn potrząsnął głową.

— Nie wydaje mi się. Przykro mi cię rozczarować. — W chwili gdy to mówił, łoskot stał się bliższy i głośniejszy.

— Jakby bicie w setki bębnow - rzekł Thumbs. Książę zatrzymał się o dwadzieścia jardów w tyle, nieruchomy, skupiony, zasłuchany.

— Konie, dzikie konie! — zawołał. — Uwaga! Pędzą w naszą stronę! - Tym razem jego doświadczenie nabyte w głębokich lasach i wysokich górach dało mu przewagę nad żeglarzami. Na chwilę Barany stał się człowiekiem, jakim mógł być we własnym świecie — człowiekiem, którego poślubiła Traccy.

Nadciągały dzikie konie, o których mówili starcy. Ziemia trzęsła się pod nimi, a łomotanie ich kopyt przyprawiało człowieka o dreszcze. Wtoczyły się na zbocze góry, jak toczy się na morzu wielka fala, piętrząc się i wznosząc, póki się nie wędrze z wyciem i łoskotem na pokład. Jak piana i pył wodny unoszą się wokół takiej fali i ponad nią, tak i ten tabun był spowity chmurą pyłu, popiołu czy stratowanej na proch suchej roślinności. Rżały i prychały, zwarta masa z powiewającymi grzywami i ogonami, falowanie czarnych i purpurowych ciał błyskających słońcem odbitym od lśniącej skóry. Widok ten byłby wspaniały, gdyby nie wzbudzał aż takiej trwogi. Tabun pędził z nieubłaganą siłą i szybkością wprost na tych parę niepozornych ludzkich istot tak szerokim frontem, że czuły się one zupełnie bezradne i zgubione. Nie było gdzie się ukryć, rozproszyć, uciec, żadnego ratunku. „No, teraz już po nas” - myślał Thumbs padając —

jeden z podświadomych odruchów, gdy ktoś raz służył w marynarce. Przyciskając twarz do dygocącej ziemi czuł ostrą woń końskiego potu i łajna i myślał jedno: „Jaka to cholernie głupia śmierć! Jak to głupio, jak diabelnie głupio ginąć w taki sposób...”

I wtedy poprzez łoskot przedarły się jeden po drugim dwa ostre odgłosy wystrzału. Glenn pierwszy uniósł twarz i niewiele rozumiejąc, co się dzieje, ujrzał, jak Barany strzela jeszcze raz — nie w konie, ale do góry. Tym sposobem ocalił ich wszystkich przed stratowaniem na śmierć.

Dosyć prosty sposób, jeżeli ktoś go zna i nie traci głowy wobec rozhukanego stada. Dopuścił tabun dostatecznie blisko i wszczął kanonadę. Trzy strzały w powietrze wystarczyły, aby wiodące tabun ogiery zmieniły plan i zawróciły. Wykonały ładny manewr skręcający i popędziły, tym razem nieco wolniej, w dół wzgórza — już nie frontalny atak lekkiej kawalerii bez jeźdźców, ale wspaniała defilada.

Kapitan i mechanik wzięli się w garść, opanowali rozedrgane nerwy i z wysiłkiem starali się zachować jak mężczyźni. Gratulowali księciu, dziękowali mu wylewnie, ściskali mu dłoń, poklepywali po plecach i obsypywali komplementami gęstymi jak melasa. On ze swej strony zbył ich uśmiechem i wzruszeniem ramion. Że to niebezpieczne? Ale skądże znowu — jeśli się umie obchodzić z końmi...

— Jestem pewien, że kapitan Hammers zrobiłby to samo, gdyby jego zasady nie przeszkadzały mu nosie broni, prawda, kapitanie? — powiedział, bo po prostu nie mógł powstrzymać zjadliwości.

— Wątpię — odparł Glenn. - Z bronią czy bez broni, nie zachowałem zimnej krwi jak pan. Straciłem głowę. Można powiedzieć, że się przestraszyłem...

— Niemożliwe! — rzekł książę. — Ach, nie, niemożliwe, kochany kapitanie. — To była jeszcze jedna jego wielka chwila i chyba tryumf go trochę odurzył, bo nic popełniłby

w niespełna dziesięć minut później poważnego a niebezpiecznego błędu. A może był trochę wyprowadzony z równowagi, bo Tracey nie przyłączyła się do ogólnej wrzawy wokół jego uczynku, choć mógł się czuć bardziej pochlebiony, że potraktowała jego interwencję w niebezpiecznej chwili za rzecz naturalną. Zostawiła mężczyznę i zbliżyła się do koni. Na końcu dzikiej kawalkady wolnym kłusem posuwały się zadowolone z siebie klacze ze źrebiętami u boku.

Główna część stada znikła już z pola widzenia, dudniący łoskot kopyt ustał, a klacze-marudcry zatrzymały się i zaczęły skubać skąpą, szerokolistną trawę. Tracey, oczarowana do najwyższego stopnia, nie mogła się powstrzymać, żeby nie podejść bliżej nich. Była bez tchu nie od wstrząsu przeżytego przed chwilą, ale z zachwytu.

Prawda, jakie to było wspaniałe, Glenn? Co za przeżycie! Nie wyrzekłabym się go za nic! — zawołała. Przypadł jej do serca ciemny źrebak z lisiorudą grzywą opadającą na swawolne oczy. Trącał zuchwale matkę, by mu dała ssać, a kobyła raz po raz karciała go lekkim kopnięciem. Tracey zaśmiewała się, pogwizdywała i przemawiała do długonogiego stworzenia. Ostrożnie zbliżała się do niego.

Zupełnie tym pochłonięta wyglądała jak inna kobieta, czuła i niewinna, a Glenn przypatrywał się jej z takim samym nieświadomym zachwytem, z jakim ona patrzyła na źrebię.

Na chwilę tych dwoje dumnych, surowych ludzi odsłoniło wszystkim swoje głębokie uczucia i tkliwości.

Thumbs szybko się odwrócił zaniepokojony, czy również i Barany nie spostrzegł ich twarzy pozbawionych masek. Na szczęście jednak księżę zajęty był bronią, oddając wyładowany karabin Dave'owi, który ochotniczo nosił mu broń, i zakładając na ramię Mannlichera.

I nagle miła sielanka zmieniła się w coś bardzo niemiłego i wstrętnego. Dave zaczął wydawać różne gwizdy i syki,

wyraźnie wiejskie odgłosy, a potem gniewnie: „Won“!, „A kysz!“ „Poszedł precz!“ i „Puszczaj!“ Chłopcy okrętowi nie są obowiązani do bohaterskich czynów, zwłaszcza na lądzie, toteż Dave zwiewał przed rozhukanymi końmi, jak tylko mógł, chociaż na pewno nic by tym nie wskórał, gdyby nie zręczny manewr księcia Barany. Ponieważ w biegu przeszkadzały mu ciężkie zwisające na plecach flamingi, więc porzucił je ze złością, a teraz właśnie poszedł ich szukać.

Jednakże woń flamingów zwabiła psy. Nic pokazały się przedtem, nie podchodziły, wyrosły nagle jak spod ziemi. Była to niewielka zgraja, może pięć, sześć wynędzniałych, wychudłych, płochliwych i skrytych psich zjaw o szarych wilczych oczach. Wyglądały jak bardzo przestraszone szczenięta. Ogony miały podwinięte pod siebie, łby zwieszane, podkradły się do zabitych ptaków na sekundę przed nadejściem chłopca z drugiej strony. Jednakże w chwili gdy chciał chwycić długie czerwone nogi flamingów i odciągnąć ptaki, głębokie ostrzegawcze warczenie kazało mu cofnąć rękę.

Potem zaczęło się dziać wiele rzeczy jednocześnie. Psy rzuciły się na ptaki, zaczęły je szarpać, walczyć o nie między sobą, chłopiec podniósł wrzask i nadbiegła Traccy śmiejąc się z zatroskanej miny męża.

— Ty tchórze, boisz się paru nędznych psów! — krzyczał na chłopaka Barany ze złością. Dave, otrzymawszy taką ostrogę, rzucił się do walki. Z pomysłowością ulicznika zdołał schwytać parę kamieni i kropił nimi w rozszechkaną, ujadającą kotłowaninę psów. Jeden z nich trafiony jego rzutem wydał przejmujący skowyt — była to suka z ciężkimi, obwisłymi wymionami, czerwonoooki, zionący ogniem diabeł, którego nic nie mogło powstrzymać od pochwylenia tego świeżego, krwawego mięsa dla szczeniąt. Nagle sytuacja zrobiła się groźna dla chłopaka, bo psy przestały warczeć, a zaczęły dobierać się do niego kłami.

— Zostaw im te ptaki, nie bądź dureń! -krzyknął Glenn, ale w tej samej chwili psy powaliły Dave'a na ziemię! Thumbs puścił się pędem ku walczącej zgrai sam nie wiedząc, co zamierza zrobić.

Bo sprawa przedstawiała się paskudnie. To nie były zwykłe głodne kundle, ale zgraja niebezpiecznych dzikich psów. przed którymi przestrzegali ich ludzie z Progreso.

Thumbs zatrzymał się na chwilę, kiedy usłyszał jakiś niezrozumiały okrzyk księcia, i zobaczył, jak I racy skacze na pomoc chłopcu między kąsające, rozszczekane bestie. W tej samej chwili Glenn pchnął go na bok i wpadł w środek wścieklej kotłowaniny. Suka zostawiła chłopca i zajadłe zaatakowała Tracey, usiłując ją obalić i dorwać się do jej gardła. Ze śmieszną jasnością, jaką się miewa w niebezpiecznych chwilach, Thumbs poznał, że świecąca rzecz we wzniesionej dłoni Glenna była mocnym marszpiklem marynarskiego noża, który jego ojciec, admirał, podarował mu na dwunaste urodziny; pożyteczne narzędzie na żaglowcu, a także bardzo skuteczna broń przeciw bandziorom i zabijakom w ciemnych, nieprzyjemnych nadbrzeżnych uliczkach.

Rozległ się ostry skowyt suki przebijanej nożem. Potem gruchnęły dwa strzały. Skowyt zmienił się w chrapliwe przedśmiertne rżenie. Dało się słyszeć jeszcze parę szczęknięć, trochę żałosnego skowytu, któremu towarzyszył niesamowity wtór świstu kuli, zakończony w dali nagle urwanym wysokim tonem i psy zniknęły pośród ciszy. Dave odczołgał się na brzuchu w jedną stronę, a jeden z psów w drugą. Suka, którą Glenn ugodził nożem, leżała martwa na splamionych krwią kępkach trawy, a drugi pies. trafiony strzałem księcia, odpelzł trochę w bok, wlokąc za sobą sparaliżowane tylne nogi ze strasznym przejmującym skowytom, po czym upadł - gdy cztery pozostałe psy umykały zatrzymawszy się tylko na chwilę, aby go obwąchać.

Z tej kotłowaniny i wrzawy wynurzył się Glenn i ciężko

oparta na nim Tracey. Thumbs słyszał jego słowa pełne niezwyklej czułości i zatroskania:

— Nic ci się nie stało, skipper? Na pewno nic? Ależ ty jesteś zakrwawiona... kochana, moja kochana... — Thumbs widział jedyny ratunek w nadziei, że książkę tego nie słyszał. Tracey spojrzała na plamę krwi na bluzce i przestraszyła się, ale zaraz się opanowała.

— Ach, to? Nie, nie, nic jestem skaleczona, to pewnie krew tej suki, którą zabiłeś... - i uklękła nad zabitym psem, na którego rozplatanym gardle zaczynały już się zbierać muchy, i powtórzyła cicho: — Biedna psina... biedna, biedna, zwariowana psina...

— Przykro mi, kochanie. To wcale nie zabawne zabijać psa nożem, ale nie miałem wyboru, boby inaczej ciebie zagryzła — rzeki Glenn. Wciąż jeszcze trzymał w ręku nóż, którego ostrze zmatowiało od krzepnącej krwi. Thumbs patrzył na to ostrze i nagle stanęły mu przed oczyma wspomnienia przeżytych z Glennem przygód w dzieciństwie, wszystkie psoty i podniecające wyprawy do portu Marynarki Wojennej w Pearl Harbor, kiedy używali tego noża jako uniwersalnego narzędzia i broni. Dłoń Glenna zwisała jakoś śmiesznie, a w miejscu, gdzie rękaw koszuli był rozdarty, sączyła się krew, spływała strużką do przegubu i skupywała z koniuszków palców.

— Coś ci się stało w rękę? — spytał go.

— Nic, chyba nic. To głupstwo — odparł Glenn. — Zwykłe zadrapanie.

— Daj mi ten nóż. Możesz ruszać palcami?

— Jasne, że mogę — odrzekł i rozwarł dłoń. Pot wystąpił mu koło ust. — Jeżeli myślisz, że pozwolę sobie grzebać w bicepsach, żeby wyciągnąć ołów, to chyba zwariowałeś.

— Nie trzeba — powiedziała Tracey z pozoru obojętnie. Badając ramię Glenna zaciskała zęby. — Kula nie przebiła mięśni, dzięki Bogu. To powierzchowna rana, nic ruszaj się

teraz! — Robiła bandaż z jego rękawa, używając własnej chustki do zatamowania krwi.

— Właśnie, mówię, że to nic — ot, skaleczenie. W porównaniu z tym, co mogło się zdarzyć, jak ten krwiożerczy idiota do nas wygarnął...

Książę podszedł do nich w niedobrym dla siebie momencie. Był wciąż podniecony swymi wielkimi czynami i dumny z siebie. W istocie oczekiwał nowej serii pochwał, toteż twarz mu się wydłużyła, gdy Glenn wpadł na niego z furją.

- Tak, o tobie mówię! Jesteś osłem, niebezpiecznym krwiożerczym idiotą! Niech cię cholera, gdybym miał zdrową rękę, zrobiłbym z ciebie gulasz... — i tu nastąpił szereg przekleństw, który zmiotł z twarzy Lahszi najmniejszy ślad uśmiechu zadowolenia.

— O co ci chodzi, Hammers? Gdybym nie wystraszył tych dzikich bestii, mogłyby zrobić krzywdę mojej żonie... — wybełkotał. Ale usłyszał pogardliwy śmiech Tracey i dostrzegł ranę kapitana. — Och, rozumiem, musiałeś wpaść w linię ognia, kapitanie. No cóż, przykro mi, strasznie mi przykro! Bardzo boli?

— Nie, nie boli, a gdyby nawet, to i tak nieważne. Nie mówię o tym głupstwie, ale niech cię diabli, czy ty sobie nie zdajesz sprawy, że mogłeś zabić Tracey? Albo nas oboje? Coś ty sobie myślał strzelając do nas jak do drewnianych kaczek na strzelnicy? Słuchaj no, ty jaśnie oświecony książę, zastanów się, co tam w tobie siedzi. Czy nie czai się morderstwo w jakimś zakamarku? A teraz dawaj ten twój stary doskonały pistolet wojskowy!

Barany wzdrygnął się. Bóg wie, może myślał, że czeka go jakiś fantastyczny, zupełnie bezceremonialny i bezprzykładny pojedynek, jakiś krwawy, barbarzyński gwałt. Ale Thumbs wiedział, po co Glenowi potrzebna jest broń, i Tracey też wiedziała. Pies ze sparaliżowanymi tylnymi



nogami leżał o parę kroków od nich. Zapewne dosłał w stos pacierzowy i jego żalony piskliwy skowyt działał Glennowi na nerwy. Książę wyjął pistolet z kieszeni i podał go Glennowi ze staroświeckim ukłonem i tragiczną miną pokonanego generała składającego broń.

*Tesek!* - powiedział, co, jak się zdaje, jest węgierskim wyrażeniem na wszelkie okazje.

- Ja to lepiej zrobię — powiedziała Tracey biorąc pistolet i uśmiechając się do Glenna dodała: — Możesz spudłować lewą ręką, a prawa zaczyna ci trochę sztywnieć, prawda? Podeszła, uklękła koło zdychającego psa i dobiła go.

Trzy dni później znaleźli się znów w San Cristobal, gdzie pewien miły młody franciszkanin oczyścił i opatrzył ranę Glenna i z zapadnięciem zmroku „Arundel” wypłynął na morze w chmurze złego humoru, podenerwowania i z trudem opanowywanej wzajemnej antypatii.

No, byłam już w Galapagos — powiedziała Tracey — Możesz je sobie teraz trzymać, Thumbs. Tylko nie gadaj: „A nic mówiłem ci...”

Każdy, kto kiedykolwiek przejechał psa, wie, jak długo później nie można się z tego otrząsnąć, jak to odbiera apetyt, budzi nagle w środku nocy. Taki właśnie silny niesmak pozostawiły epizody z młodym lwem morskim, z flamingami, z psami. Bardzo nieprzyjemne sprawy. Ale jak się okazało, wszystko to było zaledwie powolnym przygotowaniem do okropności, która wydarzyła się w drodze powrotnej.

Płynąc z San José do Guatemali jacht wpadł w huragan Tchuantepecer — nie po prostu złą pogodę — ale huragan wiejący z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę w Zatokę Tehuantepec przez przełęcz międzymorza. Fale uderzały ze wszystkich stron, strome zwały wody załamywały się na pokładzie i „Arundel” zebra! straszne cięgi.

Gdy tylko natrafiali na niepogodę, Traccy zachowywała się, jakby to była specjalnie przygotowana dla niej rozrywka. Po prostu uwielbiała wichry i burze, i kiedy morze było wzburzone za żadną cenę nie usiedziałyby w kajucie. Trudno jej było nic lubić za tę odwagę. Przy Tracey zawsze się czuło, że nie będzie wyrzekła ani nie zawiedzie w trudnej sytuacji, a tego nie da się powiedzieć o większości kobiet — przynajmniej na podstawie doświadczenia Thumbsa.

Po południu powiedział młodszemu mechanikowi, żeby przejął nadzór w maszynowni, a sam udał się na pokład, chcąc zobaczyć, jak tam wyglądają sprawy. Fale wciąż przewalały się przez pokład i nadal silnie rzucało, ale jacht całkiem dobrze to znosił. Tracey, ubrana w nieprzemakalny płaszcz, krzyknęła coś do niego, ale Thumbs nie zrozumiał co, bo był za wielki huk. Woda bryzgnęła jej w twarz, ale ona tylko otrząsnęła się i zaśmiała szeroko otwartymi ustami. Było dwadzieścia po czwartej, jeszcze nie ciemno, ale i nie jasno. Niskie niebo miało ołowianą barwę, a woda prawie czarną. Sprawiało to, że wierzchołki fal wydawały się białe jak bita śmietana. Spostrzegłszy mechanika kapitan zawołał z mostku:

— Trochę się uspokaja, idź lepiej odpocząć! Schodząc do swojej kajuty Thumbs spotkał śmieszny pochód. To steward włókł księcia na pokład. Barany był okrecony pledami i twarz miał wyraźnie zieloną. Nie w przenośni, ale naprawdę zieloną jak rozgotowana strączkowa fasolka.

— Wychodzimy zażyć świeżego powietrza, to nam doskonale zrobi — powiedział steward, jakby mówił o małym dziecku, któremu chce dogodzić. Mrugnął do mechanika za plecami księcia pokazując butelkę, którą niósł z sobą. Zawsze mówię w niepogodę: grunt, żeby było ciepło w brzuch, a chłodno w głowę napominał, popychając cierpiącego na chorobę morską nieszczęśnika parę stopni wyżej.

- Szeffie, czuję się okropnie — jęknął! żałośnie Lahszi. — Wolałbym skonać, niż znosić tę mękę bodaj godzinę dłużej.

— Pewnie, pewnie, wiemy jakie to okropne — rzekł steward i popchnął go dalej w górę.

Ja sam nie miałbym nic przeciwko gorącemu pon-czowi — powiedział Thumbs Cummingsowi i zszedł na dół. Przez prawie dziesięć godzin nie schodził z wachty i był zmordowany. Poczował się jednak dużo lepiej wyciągnawszy się na koi, podczas gdy „Arundel” kołysał się w słabnącej zawierusze. Bardzo przyjemnie jest leżeć sobie w koi, pijąc gorący poncz, kiedy na zewnątrz szaleje rozpetane piekło. „Arundel” wciąż jeszcze wstrząsał się i stękał, wynurzał dziób wysoko i zaraz znów walił się nim z trzaskiem w wodę, ale niebawem wichur trochę zelżał i Thumbs zapadł w sen.

Spał tak zapewne jakieś dwadzieścia minut, kiedy raptem zbudził go dźwięk, który się ostro przebił przez łomotaninę, świst i trzaski.

Zabrzmiało jak żagiel uderzający o maszt, ale to musiało być co innego, bo płynęli z wiatrem i na zarefo-wanych żaglach, odkąd zaczęła się wichura.

— Jeszcze mi się śnią strzały — rzekł głośno do siebie i zeskoczył z koi. Chwila przerwy po pierwszym odgłosie i rozległ się drugi, trzeci, czwarty, piąty!

Wcisnął buty na nogi i puścił się pędem na górę, jak tylko mu na to pozwalało kołysanie statku. W chwili gdy to robił, statkiem targnął wstrząs i zatrzymały się motory. Rozległy się jakieś głosy, tupot biegnących stóp i krzyk: Człowiek za burzą! — a potem: — Żagle precz! Kiedy wypadł na pokład, uderzyło go, że ołowiany kolor nieba ustąpił miejsca barwie lśniącej miedzi. Słońce zanurzone w chmurach usiłowało spod nich wyrzeć. Morze nic było już czarne, ale jak roztopiona miedź w miejscach, gdzie padał na nie odblask nieba. Zmienił się również rytm fal. Były wciąż jeszcze wysokie, lecz nadciągały po dłuższych przer-

wach, piętrząc się z potężnym hukiem i syczeniem, póki nie rozbiły się o pokład.

Spostrzeżenie czy odczucie tego wszystkiego zajęło Thumbsowi parę sekund. Natychmiast też ujrzał Tracey z rewolwerem w ręku. Stała z pobielałymi, zaciśniętymi ustami niedaleko rufy, która w tym momencie była wzniesiona wysoko ku górze. Lewą ręką opierała się o barierkę. Prawa z rewolwerem zwisała bezwładnie wzdłuż jej boku. Na twarzy miała obłąkany uśmiech. Thumbs czuł, że nie zapomni tego uśmiechu, choćby żył ze sto lat.

— Tracey, na miłość boską, co się stało? — krzyknął podbiegając do niej.

— Rekiny... — odparła. — Porwały go. Próbowалаm do nich strzelać... ale go chwyciły... już po nim! Daj mi trochę whisky, szybko, bo zemdleję!

— Uspokój się, Tracey, weź się w garść rzekł kapitan. Thumbs nie widział go, jak schodził z mostku, ale nagle znalazł się przy niej. — Weź się w garść, słyszysz? — Chwycił ją mocno za ramiona i potrząsnął trzy razy, po czym obrócił się zrećnie na pięcie i wszedł na mostek. Statek przechylił się, rufa znów trzasnęła o wodę i nowa fala obmyła pokład. W minucie ciszy, która nastąpiła po tym uderzeniu na powierzchni wody zagotowało się od kotłowniny rekinów smagających ogonami, walczących o coś, i w białej pianie dały się dostrzec rdzawe pasemka krwi. Pływały tam dwa białe, bielsze od piany, straszne w swej bezużyteczności koła ratunkowe. Na sterburcie spuszczano szalupę i Thumbs skoczył pomagać. Ludzie w szalupie trzymali za liny przy bokach z obu jej stron. Przesiąknięty wodą pokrowiec nie był nawet całkowicie zdjęty. Woda w dole wyglądała jak olbrzymia czarna góra ze śnieżnym wierzchołkiem wznoszącym się ku szalupie, póki nie grzmotnęła w nią omal jej nie przewracając. Steward, który wprowadził księcia na pokład, siedział blady i rozdygotany, ale z niezłomną odwagą, jaką czasami

przejawiają tchórze. Aż dziw, ile rzeczy widzi się i czuje, ile myśli przewija się człowiekowi przez głowę w podobnych momentach. Thumbs widział jak „Drucik” podaje Traccy szklanekę z whisky i zaraz po tym motory znów zaczęły pracować i „Arundel” zataczał koło. Nagle słońce przebiło się przez chmury rozświetlając morze diamentowym blaskiem a rekiny wystraszone krzykiem, wrzaskiem i zgiełkiem, dały nura w głębinę i znikły.

Ale mimo wszystkich poszukiwań nie znaleziono ani śladu po mężu Traccy — oprócz tych cienkich rdzawych pasemek krwi na powierzchni wody.

Pogoda uspokoiła się wkrótce po wybiciu sześciu szklanek tego samego wieczoru. Pierwszy oficer objął służbę na mostku i kapitan zaczął wszystkich wypytywać, co wiedzą

o tym okropnym wypadku. Okazało się, że Tracey była jedynym jego świadkiem i oto, co opowiedziała:

Mąż jej wyszedł na pokład, ponieważ w kajucie czuł się zbyt chory i nieszczęśliwy. Z pomocą stewarda posadziła go w suchym i osłoniętym ciepłym kącie za nadbudówką na pokładzie. Jednakże księżę uskarżał się na zapach rozgrzanej oliwy, który przyprawiał go o jeszcze większe mdłości, wobec tego posłała stewarda do baru po whisky. Mimo, że dawała mężowi znaki, aby tego nie czynił, księżę próbował przejść ze swego miejsca do niej. Pokład był mokry, zaśmiecony, śliski i kołysanie statku zbiło księcia z nóg. Szła w jego stronę trzymając się lin i cały czas krzyczała, żeby na miłość boską wrócił do kajuty! On jednak dalej pełzł do niej na kolanach.

Nagle wtargnęła wielka fala i zmyła go z pokładu.

Mimo okropności tego wypadku nie straciła głowy i krzyknęła:

„Człowiek za burtą!” Jednocześnie chwyciła najbliższe koło ratunkowe i rzuciła za nim. Spostrzegła go na grzbiecie drugiej fali i przez jedną głupią chwilę ludziła się, że może woda sama wrzuci go z powrotem na pokład. Potem zobaczyła ogromnego niebieskawego rekina wypływającego

na powierzchnię wody —jednego z tych, które im towarzyszyły całą drogę polując na łowione przez nich ryby i resztki jedzenia wyrzucane z kuchni złapała rewolwer i strzeliła. Strzelała tak ogarnięta paniką, póki nie wypróżniła całego magazynka. Nie wie, czy postrzeliła rekina, który mknął do jej mężajak torpeda. Ma nadzieję, że tak. Nagle jednak drugi rekin wydarł szamocące się ciało pierwszemu i wciągnął je pod wodę. Potem nowa fala zwała się na pokład, a gdy spłynęła, widać było tylko bryzgi wody, kotłujące się płetwy rekinów i nieco krwi na powierzchni. Kapitan spytał ją, skąd wzięła rewolwer. Spojrzała na niego zdziwiona jak lunatyk, którego brutalnie przebudzono, i powiedziała, że nie wie. Znalazł się nagle w jej dłoni i zaczęła strzelać. Był to ten sam stary wojskowy pistolet, który Barany zawsze nosił przy sobie, ten sam pistolet, którym skróciła męki zdychającemu psu.

— W takich chwilach niewiele się myśli — powiedziała i uwierzono jej z łatwością.

- A może wypadł mu z kieszeni, kiedy się czołgał do ciebie, a ty nieświadomie go podniosłaś? — spytał kapitan. Na twarz Tracey wypłynął nikły cień uśmiechu i odparła, że tak, że prawdopodobnie tak właśnie było. Kapitan wypytał wszystkich marynarzy, a specjalnie szczegółowo tego, który wraz z boyem wybiegł usłyszawszy krzyk: „Człowiek za burtą!” i strzały. Rzucili oni jeszcze jedno koło ratunkowe, a marynarz utrzymywał, że widział zarys szamocącego się księcia w wodzie, a następnie moment, gdy rekin wciągnął go pod wodę. Każdy z załogi potwierdził zeznania Tracey zdając sprawę z tej części wypadku, której sam był świadkiem. Jeden „Drucik” robił tajemniczą minę, jakby lepiej wiedział. Gdy kapitan kazał mu przestać się wykrzywiać, a mówić, oświadczył, że słyszał najpierw dwa strzały i dopiero później okrzyk: „Człowiek za burtą!”. Słyszał te strzały siedząc w swej kabinie radiooperatora położonej za mos-

tkiem kapitańskim, od strony rufy. Wypadł na pokład i widział, jak księżna rzuca koło ratunkowe i jeszcze raz woła: „Człowiek za burzą!”. — No dobrze — rzekł kapitan — ale czego to dowodzi!'

„Drucik” wzruszył ramionami. Czy to po prostu nie dowodzi, że on nie słyszał pierwszego okrzyku, zanim księżna zaczęła strzelać do rekina? Albo że nie zwrócił nań uwagi? — Tak, zapewne tak — przyznał „Drucik” niechętnie. Kapitan zakończył śledztwo, opisał wydarzenie w dzienniku okrętowym i przesłał drogą radiową raport do konsulatu amerykańskiego w Salina Cruz, najbliższym porcie.

Cała załoga czuła się nieszczególnie i nikt tego wieczoru nie przyszedł do messy. Jak na ironię w kilka godzin później morze zrobiło się niby oliwa, na niebo wypłynął księżyc, a radio nadawało tanga i jazz, jakby nic nie zaszło. Do pewnego stopnia byli z tego radzi, bo wszystko dzięki temu wyglądało mniej upiornie. Steward słyszał, jak „Drucik” stękał i wymiotował kilka razy w nocy, złaził z koi, szwendał się po jachcie, a kucharz, potężny Murzyn z Barbados, opowiadał załodze okropne historyjki o rekinach.

Tracey nie ruszała się z kajuty, a kiedy w dwa dni później wyszła, była już całkiem opanowana. Zmieniło się tylko to — poza faktem, oczywiście, że księcia Barany nie było już na jachcie - że kapitan i Tracey jak by się odtąd wzajem unikali. Ona już nie odwiedzała go na mostku kapitańskim, a on nie przychodził do niej do salonu na cocktaile. Nie zapalała mu też więcej papierosów.

To nagle napięcie stosunków między nimi wyglądało bardziej niż wszystko inne podejrzanie i wśród załogi zaczęły krążyć najrozmaitsze plotki. Ostatecznie byłoby o wiele na tu rai niej sze. gdyby Glenn był przy niej w tym nieszczęściu, Jeśli oczywiście pragnęła jego towarzystwa, tak jak pragnęła go przedtem. Ale nie okazywała tego. Chodziła na wieczorne spacerunki po pokładzie z „Drucikiem” słuchając jego wykładów

o gwiazdach i niebie oraz o zdumiewających zaletach jego niemieckiego aparatu fotograficznego.

Martwiło to i wyprowadzało z równowagi Thumbsa, który zmagał się z własnymi pogmatwanymi myślami. Nie chciał myśleć, że Tracey zastrzeliła męża, a potem rzuciła go rekinom. Z drugiej strony, u takich kobiet jak Tracey wszystko jest możliwe. Jeżeli pragnęła swobodnie kochać, a może nawet wyjść za mąż za Glenna ; jedyną przeszkodą był ten nieszczęsny, bezlitosny, na wpół zwariowany, cierpiący na chorobę morską mąż, to, zdaniem Thumbsa, stać ją było na to, żeby nie przeszkodzić biegowi wypadków, skoro jakiś usłużny a głodny rekin nim się zajął. Ta możliwość dręczyła Thumbsa i nigdy nie doszedł, ile jest w niej prawdy.

Była też jeszcze ta noc, kiedy udał się na górę, bo chciał pokazać kapitanowi pewien list, ale zatrzymał się zdziwiony usłyszawszy głos Tracey z za drzwi kajuty Glenna. List był od Vidy i Thumbs sądził, że dobrze zrobiłoby Glennowi, gdyby go sobie przeczytał. Taki spokojny, prościutki i miły list. Pierwsza jego część odnosiła się do spraw Cooperativa Pachuela - „tej biednej sierotki, którą *el capitán* pozostawi! pod opieką Manuela Pérez i mojej skromnej osoby” jak napisała. Owa sierotka nie bardzo się rozwijała, sądząc z listu. Pod koniec jednak Vida napisała takie słowa, które znaleźć można tylko w języku hiszpańskim przefiltrowanym przez indiańską umystowość.

Wierzę, że kapitanowi dobrze się powodzi. Jego bowiem oczy są moimi oczyma i jego uśmiech — moim, a jego serce bije w mojej piersi i moich modlitwach. Błagam cię señor, opiekuj się dobrze tym, który jest twoim przyjacielem oraz najdroższym z przyjaciół niżej podpisanej Twej oddanej służki Vidy Renaty Marii Pachueli.



Więc Thumbs stał z listem w ręku u drzwi kapitana z głupim zakłopotanym uśmiechem na twarzy, czując się jak sentymentalny dureń, a tam, w środku, Tracey mówiła podnieconym i dziwnie łamiącym się głosem.

„Czemu odwiedza kapitana późną nocą w jego kajucie, skoro za dnia traktuje go jak obcego?” zapytywał siebie Thumbs. Nie lubił podsłuchiwać, ale w wąskim korytarzu nie mógł nie usłyszeć kilku słów ich rozmowy.

— Ty mnie nie zostawisz, Glenn, powiedz, że mnie nie zostawisz! — nastawała.

Zanim odpowiedział, słychać było grzechotanie bryłek lodu w szklance, jak by Glenn mieszał sobie cocktail.

— Nie bój się, nie zostawię cię.

A potem powiedziała łak pokornym głosem, jakiego Thumbs nigdy u niej nie słyszał:

— Ja ciebie tak kocham, Glenn, tak strasznie cię kocham... — i umilkła, a że Thumbs nie chciał słyszeć, co odpowie Glenn, więc wycofał się na palcach do swojej kajuty.

Lisi ten był jednym z kilku, które Thumbs ku swemu wielkiemu zdziwieniu zaczął otrzymywać od Vidy. Pierwszy otrzymał w Buenaventura, jeszcze w drodze na Galapagos. Był napisany pięknym kaligraficznym pismem i tak bomba-styczną hiszpańszczyzną, że zrozumiał go tylko w połowie. Przepraszała w nim wylewnie, że pisze do señor *ingeniero*, ale wstydziła się pisać do kapitana. Z braku bowiem podstawowego wykształcenia nie napisała listu sama, ale zatrudniła jarmarcznego pisarza. Teraz jednak pobiera regularne lekcje u emerytowanego nauczyciela, bo wiele jest rzeczy, które człowiek chciałby wyrazić, a nie może podyktować komuś trzeciemu. Pragnęła również siać się kiedyś dzięki temu przydatniejszą kapitanowi w tym wielkim przedsięwzięciu, które założył pod jej nazwiskiem.

Od tego czasu zwykle w każdym porcie, do którego zawijali, czeka! list — niezgrabna dziecięca bazgranina, ale spoza po omacku dobieranych słów przezierała żywość i szczerłość. Niebawem jej pismo i sposób wyrażania się nabrały płynności, zaś Thumbs zaczął z niecierpliwością wyczekiwać na te pokorne liściki, choćby donosiła w nich tylko, że na skutek niepogody połowy były nieszczęśliwe albo że zgubiono trzy sieci: wartość 750 pesos.

Na drugi dzień po tym, jak to Thumbs usłyszał ową nocną rozmowę, doszło pomiędzy nim a kapitanem nieomal do bójki na pięści w związku z tymi listami.

— Mam dla ciebie prezencik. Chciałem ci go ofiarować wczoraj wieczorem, ale byłeś zajęty — powiedzia! Glennowi.

Kapitan obrzucił go spod spłowiałych brwi ostrym, żywym spojrzeniem żeglarza i spojrzał na zasuszony, spłaszczony kwiat hibiskusa na wyciągniętej stwardniałej dłoni głównego mechanika.

— Cóż to za zagadka? — spytał.

— Od Vidy. Dla ciebie. Píše, że — czekaj, zaraz ci przeczytam: „Proszę cię o jedną łaskę, señor, bądź taki dobry i powiedz, kapitanowi, że zerwałam ten kwiat z krzaka w naszym *patio*, gdzie mi powiedział *adios*. Może jeszcze pamięta. Błagam, niechaj go stale nosi przy sobie. On uchroni kapitana od wszelkiego zła, bo umoczyłam go w święconej wodzie, a Jego Eminencja, sam Señor Arcybiskup we własnej osobie, go pobłogosławił z okazji swej uroczystej wizyty w Mazatlan”.

— Myślę, że każdy ma takiego anioła stróża, na jakiego zasługuje. Gdzież ja mógłbym mieć swego, jak nie wśród dziewcząt z „La Conchita” — rzekł Glenn z uśmiechem zamyślenia i jakby w roztargnieniu włożył zeschnięty kwiat do kieszeni na piersi. — Ale, ale, jak to się stało, że otrzymujesz od niej listy? Do mnie nigdy nie pisała. —

Zaśmiał się potrząsając głową. — Nawet nie wiedziałem, że umie pisać. Czemuś mi o tym nie powiedział?

— Pewnie pamiętasz z lekcji biologii, że nawet najniższe gatunki, jak na przykład mechanicy, posiadają jakiś rodzaj prywatnego życia. Nawet tancerki. Vida chciała ci zrobić niespodziankę, jak wrócisz.

— Jeżeli tak, to czemu mi to mówisz?

— Bo mam wrażenie, że właśnie teraz potrzeba ci trochę anielskiej opieki.

— Dobra, dobra. Daj mi te listy — rzekł. — Są przeznaczone dla mnie. Niech więc będą u mnie.

Od tego właśnie zaczęła się kłótnia.

— Po co ci jej listy? — wrzasnął Thumbs. — Chcesz je pokazać Tracey, żeby się śmiała? - Ale ledwie to wyrzekł, zaraz pożałował. Glenn odruchowo potrząsnął mu pięścią pod nosem. Skórę na knykciach miał zupełnie białą, ale się pohamował, bo kapitan nie może wdawać się w bójkę z głównym mechanikiem, choćby się znali od dziecka i choć byłby ku temu powód.

— Nie wiesz, czym jest dla mnie Vida, ty głupi ośle? - -rzekł wreszcie Glenn, odepchnął Thumbsa i rozwarł pięść,

— Tak? A czym jest dla ciebie Tracey?

— Ach, Tracey... - powiedział. — To co innego. To jest coś, co trzeba przewyciężyć. Jak pierwsze cygaro albo pierwsze pijaństwo. Albo atak febry. Wichurę. Trzeba ją przetrwać i mieć jak najlepsze nadzieje. Ktokolwiek czytuje gazety, musi dotychczas pamiętać paskudną wrzawę, jaka powstała, kiedy „Arundel” przyplłynął do San Diego. Jakież smakowity był ten kąsek dla reporterów i jaki z niego zrobili użytek! Zdjęcia w gazetach, nawet stewarda, który wyprowadzi! księcia na pokład, i marynarza, który rzucił koło ratunkowe. Kiedy prasa nawrzeszczała się do woli, wzięli sprawę w swoje ręce agenci federalni i policja i rozpętało się piekło.

Wygląda na to, że ten cherlak, „Drucik”, zadenuncjował ich. Twierdził, że widział z kabiny radiooperatora, jak Tracey zastrzeliła męża, a potem zepchnęła za burtę. Tracey zbiła to oskarżenie, jako śmieszny i nikczemny absurd, o którym nie warto mówić. Oświadczyła, iż jegomość ten chce się zemścić za to, że go spoliczkowała, kiedy sobie za bardzo wobec niej pozwolił, i ponieważ nie dała się szantażować.

Pozostawała za kaucją na wolności, ale śledztwo ciągnęło się bardzo długo. obrońca Tracey rwał sobie włosy z głowy i załamywał ręce. gdyż z uporem odmawiała odegrania niezawodnej roli wdowy ze złamanym sercem, słabej i niewinnej ofiary tragicznych okoliczności. Gdyby zagrała na współczuciu, przyszła okryta głęboką żałobą, gdyby szlochała, płakała i mdlała, albo uczyniła coś, co można by uznać za załamanie nerwowe, łatwo by przeciągnęła opinię publiczną i prasę na swoją stronę. Ale takie stare, wyświechtane sztuczki nic dla Tracey Cowles. Nic sobie nie robiła z tego, co jej adwokat zwał imponderabiliami, nadeptywała wszystkim na nagniotki, ubierała się w wesołe, proste a tak kosztowne suknie sportowe, kiedy nic była w spodniach, wyglądała niczym uosobienie młodości, zdrowia i życia, czym irytowała kobiety; pokonała naszego najlepszego tenisistę tak dalece, że aż straci! zapał i zepsuł swoje szanse w Wimbledonie — co niezbyt wpłynęło na przychylność dla niej u płci brzydkiej — a nonszalancja, z jaką broniła się przed prokuratorem, przekonała go, że kobieta tak bezwzględna i cyniczna jest zdolna pchnąć własnego męża rekinom na pożarcie.

Jednakże w końcu nic nie zdołano jej udowodnić. Ów cherlak, Cecil, złożył sprzeczne zeznania, a obrońca Tracey, chłop bystry, zdołał wygrzebać kilka niesmacznych wypadków z jego życia, jakąś bigamię, kilka uprzednich lekkich prób szantażu. Było to naprawdę niezłe ziółko. Ale oczyszczenie się z zarzutu i wyjście z tej przykrej sytuacji zawdzięczała Tracey głównie postawie kapitana.

Stał przy niej jak skała w czasie całej tej ciężkiej próby badań, przesłuch i wań, skandalicznego rozgłosu, przed sądem przysięgłych. Kapitan na okręcie reprezentuje prawo i sprawiedliwość, a on przeprowadził własne przesłuchanie bezpośrednio po wypadku. Co wpisał do dziennika okrętowego, było świętą prawdą, tak mu dopomóż Bóg. Wszystko się świetnie zgadzało: co powiedziała mu Tracey, co sam widział, co zeznali majtkowie i co oświadczył pod przysięgą Cummings. W końcu oskarżenie „Drucika” zostało całkowicie obalone, kiedy Glenn zaprowadził sędziów przysięgłych na pokład „Arundela” i udowodnił, że z kajuty radiooperatora nie widać pokładu. Sąd odrzucił oskarżenie. Nie uczcili wygranej sprawy, bo i niewiele było do uczczenia. Adwokat Tracey zabrał ją w pośpiechu, tak, że nie zdążyła nawet uścisnąć przyjaciołom dłoni. Glenn i Thumbs udali się do małej nadbrzeżnej restauracyjki, żeby splukać nieprzyjemny smak kilkoma kiliszkami.

— Co teraz zamierzasz robić, Glenn?

— A cóż mogę zrobić po tym piekielnym skandalu? Ukryć twarz. Wyjechać i już nigdy nie wracać. No i proszę. Ziściły się moje marzenia. Dowodziłem statkiem, choć to był tylko zafajdany jacht. I dokąd mnie to zaprowadziło? Jeszcze głębiej w bioto, niż byłem. Do nowej hańby nazwiska Hammersów. Tym razem żegnajcie mi już na zawsze moje kochane Stany.

— Dokąd jedziesz? Wracasz do Mazatlan?

— A gdzieżby? Wracam do Vidy, jeżeli jeszcze będzie mnie po tym skandalu chciała. I do rekinów. Mam z nimi swoje porachunki, no nie?

## CZEŚĆ DRUGA

Tak więc Glenn był w Meksyku, zaś Tracey, o ile Thumbs dobrze wiedział, udała się na Wschód, żeby odwrócić od siebie uwagę albo zabawić się w chińsko-japońskiej wojnie. Księżę Barany stał się maleńką kropką materii organicznej w szerokim morzu lub też duch jego zamieszkał w jakiejś otchłani specjalnie zarezerwowanej dla członków wygasłych rodów środkowo-europejskiej arystokracji. „Arundel” został bardzo tanio sprzedany jakiejś bandzie na Florydzie, gdzie wyposażono go w fałszywy takielunek, przemianowano na „Statek piracki” i zamieniono w szulernię. Co do Thumbsa, ten pojechał do Montcrey, by się otrząsnąć z tego całego bigosu i niesmaku w nudnym a kojącym towarzystwie dwóch starych pozostałych jeszcze przy życiu ciotek, ostatnich z rodziny.

Cztery miesiące później przyszedł list od Glenna, a po nim dwie ponaglące depesze: **MOŻESZ PRZYJECHAĆ ZNAK ZAPYTANIA BARDZO JESTEŚ POTRZEBNY STOP SAM NIE PORADZĘ.** Taki telegram od Glenna równa się sygnałowi SOS z tonącego statku, dla Thumbsa zaś, czy to przez wrodzony instynkt, czy na skutek odruchów warunkowych, było niemożliwością zignorować podobny sygnał. Spakował manatki i ruszył do Mazatlan.

Glenn wcale nie należał do ludzi, którym łatwo przychodzi prośba o pomoc, lecz to co przeszedł z Tracey, jakby zlamało jakąś sprężynę w tym człowieku. Po raz pierwszy w życiu sprawiał wrażenie, że naprawdę chce się ustatkować i nie zbaczać z obranego kursu. Musiał przeżyć straszny cios,

kiedy, wróciwszy do Meksyku, zasiał wszystko w proszku. Pięć tysięcy dolarów wydano na sieci, różne przybory i zakup dychawicznego starego kutra. Większość sieci zgubiono podczas niepogody, poniszczono wskutek nieumiejętnego obchodzenia się, rozkradziono, zaś kuter podlegał spazmom i paroksyzmom, niczym kłopotliwa a wiekowa dama, której należałoby zaaplikować gorące okłady i sole trzeźwiące i położyć do łóżka na długie tygodnie. Glenn z Manuelem łowili więc na linki, rok jednak był zły i skąpa ilość tranu, który zdołali wyprodukować, nic przedstawiała żadnej wartości dla Chempaxu. Niewypełniony kontrakt unieważniono z chłodnymi wyrazami żalu. Z poważaniem, podpis nieczytelny, wiceprezes Spółki Chempax. Skończyły się niebywale cztery pesos za galon, skończyła się Cooperativa Pachuela. Ciemne niebo, silne wiatry, kłębiące się chmury, rzeczułki błota uwarstwionego jak toffi, pochłaniające zalane ulice. Zostały tylko kupy rdzewiejących obrzynków blachy wokół szopy, w której napełniano olejem puszeki.

Ale najgorsze ze wszystkiego: Vida wyjechała.

Wyjechała z Tią Teresą podczas jednego z owych nieustannych przewrotów politycznych, kiedy oczyszczano miasto i zamknięto „La Conchitę”, Manuel twierdził, że to złamało serce Tii Teresy. W każdym razie Vida powiozła chorą kobietę do Mexico City, gdzie następny atak serca położył kres życiu staruszki. Nikt nie wiedział co stało się z Vidą po śmierci Tii Teresy.

Meksykanie są ogólnie biorąc zbyt grzeczni, czy zbyt ospali, by wtykać nos w nie swoje sprawy. Były pogłoski, że Vida tańczy w jednym z eleganckich nocnych klubów przy Pasco de la Reforma i że jest obsypywana klejnotami przez najbogatszego i najsłynniejszego gangstera stolicy, to znów że została mniszką. Albo gwiazdą filmową. W nadziei odnalezienia jej bodaj na ekranie Manuel wiernie chodził do kina Majestic, gdzie dwa razy na tydzień wyświetlano filmy.

Za każdym razem wracał z takim samym zrezygnowanym wzruszeniem ramion i odwróconymi ku górze dłońmi.

— *Nada* — meldował. - Nic, *patron*. Nie ma Vidy, Skądinąd bardzo miły wieczór, ale nie ma Vidy.

Manuel, który miał jeszcze wówczas obie nogi, był bardzo poczciwym człowiekiem. Trudno sobie życzyć lepszego towarzysza do połowów rekinów. Był też zwariowany na punkcie motorów, najrozmaitszych maszyn. „*Hombre*, jaki by z niego mógł być mechanik, gdyby go troszkę poduczono!” Miał fioła na punkcie tej dychawicznej, suchot-niczej balii. Nazwał ją „*La Encantadora*”. Trzeba być Mesykaninem, żeby móc coś takiego wymyślić dla podobnej krypy: — „Czarodziejka”, dobre sobie! - rzekł Thumbs rozbawiony. Ale potrafił ją utrzymać na powierzchni wody. a na niej obu *gringos*. Manuel posiadał owo prawdziwie indiańskie usposobienie: nieczułe, zrezygnowane, stoickie czy jak to tam nazwać. Pięćdziesiąt procent tępoty i niedbalstwa a pięćdziesiąt szczerzej odwagi, hartu, mądrości. Godził się na dołę i niedołę, bo jedno i drugie pochodzi od Boga i żadne nie trwa wiecznie. Bez Manuela nie daliby pewnie rady podczas tych pierwszych okropnych miesięcy.

Popyt na skóry rekinów, na który Glenn liczył, a który rzeczywiście był przez pewien czas dość znaczny, wygasi nieomal zupełnie, i najlepsza rzecz, jaką mogli zrobić z tymi nielicznymi złowionymi rekinami, to obdrzeć je ze skóry, sprzedać płetwy pewnemu człowiekowi prowadzącemu handel z chińskimi restauracjami w San Francisco, rozwiesić płaty mięsa na sznurach od bielizny żeby wyschły, wytopić tran z wątrób i kramarzyć tym za najlepszą, jaką im dawano, cenę. Trzydzieści centavos od galona, jeśli szczęście dopisało.

Obdzieranie rekinów ze skóry, patroszenie, siekanie wątroby, mieszanie tej siekaniny przez trzy godziny w mosiężnym rondlu, żeby wytopić tran, to ciężka harówka i smrodliwa w meksykańskim słońcu. Najgorsze, że człowiek kaleczy sobie



ręce o szorstką jak papier ścierny skórę rekina, a w skaleczenia łatwo wdaje się infekcja.

Zarówno kapitan jak i jego pierwszy mechanik mieli ręce pomazane jodyną i pobandażowane, kiedy zjawił się niski mężczyzna w płaszczu od deszczu i z teczką w ręku i zaczął im ścisnąć dłonie.

— Serwus — rzekł — jak leci, kapitanie Hammers? Nie pamięta mnie pan? Bishop się nazywam, Albert Bishop. Poznaliśmy się w San Francisco, jak pan przyjechał podpisać z nami kontrakt w biurze E. Jota, przypomina pan sobie? Zaszło parę żalonych nieporozumień między panem a Chempaxem, paskudnie, no nie? Ale obecnie nasze radco-stwo prawne wygładziło wszystko na blachę, tak, proszę pana, wszyściuteńko! Odtąd będzie pan pertraktował tylko ze mną. Ja reprezentuję Dział Leków Surowych i oto, co chcę zasugerować. Niech pan dostarczy nam wątroby, a resztą zajmiemy się sami. Oszczędzi pan sobie czasu i trudu wytapiania tranu. Pozostanie panu tylko łowienie rekinów, pakowanie i wysyłka wątroby, a my jesteśmy gotowi płacić tę samą cenę za tonę nieprzetworzonej wątroby, co za tran! *I co pan na to?* Ażeby zachęcić tych leniwych rybaków do roboty...

Przyjazny, umiejący przekonywać pętczyną z cerą jak szara bibułka, odkrywający dziąsła w uśmiechu. Zamachał im nowym kontraktem przed nosem, usiłował wcisnąć Glennowi do ręki wieczne pióro. Gdyby Glenn nie miał pokaleczonej i zabandażowanej ręki i gdyby zapal i pewność siebie tego faceta, a także jego zalatujący po wczorajszym przepiciu oddech mniej go irytowały, pewnie byłby podpisał. W obecnym stanie jednak odepchnął rękę podsuwającą mu pióro i powiedział:

— Żałuję, panie Bishop, ale jak panu wiadomo, jako obywatel Stanów Zjednoczonych nic jestem upoważniony do podpisywania kontraktów meksykańskich, a prezes na-

szej *cooperativa* jest nieobecny. Przedyskutuję pańską propozycję na najbliższym zebraniu zarządu. Powiadomimy pana o wyniku. A teraz, niech pan wybaczy... — podał jegomościowi kapelusz i teczkę, a gdyby ta mizerna szopa, którą zwali swoim biurem, posiadała drzwi, pewnie by je przed nim otworzył.

— Nie sądzisz, Glenn, że zrobiłeś głupio nie podpisując tego kontraktu? - spytał go później Thumbs.

— Może. ] to nic pierwszy raz w życiu. — Uśmiechnął się. - A także nie ostatni.

Pan Bishop wynajął pokój w hotelu Colonial i zaczął działać. Przyleciał wynajętym samolotem, ale teraz już mu się nie spieszyło. Próbował przypuścić szturm do kilku miejscowych rybaków — na przykład Manuela Perez — którzy nie rozumieli ani słowa po angielsku i odnosili się z głęboką nieufnością do tego źle wychowanego *gringo*. Zabiegał u Glenna i wreszcie, pocąc się na całym ciele swej wielce ustosunkowanej osoby, podniósł ofertę o jeszcze jednego peso od galona.

W Mazatlan tymczasem rozeszła się niebywała wieść. Najpierw jako szept, potem krzyk i wreszcie artykuł na pierwszej stronie miejscowej gazety. „Amerykańskie Zakłady Chemiczne skupują po fantastycznych cenach wątroby rekinów. Cudowne odkrycie naukowe. La Vitamina A. Arriba El Bum". Oto, jak wyglądała pisownia angielskiego *boom* — ożywienia handlowego — i jak do niego doszło w Mazatlan.

— Wiedziałem, że tak będzie... — powiedział Glenn. Były to zawrotne ceny. Handlowcy zjeżdżali się tłumnie do

wszystkich zakątków na wybrzeżu, by podbijać sobie wzajem cenę, nabywać całe tony wątrób, których żądali chemicy. Rekiny, które były niegdyś jedynie utrapieniem, stały się nagle cenionym towarem, bo z jakiejś przyczyny wątroby rekinów, których było niezliczone mnóstwo wzdłuż wybrzeża meksykańskiego, posiadały niezwykle dużą zawar-

tość witaminy A. Ceny szły wciąż wyżej i wyżej, i wyżej. I dopiero, kiedy na mocy porozumienia między organizacjami rybaków, rządem a wytwórcami amerykańskimi zostały ustalone, Cooperativa Pachuela wyraziła zgodę na zawarcie kontraktu z Chempaxem.

W tym celu uczyniono Manuela wiceprezesem przedsięwzięcia i nauczono podpisywać się, co czynił z dumą i spencerowskimi zawijasami. Do tej pory na jego podpis składał się jedynie krzyżyk albo odcisk palca, ale teraz Manuel spędzał upojne godziny na wypełnianiu stronik zeszytu swoim nazwiskiem w rozmarzonym zachwycie nad nowo przyswojoną sztuką. Ogólnie biorąc, można by sobie życzyć, aby wszyscy wiceprezesi mieli takie doświadczenie w swej dziedzinie jak Manuel Perez w swojej. Kiedy połowy pod Mazatlan zepsuły się na skutek najrozmaitszych dragowań, przebudowy i robót w celu ulepszenia portu w zatoce, to właśnie Manuel przeniósł *cooperativa* w inne miejsce wybrzeża, do ukrytego, dawnego osiedla rybackiego czy też meliny przemytników zwanej Tiburón —jednej z licznych zatoczek o tej samej nazwie, których jest tak wiele na mapach Ameryki Łacińskiej. Ten dziki i posepny zakątek okazał się jednym z najlepszych łowisk na południe od Mazatlan, a surowa załoga, która się tam rozłożyła obozem za skałami i barierami raf, znała swój fach. Nie było chyba wśród niej ani jednego rybaka, który nie siedział jeszcze w więzieniu albo ze znanych sobie jedynie powodów nie wolal schodzić policji z oczu.

Stało tam parę chylących się chat wzniesionych z trzciny, desek ze starych skrzyń i wszystkiego, co tylko fala wyrzuci. Wysoko na białej palisadzie stała mizerna, wiatrem targana kapliczka, nieużywana i zamieszkała przez szczury część rozwalonej i zatopionej w błocie hacjendy, smutna pozostałość po którejś rewolucji. A za obozowiskiem czy też wsią piekielny parów, wzniośle zwany Rio Negrito, rozszczepiał

wzgórza. Parów ten bywał czasami suchy, spękany jak skóra jakiegoś olbrzymiego żółtego gada wzbijającego chmury gęstego żółtego pyłu i tworzącego najprzyjemniejsze miejsce wypoczynku dla zażywających kąpiele słonecznych grzecho-tników. Kiedy indziej znów był wąskim błotnistym ściekiem, w którym hodowały się miriady moskitów, ameb, najrozmaitszych robaków, aby podtrzymać regularny przydział malarii, dyzenterii i *vomito negro*. Ale niech tylko przyjdzie lato ze swymi burzami i nagłymi powodziami, a zaraz błoto zaczyna się toczyć jak lawa; gęste, lepkie błoto napiera na wątle szopy póki się nie zawalą, wdziera się do ludzkich chat i naciska z zewnątrz i od wewnątrz na bambusowe ściany. Ten napór druzgocącej, bezkształtnej, kłębiącej się szarej masy wyglądał, jak widywane na ekranie ogromne stado słoni gnających w popłochu. Trzeba potem tygodni, aby to wyschło i znów stało się pyłem, pozostawiając po sobie mrowie pchełek ziemnych, muszek ziemnych, tarantul, skorpionów i olbrzymich pajaków, nie wspominając już o pladze much, które przyciągają zabite rekiny.

Tam, gdzie się kroi zabite rekiny, sieka wątrobę, soli ją i ładuje w puszki, musi trochę cuchnąć. Początkowo, kiedy rozetnie się rekina i wydrze wątrobę jest ona przeważnie błękitnoczerwona i nie bardzo śmierdzi. Ale jak tylko odrobinę poleży na słońcu, zaczyna czernieć i piekielnie cuchnąć. Tak właśnie zdarzyło się z pierwszym przyzwoitszym połowem. Niemądrzy *gringos* zapłacili robotnikom za wątrobę zanim ją posiekano i zapakowano, co miało taki skutek, że cała banda po prostu znikła i pozostawiła ich samych z tonami rozkładającej się wątroby pod samym nosem. Meksykanie pili chlubnie przez trzy dni i powrócili do pracy, gdy wydali wszystko do ostatniego centavo. Następnym razem zapłacono im, dopiero gdy wszystko posiekali, osolili i zapakowali ładnie do pięciogalonowych puszek, a nie rozchwyte przez mewy i kormorany resztki zakopali

w piasku, pozostawiając czystość i porządek jak w kuchni u mamy. Tym razem wgramolili się do swoich *pangas*, prehistorycznych łodzi wyżłobionych z pnia drzewa, i popłynęli do Mazatlan okrążając niebezpieczne skały Punta Negra, a gdy po dziesięciu dniach przywlekli się z powrotem do roboty, mieli największego kaca, jakiego sobie tylko można wyobrazić, i byli tak wyczerpani i chorzy, że brakło im siły, aby utrzymać na lince przynętę. Zgubili tego dnia dwie linki i przez cały tydzień nic prawie nic złowili, gdy tymczasem nabywcy przysyłali zewsząd telegramy za telegramami, w Mazatlan czekał na załadowanie wagon-chłodnia, a mały pan Albert Bishop jeszcze raz przyleciał samolotem aż do Tiburon, żeby zobaczyć, co wstrzymało prace, i zalać kapitana Hammersa potokiem swej wymowy.

Ale jak ci ludzie, siedzący na dyrektorskich krzesłach, mogli zrozumieć, że rybacy, którzy nigdy nie zarabiali więcej niż parę pesos dziennie, po prostu potracili głowy, kiedy raptem w ich kieszeniach znalazło się po czterdzieści i pięćdziesiąt?

Najgorszy jednak ze wszystkiego był bunt kobiet. Kiedy pewnego ranka Thumbs i Glenn zeszli na brzeg, zastali tam wszystkie kobiety z dziećmi i całą swoją niedolą. Rozniosły szopę, w której pracowali *gringos*, i spuściły pięćdziesiąt puszek wątroby do laguny. Niektóre puszkę rozbiły się po drodze i znów był ten diabelny zaduch, chmary much i stada rozwrzeszczanego ptactwa wodnego, które nurkowało po smakowite kąski. Kobiety, zwykle tak potulne drepczące za mężami, zupełnie oszalały. Rozpaliły ogień i wrzuciły weń pokrycie dachu, a potem nowe wspaniałe urządzenie kancelarii, dwa krzesła, wszystko, czego się dorwały — płomień aż buzował na porannym wietrze. Płyły na *gringos*, wygrażały im pięściami, obrzucały najplugawszymi wyzwiskami, jakie dwaj *gringos* kiedykolwiek słyszeli. Podniosły dzieci na

rękach, żeby pokazać, jakie są słabe i chore. Wskazywały na ich wątłe ramionka i nóżki, na ich twarzyczki pokryte ranami i białe tępe oczy tych, które ślepy. Było to dla Thumbsa chyba najokropniejsze przeżycie, toteż zdumiewało go, że Glenn nie stracił głowy, kiedy on sam omal nie dostał ataku hysterii i mało brakowało, a zaczęłyby uciekać z krzykiem od tego piekielnego tłumu zrozpaczonych i rozwścieczonych kobiet. Bywają takie momenty, kiedy meksykański tłum staje się okrutny i zaczyna miotać kamieniami, tą ich odwieczną, niekosztowną a zabójczą bronią. Zaczęły i tym razem padać jak grad kamienie. Thumbs i Glenn zrozumieli, że jeśli nie chcą zginąć ukamienowani, muszą wywalczyć drogę przez tłum nożami. Nie była to ani miła, ani przyjemna myśl. Wtedy nagle ponad piskliwy zgiełk przebił się donośny i wyraźny głos kobiecy.

Zamarły w miejscu z ramionami wciąż wzniesionymi ku górze i szeroko rozwartymi ustami. Śmiesznie to wyglądało, jak w kinie Majestic, gdy nagle, w najwyższym nasileniu jakiejś filmowej gonitwy, taśma się zatrzymuje. Glenn wsunął nóż do kieszeni i oczy mu pociemniały, jak by się w nich odbijało coś czarnego, a na twarz wypłynął dawny, poczciwy uśmiech. Thumbs odwrócił się, żeby zobaczyć, co sprawiło, że oczy mu pociemniały: czarna suknia, bardzo zgrabna i elegancka, na drobnej figurce damy siedzącej na grzbiecie osiołka. Jadąc przez tłum kobiet przemawiała im do rozsądku, zwracała się do nich po imieniu i śmiała się, jak by ten straszliwy bunt był), ot sobie, dobrym żartem.

Glenn poznał ją natychmiast, ale Thumbsowi zajęło trochę czasu, nim zorientował się, że dziewczyną na osiołku, tak nieodpowiednio *nu* tę okazję ubraną, była Vida.

Miała na sobie nie tylko miejską suknię, ale i kapelusz, a nawet rękawiczki. Całe szczęście, że była tak przesadnie ubrana, bowiem elegancją swoją olśniła kobiety, które z takim zapaleniem zaczęły rozmawiać o jej sukni, próbować

palcami materiału, śmiać się z kapelusza i radować tym tak rzadkim pokazem mody, że zapomniały o buncie. Vida jednakże natychmiast zaczęła badać sprawę i zastanawiać się, co by tu poradzić. Glenn i Thumbs znali, rzecz jasna, trochę hiszpański, ale gdy kobiety jęły terkotać jak karabin maszynowy, nie rozumieli nawet połowy ich jazgotu. — Czego, u licha, chcą? — spytali Vidę, a ona wyjaśniła im treść krzyków i wrzasków.

— Mówią, że póki ich mężowie zarabiali tylko jednego peso dziennie, byli dobrymi ojcami i mężami, i wszystkim dzielili się z rodziną. Teraz, jak zarabiają dziesięć, dwadzieścia i pięćdziesiąt razy tyle, niosą je do *cantina* i do złych kobiet, a gdy wracają do domu, są chorzy i pijani, i biją dzieci, i walczą między sobą. Zeszłej nocy tak się pobili w Pulquería El Porvenir, że teraz dwóch z nich leży i walczy ze śmiercią, a jeden już umarł — Sebastian Gomez się nazywał — i co teraz pocznie wdowa z trojgiem dzieci i starym ślepym ojcem? A Jorge Palacio kopnął żonę, aż przewróciła się na ziemię, stratował ją nogami i powybił wszystkie zęby. Spójrzcie na jej biedną twarz! Czego one chcą? Mówią, że im dzieci umierają. One są matkami, a jutro odbędą się cztery pogrzeby, podczas gdy ojcowie będą leżeli pijani. I mówią, że was *gringos*, zesłał diabeł i żebyście sobie stąd szli, bo inaczej one was do tego zmuszą, i życie będzie dalej nędzne, ale szczęśliwe i spokojne jak przedtem, nim ich mężowie się wzbogacili.

Glenn najpierw stal jak osłupiały, a potem wybuchnął śmiechem, ale nagle pot wystąpił mu na twarz jak krople deszczu.

— Dobra, powiedz im, że odtąd nie będziemy wypłacali pieniędzy ojcom... Nie. czekaj... sam im powiem. Señores! — krzyknął w stronę rozjuszonych ciemnych twarzy. — Posłuchajcie! Jeśli przyjdziecie dziś wieczorem i każda stanie koło swego męża, wypłacę wam do rąk zarobione przez nich

pieniądze aż do ostatniego centavo, a **im** nie dam nic. To nauczy tych łotrów, których poślubiłyście, dobrze?

— Nie! — zaszemrały. zagderały, krzyknęły, wrzasnęły. — Nie, nie, nie, nie! — i znów nadleciał kamień.

Vida śmiała się z Glenna nie odrywając oczu od jego twarzy.

— *Guero*, mój biedny niemądry *patron guero* — powiedziała miękko - jeżeli dasz matkom pieniądze, ojcowie póty je będą bili, póki **im** wszystkiego nie oddadzą, i będzie jeszcze gorzej. Pozwól, że ja się zajmę tą sprawą. Señores, zostawcie kobiety mnie, dobrze?

Otrzymawszy powyższą odprawę, kierownicy *cooperativa* wycofali się ukradkiem do pochylonej chaty z niewypalanej cegły, która służyła **im** za mieszkanie. Po krótkiej chwili zobaczyli, że kobiety rozchodzą się do swoich chat. Śmiały się i żartowały, jak zwykle, i niebawem przez szczeliny w ścianach i dachach zaczął wydobywać się dym, a klapanie towarzyszące przyrządzaniu *tamale* obwieściło, że zajęły się spokojnie gospodarstwem. Nieco później zobaczyli Vidę, którą prowadził najstarszy syn Manuela, Pedrito. z dwojgiem młodszych dzieci dumnie siedzących na grzbiecie osiołka, a wszyscy troje rozkoszni i brudni, jak mogą być tylko meksykańskie dzieci. Najbardziej zaś El Chiquitín, którego Vida po ucieczce matki wykarmiła kozim mlekiem, i byli bardzo do siebie przywiązani. Malutkie, krągłe jak kula bobo o oczach jak ogromne śliwki oraz o miedzianych policzkach słodkiej brzoskwini.

— No, *patron* — powiedziała Vida — przyjechałam.

— Tak, przyjechałaś. Dobrze sobie, przyjechała! Najwyższy czas było sobie przypomnieć, gdzie jest twoje miejsce — burknął na nią Glenn. Vida zamruwała oczami.

— To tak mnie witasz?

— A czegoś się spodziewała? Czerwonego dywanu, ogni



sztucznych, defilady? Dlatego że doña Vida Pachuela raczyła nam zrobić wielki zaszczyt swoją wizytą? Czy oczekiwałaś, że rzucę ci się na szyję i zacznę cię całować? Vida patrzyła mu prosto w oczy.

— *Si* — powiedziała. Po prostu *si* i nic więcej. To na chwilę замуrowało Glenna, ale zaraz opanował się i parł dalej z uprzednim impetem tym samym kursem.

— Zapewne nie wypada pytać, gdzie byłaś i co robiłaś, gdy tu tymczasem wszystko schodziło na psy?

— Byłam w La Capital, señor. W Mexico City.

— Wesoło było? — spytał Glenn. Nawet w rozmowie z Tracey nie przejawiał tyle zjadliwości, ile się kryło w tych dwóch słowach.

— A jakże inaczej? Tyle nowych rzeczy — czasem myślałam, że mi głowa pęknie. Ruch! Zgiełk! Fajerwerki!

— Tańczyłaś, jak sądzę?

— Tak, też. Także tańczyłam. Przecie trzeba mi pieniędzy, muszę żyć, jeść, nie? Wszystko takie drogie w Mexico City. Czy uwierzysz, „Club Paraíso” płacił mi sześćdziesiąt peso tygodniowo — sześćdziesiąt peso za trzy tańce — straszny majątek, i gdzie to wszystko poszło? Trochę zaoszczędziłam, ale tak mało, że będziesz się śmiał. Dwadzieścia dwa peso i tyle wszystkiego.

— I tyle wszystkiego! Nie znalazłaś sobie bogatego przyjaciela, który by cię przyzwoicie wspomógł?

— Moi przyjaciele są ubodzy, należą do *gente humilde*, skromnych ludzi. Señora Echeverría, u której wynajmowałam pokój, jest wdową z sześciorgiem dzieci. Nie, señor; w wielkim mieście nikt nie ma czasu na zawieranie przyjaźni. Wielkie miasto to wielka samotność.

— Zaraz, zaczekaj chwilę, zaczekaj chwilę... - usiłował jej kilka razy przerwać Glenn, lecz. Vida, która potrafiła milczeć całymi dniami i tygodniami, musiała zrzucić z siebie ten przytłaczający ciężar, jakim przygniótł ją pobyt w wielkim

mieście. Głęboko zaczerpnęła oddechu i roześmiała się.

- A więc, nie było przyjaciół. Ale ja mam szczęście. Nauka to wielkie szczęście, prawda?

— Zaczekaj chwilę — rzekł Glenn, któremu poczynało się w głowie mącić. Jaka nauka, na miłość boską? O czym mówisz, ty głuptasku?

— Po śmierci Tii Teresy poszłam do szkoły. Colegio Moderno, gdzie uczą handlu. Nic wyobrażasz sobie, jaka to niezwykła i wspaniała szkoła, jakie klasy, nauczyciele, czego tam uczą! Zanim przyjechałam do Mexico City, byłam smutna, nie byłam szczęśliwa, o nie, *guero*. Spoglądałam w lustro i mówiłam sobie: „Vida, jesteś głupia jak indyczka, jesteś do niczego, nic dobrego ani dla samej siebie, ani dla *patron*, który zrobił ci wielki zaszczyt nazywając swoje doniosłe przedsięwzięcie twoim nazwiskiem. A czemu nie możesz zrozumieć, gdzie poszły całe pieniądze? I czemu nie ma rekinów, nie ma tranu — i jak masz odpowiadać na zuchwałę listy señores Chempax? Vida, ty głupia, najwyższy czas wlać trochę oleju w tę twoją tępą, pustą *calabacita*. Porządne czytanie i pisanie, i pisanie na maszynie, i rachowanie, i trochę księgowości, i «Podstawy korespondencji handlowej» i...”

— Jeżeli to właśnie robiłaś w Mexico City, to czemu nic napisałaś mi ani słówka? — przekrzyczał ją Glenn. — Czemu mnie nie zawiadomiłaś? Czemu kazałaś mi się dręczyć, zamartwiać i powoli odchodzić od zmysłów, ty bezmyślna, niedbała, niezrównoważona, nieodpowiedzialna...

— Czemu? Pytasz mnie czemu, czemu, czemu? — krzyknęła Vida dotknięta do żywego. — Bo czytałam w jednym piśmie, jaki jesteś zajęty kłopotami, których ta *gringa* — ta niedobra — ci narobiła. Kiedy zobaczyłam cię w tym piśmie obok niej na fotografii, to naturalnie odechciało mi się pisać.

— W jakim piśmie, na miłość boską?

- W amerykańskim magazynie, który nazywa się jak ja:

Life. La Vida. Życie. Uczyłam się z niego po amerykańsku: „Okay”, „Oh boy!”

— Słuchaj, co ona gada, Thumbs — rzekł Glenn, chrząknął i z trudem przełknął ślinę. — Ty jesteś najbardziej zwariowana... zwariowana... słuchaj, co ona gada, Thumbs! Czyś widział większą wariatkę?

Poprzez łyzy gniewu i szczęścia patrzyła na bałagan w ich kawalerskim mieszkaniu: wszędzie leżały porozrzucone zabłocone buty i brudna bielizna, na rozklekotanym stole dwa kubki i brudna patelnia, nad hamakami była udrapowana jakaś stara bielizna, a kilka zabłoconych skarpet tkwiło w dziurze w dachu, któredy wczoraj przeciekał deszcz.

— Czemu żyjecie jak świnie? — spytała bardzo łagodnie, niebezpiecznie spokojna. — Kto o was dba?

— Właściwie nikt. To znaczy my sami. Prawdę mówiąc... Lupita miała nam prac, ale...

— Jaka Lupita? Ta chuda zezowata? Ta *putal* — rzuciła owo często używane słowo dla wyrażenia pogardy. Żebyś więcej tu nie widziała tego brudasa! Jej dzieci mają więcej wszy niż włosów na swych biednych główkach. — Ściągnęła rękawiczki i miejski kapelusz, zrzuciła z nóg pantofle na wysokich obcasach, zsunęła pończochy i zakasała spódnicę.

— Od dzisiaj ja będę o was dbała. Ja zajmę się wszystkim... jeżeli pozwolisz, senior. - Spojrzała w twarz Glenna i upewniona, promieniejąca szepnęła: — Cieszysz się, że przyjechałam?

— Tak, Vido — odparł Glenn. — Błogosławione łono, które cię nosiło — co brzmi o wiele lepiej po hiszpańsku, niż w ograniczonym języku *gringos...*

Nie można powiedzieć, że Tiburon stało się rajem od chwili, gdy Vida przejęła w nim rządy. Co to, to nie.

Mężczyźni nadal się upijali i nadal bili swoje żony, a dzieci wciąż chorowały i cierpiały w odwiecznej skrajnej nędzy. Doprowadziło to Vido do szału.

— Cała wieś śmierdzi i ocieka waszym cudownym, bogatym w witaminy tranem z wątroby rekinów — określenia te zaczerpnęła z jakiegoś prospektu firmy Chempax - a spójrzcie, ile dzieci umiera! — krzyczała. Tak, ale patrz, ile się rodzi. Równowaga w naturze — usiłował ją pocieszyć Glenn.

— W Tiburon nie ma większej śmiertelności dzieci niż gdziekolwiek indziej w kraju — wtrącił Thumbs.

— Tak, ale dlaczego? Bo wszędzie ludzie są biedni. Nic zamydlaj mi oczu gadaniem, jak szczęśliwi są ubodzy Meksykanie w swej nędzy i ubóstwie, och, ileż szczęśliwsi niż... niż wasi milionerzy... wasi... wasze... jak ta zła kobieta, której imienia nie chcę wymawiać. Kochają swoje dzieci i chcą, żeby były tłuste i szczęśliwe, i zdrowe, i smucą się bardzo nad traconymi. Może nasz meksykański smutek ma tylko inną twarz, szerszą i ciemniejszą, i tyle wszystkiego.

— Na pewno, Vido... ale ty tego nie zmienisz— Kto mówi, że nie zmienię? Właśnie, że zmienię. Powstrzymam ich od picia nieprzegotowanej wody, będę ich karmiła witaminą A, i przysięgam, że stworzę zdrowy żywot memu małemu Chiąquitinowi.

— Och, Vido, aleś ty się zrobiła nieznośna, prawdziwa kara za moje grzechy! — jęczał Glenn z żartobliwym protestem. Bóg mi świadkiem, zaczynam się bać, że jesteś dobrą kobietą, a dobre kobiety są nijakie, ot, zupa bez soli.

Ale dobroć Vidy była innego rodzaju. Kto chciał wiedzieć, co znaczy cieszyć się życiem, powinien przyjrzeć się Vidzie. Przyjrzeć się, jak je, jak smakowicie gryzie *tostado* \ oblizuje palce, przyjrzeć się, jak je piękne, złote, dojrzałe, *mango* ociekające sokiem — i nagle człowiek pojmował całą słodycz, życia. Przyjrzeć się jej na molo, jak stoi po kolana w stosie ryb, bierze je, sortuje i każdą rzuca na właściwą kupkę. Przyjrzeć się jej, jak się śmieje, jak się modli, jak śpiewa, jak

tańczy. Człowiek czuł w takich wypadkach, że dotychczas wcale nie wiedział, jak cudownie jest żyć.

Jak ona walczyła u boku obu przyjaciół, żeby ulepszyć Tiburon! Z tą piekielną rzeczulką, powodziami, biotem, zarazkami, robactwem, wyziewami, chorobami; z ciemnotą, niedbalstwem, przesadami biednych rybaków. Powoli następowało polepszenie. Wieś rosła, a z nią rósł Glenn Hammers. Z wolna Tiburon stawało się coraz przyzwoitszą miejscowością, zwłaszcza gdy wzięli się do starej hacjendy, której ruiny sterczały na zboczu góry na podobieństwo czarnych, dziurawych zębów. Takie ruiny są porzrzucane po całym Meksyku, dawne hacjendy zburzone i spalone w jakiejś rewolucji, całe akry porośnięte zielskiem gruzów otoczonych murami. Ta hacjenda była zagrzebana aż po swój wiekowy nos, ale gdy odgarnięto bioto - surowiec na lepienie cegieł — odkopano szczątki starej *casa grande*, głównego budynku, kilku budynków zewnętrznych i chat peonów. szczątki dość pokaźne, by warto było je odnowić.

Thumbs wziął się do budowy dwóch pokoi na gruzach *casa grande*.

— Teraz będziecie mieszkali nie jak świnie, a jak królowie — powiedziała Vida, która zainstalowała się w chacie łączącej się z ogromną kuchnią, płataniną spróchniałych słupków, wynędzniałych drzew i dławiących pnączy. Niebawem zmieniła to wszystko w ładną altanę, bowiem wszyscy Indianie są urodzonymi ogrodnikami i żaden nie jest aż tak ubogi, żeby nie mógł sobie pozwolić na obsadzenie domu kwiatami.

Ta odbudowa hacjendy była jednym z cudów dobrobytu; podobne rzeczy zdarzały się w wielu mizernych rybackich wioskach na wybrzeżu.

Przedstawiała ona również łatwe rozwiązanie problemu mieszkaniowego dla rosnącej liczby ludności. Ludzie porzucali swoje klitki, łatali chaty peonów

i przenosili się z całym dobytkiem na teren hacjendy. Uprawiali swoje zwariowane indiańskie ogrody — kwiaty, zioła, jarzyny, trzcinę cukrową, kukurydzę, co się dało — i hodowali dzieci, świnie, indyki, kozy i kury w bezpiecznym zamknięciu murów.

*Hombre*, ten hałas, kłótnie, śmiechy, śpiewy, te rzępolenia i brzdąkania na gitarach i dobór zapachów! A ta fiesta, którą wydali w wielkim dniu, gdy Vida zawiesiła kwieciste, przeraźliwie różowe firanki w sypialni w której spał Glenn z Thumbsem.

— Podobają wam się? — pytała raz po raz. — To jest najlepszy materiał, najjaśniejszy, jaki tylko mogłam znaleźć w Mazatlan, i taki wesoły ma kolor, prawda, señores? Niechaj uśmiecha się do was rankiem, gdy otwieracie oczy. Prawda, że się wam podoba, tak?

— Śliczne firanki. Zachwycające! — mrucał Glenn wpatrując się w deseń purpurowych ananasów na wściekle różowym tle.

- A teraz połóż się na łóżku i stamtąd popatrz na nic. Ty też, Pulgarcito!

— Pulgarcito, czyli Mały Paluch, to było jej przezwisko dla Thumbsa, od angielskiego „thumb”, czyli „paluch”. — Jak wam się teraz podoba w waszym mieszkaniu?

- Jak w burdelu — mruknął Glenn po angielsku i zaraz dodał po hiszpańsku; — Zachwycająco. Pięknie. Ślicznie.

Ale niedługo był jedynym wielkim panem, posiadającym takie firanki. W tydzień później okna Manuela zakwitły równym splendorem, jak by już to, że w ogóle posiadał okna, jeszcze za mało go wyróżniało.

Chaty innych rodzin były zbudowane według zwykłego planu, to znaczy światło i powietrze przedostawały się tylko drzwiami, a otwór w dachu stanowił zwykle ujście dla dymu z węgla drzewnego. Ale odkąd Manuel Perez stał się wiceprezesem *cooperativa*, zrobił się zbyt ważną osobistością, by

mieszkać jak inni. Z dużym nakładem pracy i potu odbudował więc lo, co było niegdyś mieszkaniem majordomusa, z oknami i wszystkim innym. Prawdopodobnie? ananasowe firanki wskazywały nie tyle na to, że Manuel był karierowiczem, ile że pragnął zrobić wrażenie na Vidzie.

Trzeciego roku Tiburon uczyniło wielki krok naprzód, weszło w nowe stadium dobrobytu, prawdziwy rozkwit. Po założeniu kanalizacji i zbudowaniu latryn przyszedł nawet czas, kiedy udało się nakłonić ludzi, aby pomogli Thumbsowi odbudować starą tamę, która służyła do hamowania corocznych napadów złego humoru Rio Negrito. Glenn co chwila jeździł do Mazatlan, do Mexico City, do gubernatora, na ranczo miejscowego dyktatora, żeby rozmawiać z różnymi ludźmi na różnych kierowniczych stanowiskach. Dla tej bagnistej dziury przyepochlebiał się, przymilał, łykał wstyd, poniżał się i wsuwał łapówki zagorzałym idealistom i spoufalającym się mętnikom, i już zaczynały kiełkować pierwsze rezultaty tych zabiegów: urząd pocztowy, linia telefoniczna, przystanek na żądanie o siedem mil u parowu. Linia elektryczna niskiego napięcia. Poszerzono i wydłużono muli szlak, który był ich jedyńskim połączeniem ze stacją kolejową i światem zewnętrznym. Tę kamienistą drogę ulepszyli przerzucając drewniany most nad Rio Negrito, po którym w każdy czwartek Manuel w całym splendorze przejeżdżał ciężarówką wiozącą na stację ładunek puszek.

Mieli dwie *cantinas* i coś w rodzaju składu materiałów powszechnego użytku. Mieli zaczątek cmentarza wysoko na wzniesieniu, za kapliczką. Kiedyś jakieś pismo przysłało dwóch fotografów, żeby zrobili zdjęcia do artykułu: „Popyt na rekiny”.

Wieczorami siadywali razem, Glenn, Thumbs i Vida, dumnie słuchając urywków muzyki, które radio wyławiało z eteru, i wykwintnego dźwięku kostek lodu z własnej lodówki we własnych szklankach cocktaliowych. Vida sprawdzała

rachunki, Glenn chichotał nad tygodnikami amerykańskimi, Thumbs pykał fajeczkę, a Manuel wchodził i meldował z ważną miną, że załadowano na pociąg cztery tony wątroby. Nauczył się prowadzić ciężarówkę i czuł się okropnie dumny, że jemu właśnie powierzono tak ważne zadanie jeżdżenia na stację. Kazał najstarszemu synowi namalować na ciężarówce bombastyczne imię „El Invincible”, Niezwyciężony, i przemawiał do niej niby do żywej istoty. Były to bardzo spokojne wieczory, zbyt spokojne dla Glenna. Czasem zrywał się nagle, tłamsił rękami czytany właśnie magazyn, ciskał go w kąt i zaczynał chodzić od ściany do ściany. Vida odrywała oczy od roboty i wodziła za nim wzrokiem uważnie i z lekkim zatroskaniem, tak jak na całym świecie matki, żony i kochanki śledzą niespokojne kroki swoich mężczyzn.

— Może radio ci przeszkadza? — pytała, gotowa zaraz je wyłączyć.

— Nie, nie, niech gra — mówił szybko. — Posłuchamy sobie jazzu.

Nastaw trochę głośniej.

— Może się jeszcze napijesz, mój *dueno*?

— Tak, chyba to mi pomoże.

— Jesteś nieszczęśliwy? Niezadowolony? Czemu?

— Ależ nie, jestem szczęśliwy i zadowolony. Tak zadowolony, że aż mnie od tego mdli.

— A może tęsknisz za krajem, *patroncito*? Jeślibyś chciał! pojechać do San Francisco, Pulgarcito, Manuelito i ja chętnie cię zastąpimy przez ten czas.

— Nie tęsknię za krajem.

— Ani do kogoś w twoim kraju? — spytała Vida.

— Nie! Mówiłem ci setki razy, że nie tęsknię do nikogo żywego czy umarłego w moim kraju — wrzasnął Glenn miotając się po pokoju z miną tygrysa w zoo, który zawsze robi wrażenie, jak by od lat cierpiał na zaburzenia umysłowe.

— Wybacz mi, już nigdy nie wspomnę tej osoby - rzekła



Vida łagodnie i na te słowa zniecierpliwienie Glenna ustąpiło.

— Jeżeli w ogóle za czymś tęsknię, to może tylko za statkiem - powiedział majsterkując z roztargnieniem przy skali radia.

— Za „Arundelem”? — spytała Vida.

- Nie. Nie za „Arundelem”. Nie możesz mnie zrozumieć? Za prawdziwym statkiem, prawdziwym statkiem o wielotysięcznym tonażu, z wieżyczką. Siedzę w miejscu tak długo, aż czasem myślę, że zwariuję.

— Jesteś bardzo bogaty i dobrze ci się wiedzie. Czy to powodzenie jeszcze cię nie zadowala?

— Powodzenie! Tak, powiodło mi się w interesach i czy to nie jest po prostu cudowne? Czyż nie marzyłem o tym właśnie — żeby siedzieć na tyłku, robić dzień w dzień to samo, zbijać pieniądze i wpychać je z powrotem w ten cuchnący, pomyślny interes! Czemu się śmiejesz?

— - Bo parskasz i walisz nogą jak rozgniewany byk na arenie. *Eh, toto, torito!* — śmiała się Vida tupiąc jak matador wyzywający byka. Był to dumny i wesoły fragment z jednego z jej tańców i Glenn przestał wykrzykiwać, już tylko zrzędził:

— Co ja tutaj robię? To nie ma sensu.

— - Nie wiem, co ma dla ciebie sens, *patron*. Masz trzystu siedemdziesięciu rybaków, którzy dla ciebie łowią. Dajesz im pracę, pożywienie i lepsze warunki życia! Od trzech tygodni nie umarło ani jedno dziecko. Czy to nie ma dla ciebie sensu, *guerito*?

- Może i ma. Dla ciebie na pewno. A dla mnie... Thumbs, dopilnuj, żeby ona za długo nie ślęczała nad tymi przekłętymi rachunkami i poszła spać. Do zobaczenia.

— A ty dokąd idziesz?

— Chyba popływam sobie „Blimpem” — odparł i wyszedł, pozostawiając zatroskane słowa Vidy: *Que Dios te ayude!* — Niech cię Bóg wspomóż — zawieszony w próżni.

Pochyliła się niżej nad rachunkami. Jeżeli płakała, to nie pokazała tego Thumbsowi.

— Słuchaj no, Glenn — rzekł Thumbs pewnego ranka, gdy wypłynęli kutrem na morze czy słyszałeś, że Manuel znów się bił? Tym razem przeleży się przynajmniej tydzień.

— Tak, chodziłem go opatrzeć i skląłem go na czym świat stoi. Ma ramię rozplątane aż do kości. Chciałbym wiedzieć, po licho wdaje się w te burdy. Powiedziałem mu, że stanie się dla nas zupełnie nieprzydatny, jeżeli nadal będzie chwycił za nóż, ilekroć ktoś sobie zażartuje.

— I co on na to?

— Nic. Przybrał kamienną twarz Azteka. - Czekaj no chwilkę, Glenn — rzeki Thumbs. — Przecież jak sam wiesz, to twoja wina, że on się wdaje w bójki. Nic jego wiń za to. Siebie wiń. Wiesz, jak na niego mówią z powodu Vidy i ciebie. Żaden szanujący się Meksykanin nie zniesie lego bez walki.

— Nie wiem, o czym mówisz — rzekł Glenn nie patrząc na Thumbsa.

— Wiesz doskonale, a kiedy szef robi durnia z człowieka, który jest jego prawą ręką, to takiej sytuacji nie mogą znieść nawet nasi niefrasobliwi Meksykanie.

— Ciekawym, kto tu z kogo robi durnia? Ostatecznie, gdy wreszcie znalazł żonę, tę grubą, wyrachowaną fladkę, Aurelię, to kto mu dał pieniądze na ten jego cholerny rozwód? Ja! Więc czego jeszcze chce?

— Manuel czekał na Vidę dużo wcześniej, niż ty ją poznałeś. Od lat ma jej obietnicę, że wyjdzie za niego, kiedy on uzyska rozwód. Można by powiedzieć, że byli jak by zaręczeni, a teraz ona robi z niego durnia. Bo skoro on chce się ożenić z twoją kochanką...

— Och, zamknij się, Thumbs, na miłość boską. Vida wcale

nie jest moją kochanką. Jest naszą gospodynią i partnerką w interesach, i to zarówno twoją, jak i moją, a jeśli ty...

- Czyżby? Gadaj zdrów. Manuel powinien spuścić jej lanie, a ciebie poczęstować nożem. Prawdę mówiąc, obawiam się, że może to każdej chwili zrobić.

- Odkąd to jesteś takim znawcą psychologii Azteków? — spyta! gniewnie Glenn. — Ja nie przeszkadzam Vidzie, niech sobie za niego wychodzi, jak chce A jak nie może się zdecydować, to ja nic jestem winien.

— Biedactwo, nie widzisz, jak traci na wadze? Pali świece, lata do kościoła, modli się i naprzykrza Najświętszej Pannie, świętej Barbarze i *padreito*, żeby zdecydowali za nią. A tymczasem nieszczęsny Manuel przypieka się z wolna na ogniu i wszyscy się z niego śmieją.

- W pewnym sensie nie można jej winić. To rzeczywiście byłby niezbyt szczęśliwy związek. Po pierwsze, on jest dla niej za stary — zauważył Glenn roztropnie. — Od czasów „Conchity” Vida szalenie go przerosła. Manuel ma dobrą rękę do rekinów. Ale do kobiet! Zrozumiałe, że Vida nie jest pewna, czy chce go nadal...

— Ty wiesz, czego ona chce? Chce ciebie. I chce mieć dziecko, swoje własne dziecko. Nie tę trójkę, którą ta fiadra, Aurelia, porzuciła. Nie Chiquitína, chociaż tak bardzo go kocha.

— Ale. Boże wielki, coż na to mogę poradzić?

— Mnie pytasz? Zrobić jedną rzecz, która oczyściłaby atmosferę: ożenić się.

— Ożenić się? Z Vidą? — krzyknął Glenn szczerze zdumiony. — Czyś oszalał, Thumbs? Co za myśl! Jestem pewien, że nawet jej samej nigdy coś takiego nie przyszło do głowy. Nawet w najśmielszych marzeniach. Ach, tak? A cóż w tym takiego szalonego?

— Po pierwsze, nie jestem typem do żeniaczki. Małżeństwo... chłopie!... to wyrok na dożywocie... bez żadnych ulg.

Bez możliwości złagodzenia za dobre sprawowanie. A poza tym, przyznaj sam, Vidy i ja jesteśmy zbył różni. Pochodzimy z przeciwnych krańców świata. Jej wychowanie... przeszłość...

— Jeżeli o to chodzi, twoja przeszłość wcale nie jest wonna jak lilia.

— To co innego. Ja jestem mężczyzną. Jeżeli o to chodzi, może nie jestem nawet godzien Vidy, musisz mnie dobrze zrozumieć. Albo ona jest za dobra dla mnie. Kobieta o nieskazitelnej dobroci — może ja jestem nicpoń, czy rozumiesz, o czym mówię?...

Zdaje się, że tak — rzeki Thumbs gniewnie. — Czego ci, bracie, niedostaje, to wyzwania, walki, lancy pikadora w boku: zazdrości. Czegoś z suki w dziewczynie. Takiej Traccy.

— Nie, nie mogę się z nią ożenić. Ani z nikim innym -rzekł Glenn.

Brzmiało to niby urywek nieskończonego dialogu, który wiódł z samym sobą. Nie potrafiłem nawet wytrwać w ślubach z flotą, a cóż dopiero z dziewczyną.

— Może sobie tego nie uświadamiasz, ale kochasz Vidę.

— Bądź lak dobry i zakończ wreszcie z laski swojej to cholerne grzebanie się w moich flakach. — Pochylił się i zaczął szperać wśród sprzętu rybackiego w kokpicie, a kiedy wyszedł, miał zacięty wyraz twarzy i nad górną wargą wystąpił mu pot jak po ciężkiej pracy.

— Dobra, Thumbs. Jeżeli sądzisz, że to oczyści atmosferę, powiem Vidzie, by się zdecydowała i dotrzymała danej Manuelowi obietnicy. Lubię tego chłopca, jest nam potrzebny i lepiej nie robić sobie z niego wroga - powiedział zsuwając czapkę z czoła. — I możesz puścić w obieg słówko, że powybijam zęby każdemu, kto tylko się ośmieli zrobić pod jego adresem jakąś sprośną uwagę. Albo pod adresem Vidy.

Nagle Thumbsowi zrobiło się go żal i już nie powiedział ani słowa. Glenn stanął przy kole sterowym i patrzył wprost przed siebie. Kilka szarych chmur przeszło przez jego

śmieszne oczy barwy czystej wody i dopiero później wyjawi! swoje bardziej skryte myśli.

— Gdybym się z nią ożenił, Thumbs, to jak bym osiadł w porcie, tutaj, w Tiburón, aż do końca życia. To by nieodwracalnie przecięło moją ostatnią łączność z resztą świata. Musiałbym pożegnać się z nadzieją na jakąkolwiek nową szansę, czy ty tego nie rozumiesz?

„Szansę czego? — pomyślał Thumbs, ale nic powiedział nic. — Szansę powrotu do swego kraju, rodziny, odpowiadających mu ludzi, odpowiadającej mu żony. Chłopie, jeszcześ nie wyzbył się tej trucizny, Jeszcze myślisz o Traccy.”

Kilka dni później Glenn opowiedział Thumbsowi, jaki miał sen. Siedzieli pod dachem z palmowych liści w szopie, która była ich biurem na nabrzeżu, i liczyli srebrne pesos, był to bowiem dzień wypłaty i już zaczynały się schodzić kobiety, żeby odebrać swój zarobek. Na razie siedziały cierpliwie, przycupnąwszy wokół czterech słupków wspierających dach z blachy falistej, co stanowiło przewiewny warsztat Cooperativa Pachucla.

— Ubiegłej nocy miałem śmieszny sen — powiedział Glenn zwracając oczy ku zatoczce i rafom poza nią. — Śniło mi się, że przyszedłem tutaj rano, ale to nie było tak niewyraźne i niepełne jak zwykle w snach, tylko zupełnie realne. Widziałem ślady nóg mew i rybitw odbite na piasku i nawet czułem bryzę z północnego zachodu. A gdy spojrzałem poza rafy, tak jak teraz, zobaczyłem statek na kotwicy.

— Mów dalej — rzekł Thumbs licząc pesos. Sześćdziesiąt-siedemdziesiąt... oho, jeden fałszywy... siedemdziesiąt pięć...

— Wiesz, co to był za statek? To był „Arundel”.

— Tak, ja też czasem o nim marzę — powiedział Thumbs i przestał liczyć. — Każdy żeglarz śni o statkach, na których żeglował. Nie ma w tym nic śmiesznego,

— Nie. Śmieszne jest to, że poczułem się szczęśliwy na jego

widok. Szczęśliwy, jak to jedynie możliwe we śnie. Stał na kotwicy, a jednocześnie pod żaglami, z tym ożaglowaniem, jakie miał za życia starego Pritcheta, a ja sobie pomyślałem: „No, jest. No, nareszcie jest”.

— I co?

— I nic. To wszystko. Nareszcie jest, myślałem, jak bym przez cały czas go oczekiwał.

— Króciutki sen, no nie?

— Coś tam jeszcze było, ale już nie pamiętam. Pobiegłem, zdaje się, przez, lagunę i rafy, skoczyłem w fale i popłynąłem do niego...

— Mam nadzieję, że się utopiłeś — powiedział Thumbs z głębi serca.

Być może, sen ów bardziej wytrącił Glenna z równowagi, niż chciał po sobie okazać. Tego bowiem wieczoru wsiadł na „Blimpa” i wrócił dopiero po dwóch dniach. „Blimp” był jego osobistą zabawką, niebezpiecznym i niepewnym ślizgaczem. Kupił go pół darmo na licytacji, ale początkowo łódź ta nie przedstawiała nic nadzwyczajnego.

Kiedy Glenn dostosował ją do swego smaku, nabrała nieodpartej tendencji do wywracania się do góry dnem i narażania na rozbite. Być może właśnie to stanowiło największą w oczach Glenna jej zaletę.

Należał on do typu ludzi, którzy szukają niebezpieczeństw. Gdy inni upijają się, żeby sobie ulżyć, Glenn szedł i starał się skrócić sobie kark. Niebezpieczeństwo łatwo staje się nałogiem, bo jest najsilniejszym z możliwych narkotyków. Gdy wszystko szło gładko i bezpiecznie, Glenn czuł się jak narkoman pozbawiony narkotyku. Gdy była powódź czy jakiś niewielki huragan, jakieś prawdziwe nieszczęście, był w swoim żywiole.

Ale jak tylko wszystko szło gładko, musiał się jakoś wyładować. Na przykład płynąc „Blimpem” w nocy w zawieruchę, po to, by go o świcie wyciągnięto na wpół żywego poza kipiela na płycznach. Rafy stanowiły jeszcze jedną dla niego atrakcję. Były ruchome i przeprowadzenie

przez nie „Encantadory” wymagało nie lada sztuki nawigacji. Niemało łodzi się rozbiło przy próbie opłynięcia przylądka Punta Negra, wybiegającego w morze między Tiburon a Mazatlan. A co dopiero, gdy jesienią wędrują ku północy z terenów wrześnieowych zabaw kolo Acapulco całe stada białych rekinów - niewesoło byłoby wtedy wisieć u przewróconej łodzi. Po ostatniej przejażdżce Glenn wyglądał bardzo źle. Spragniony, jak by nie miał z sobą wcale słodkiej wody, i żółty. Powiedział, że to odezwała się dawna malaria, lecz Thumbs był zdania, że raczej odezwało się pragnienie powrotu Tracey. Thumbs również nie mógł przestać o niej myśleć. Dręczyły go palące, nie znajdujące odpowiedzi pytania.

Gdzie była przez cały ten czas? A może znikła już na zawsze? Pozbyła się męża, została oficjalnie i publicznie oczyszczona z jakiegokolwiek winy i podejrzeń, mogła więc wyjść za Glenna. Jak się czuła, gdy Glenn właśnie wtedy usunął się z jej życia i osiadł wśród indiańskich rybaków łowiących rekiny, z meksykańską tancerką, w dziczy, gdzie nie ma nawet kortu tenisowego?

Adwokat doradził jej, by nie zwracała na siebie uwagi, póki nie ucichnie skandal. Czyż więc to do niej nie podobne, że pomyślała o doskonałej i kojącej ucieczce do Chin, pozostających w wojnie z Japonią, w ten bigos polityczny, który się pichcił w Czungkingu? Rzeczywiście na Dalekim Wschodzie taki piekielny był zamęt, że przez spory kawał czasu wszelki duch o niej zaginął. Ale po dwóch latach znowu jej nazwisko zaczęło się pojawiać na łamach pism. Wyglądało na to, że odbyła drogę przez Indie i Kanał Sueski na południe Francji i wywołała sensację w tamtejszych kręgach. W jednym z magazynów, które dotarły do Tiburon, pisano, że wygrała jakiś wyścig samochodowy. Na zamieszczonej fotografii stała na trampolinie i wyglądała świetnie w bardzo prostym i skromnym kostiumie kąpielowym. W istocie była w nim

bardziej obnażona i podniecająca od prawie nagich dziewcząt na tej samej stronie. A w wywiadzie oznajmiła, że chce swoim samolotem przelecieć Atlantyk w drodze powrotnej do Stanów. Brzmiało to niezupełnie jak przechwałka, a jednocześnie jak na kobietę nie było pozbawione teatralności.

Thumbs nie spytał Glenna, czy zwrócił uwagę na tę wiadomość. Jeżeli tak, to w każdym razie me wspomniał o tym. Aż do pewnego poranka, gdy wyruszyli bardzo wcześnie, żeby odwiedzić grupę rybaków, którzy założyli sieci jakieś dwadzieścia mil w dół wybrzeża. Był to przyjemny, bezwietrzny, *trochę mglisty ranek* i Glenn przypatrywał się w milczeniu dwóm rybitwom, które krążyły nad nimi, a potem rzekł ni stąd, ni zowąd: — Jeżeli chce wracać do Stanów swoim samolotem, to niech to robi szybko.

— Bo co?

- Bo wojna. A może nie wiesz, że w Europie jest wojna? Nie było to wcale tak głupie pytanie, jak by się zdawało. Mieszkali w miejscowości spokojnej nie zainteresowanej wojną za oceanem, mimo że przed kilkoma tygodniami Niemcy wkroczyli do Paryża.

— Sądysz, że Traccy mogłaby wyjechać z kraju, gdzie jest wojna? — spytał Thumbs. — Przecież to jej żywioł. Na pewno pragnie znaleźć się w pierwszym rzędzie, tuż przy *barrera*, jak na walec byków, i dobrze się wszystkiemu przyjrzeć.

— Tak, myślę, że w czasie nalotu Dyiaby lepszym kompanem niż ktokolwiek inny powiedział Glenn wciąż przypatrując się rybitwom a Thumbs nie podtrzymał rozmowy.

Kilka dni później, zszedłszy rano na nabrzeże, usłyszeli warkot samolotu zataczającego krąg w górze - był to wciąż jeszcze bardzo rzadki odgłos w tych stronach i kiedy stali przyglądając się, samolot zszedł gładko na wodę. Wśród



Meksykanów zapanowało lekkie poruszenie i w jednej chwili całe mnóstwo drażonych w pniu łodzi odbiło od brzegu. Nim jeszcze łodzie powróciły do zatoczki, Thumbs odgadł, kogo to diabli przynieśli w ich cichy zakątek.

— A więc ostatecznie nie usiadła przy barierze i wróciła — rzekł. Glenn stał jeszcze w miejscu z zamrożonym uśmiechem na twarzy, gdy Thumbs już pędził na molo, wokół którego zaroilo się od powracających łodzi jak od ruchliwych brązowych pluskiew. Młody Pedrito, najstarszy syn Manuela, grzeczny, wdzięczny i dumny niczym syn Montezumy, pomagał Traccy wysiąść ze swej łodzi. Thumbs zadyszał się po tym krótkim biegu i czuł w sobie każdą uncję tłuszczu, która mu przybyła od czasów „Arundela”. „A może nie tylko swojej wadze zawdzięczam to poruszenie pod żebrami” — myślał.

Tracey szła po molo otoczona śmiejącą się, rozbrykaną i rozgestykulowaną eskortą chłopców. Sama też się śmiała. „*Hijo* — pomyślał Thumbs — jaka wspaniała z niej dziewczyna!” Już prawie nie pamiętał tego elektryzującego wrażenia, jakie wywierały na nim jej przyjazdy z rozmaitych włóczęg. Podbiegła do niego i nim zdążył się zdecydować, jak ma ją powitać, zarzuciła mu ręce na szyję i wycałowała, wichrząc mu rzednącą już czuprynę i poklepując go, jak by był jej ulubionym psem czy czymś w tym rodzaju.

Pocałowała Thumbsa, ale nie pocałowała Glenna, który przyszedł powoli za całym tłumem na brzeg.

Wyciągnęła do niego rękę gestem wielkiej damy i patrząc mu w oczy powiedziała spokojnie:

— Jak się masz, Glenn?

- Dziękuję. Świetnie — odparł i uścisnęli sobie ręce.

- A więc to jest twoje władztwo — powiedziała rozglądając się.

Słyszałam o nim. W Acapulco. Mówiono mi, że jesteś tu królem, absolutnym, autokratycznym, dyktatorskim monarchą.

— To źle ci mówiono. Jestem zarządcą niewielkiej spółdzielni rybaków.

— Ta spółdzielnia strasznie wierci w nosie, czy może już tak się przyzwyczałeś, że tego nie odczuwasz? — spytała marszcząc nos, ale w jej kpinie nie było już dawnej uszczypliwości lub zjadliwości.

— Tylko wtedy, gdy wiatr wieje z północnego zachodu — odparł Glenn wskazując głową w stronę szop, w których kobiety krzątały się koło porannego połowu.

Będąc chłopcem Thumbs często zazdrościł kolegom, że tak zręcznie umieli urządzić, aby w odludnej alejce w towarzystwie wybranej dziewczyny zabrakło nagle benzyny w jej samochodzie, w żądanym miejscu i czasie, była czymś zasługującym na równy podziw. Zdążyła właśnie z Acapulco do Ensenada, żeby zobaczyć jacht któregoś z przyjaciół na fregatach, wyjaśniła bez zmrużenia oka. ale to pudło wymaga równie regularnego i częstego karmienia jak nowo narodzone dziecko. Prawdę mówiąc, liczyła na uzupełnienie paliwa w Mazatlan, lecz gdy się znalazła nad tą uroczą zatoczką, odczuła nieodpartą chęć zobaczenia, jak się powodzi starym przyjaciołom. Czy poczęstują ją kanapką i filiżanką kawy, podczas gdy ludzie będą napełniali baki samolotu z ich cysterny? Glenn mruknął, że nie ma cysterny: — Nie bądź niemądra, skipper! — a jej rozjaśniły się oczy na dźwięk tego starego przezwiska, które mu się wyrwało niechcący. Szła z nimi pod rękę gawędząc i szczebiocąc, tak jak niegdyś spacerowali po pokładzie „Arundela” —jeszcze przed katastrofą. Oni wypytywali ją o wojnę, a ona opowiadała, że właściwie wojna jeszcze się na dobre nie zaczęła.

— Na pewno nudno jest czekać na przedstawienie, które się nie chce rozpocząć o czasie — rzekł Glenn uszczypliwie.

- Czy dlatego wróciłaś, że cię to znudziło?

— Nie. Bo zatęskniłam — odpowiedziała. Odpowiedź ta była tak szczerą i prostą, że aż Glenn

pochylił się, by zajrzeć jej w twarz, czy się nie myli. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

— Tak, Glenn, po prostu zatęskniłam za krajem. Ale może ty tego nie rozumiesz?

Glenn zignorował to pytanie.

— **1** ponieważ zatęskniłeś za Stanami, zamieszkałeś w Acapulco? — spytał. Thumbus zdziwił się, skąd on o tym wie.

Och, tęsknota za krajem nie oznacza tylko tęsknoty za jakimś określonym miejscem. Ale nie mówmy o mnie. Chcę się dowiedzieć czegoś o was — jak pracujecie, jak żyjecie i... w ogóle chcę wszystko zobaczyć.

— Doskonale. Urządzimy jej wycieczkę turystyczną, Thumbs? Choć prawdę mówiąc wolałbym, żebyś przyjechała w dni, kiedy wieje od południowego wschodu i nic czuć tego piekielnego smrodu rekinów — rzekł Glenn. Był dumny z osiągnięć w Tiburon, ale kiedy patrzyła na nie Tracey, kurczyły się jakoś i wędły w jego odczuciu. Nic dlatego jednak, że odmawiała czemukolwiek wartości. Nie obraziła go również nadmiarem pochwał; nie rzucała kwiatów, jak Meksykanie nazywają pochlebstwa. Była wyraźnie zainteresowana, ale nie bardzo głęboko i przejawiała lekki smutek.

Nigdy jednak nie było chyba lak wiele kóz na drodze do hacjendy, lak wiele świń na podwórzu, tak wiele nicumytych dzieci bawiących się w błocie, lak wiele podartych koszul rozwieszonych do wysuszenia na ciemnych krzakach i kaktusach. Mijając *pila*, to nieodzowne kamienne koryto, odwieczne miejsce plotek i paplania Meksykanek, które tam prały bieliznę, Tracey zatrzymała się.

— Twój osobisty harem, kalifie? — spytała nie bez odrobiny dawnej złośliwości. „Ciagle zazdrosna!” — pomyślał Thumbus. Ona jednak dodała zaraz całkiem innym tonem: — Jakież one ładne, prawda, Glenn? — Kwestia gustu — odparł chcąc jak najprędzej odejść z nią od chichotów i soczystych dowcipów kobiet, które nie

wiedziały, że *gringa* całkiem nieźle rozumie po hiszpańsku.

— A oto — objaśnił ją paradnie - nasza radość i duma: latryny.

— Brawo — powiedziała Tracey i dała nura do jednej z nich. Mężczyźni zatrzymali się nie wiedząc, czy na nią czekać, a zarazem nie chcąc zostawić jej samej na podwórzu.

— No, mów coś — rzekł Glenn.

— Co powiesz o tej wizycie? — Bo ja wiem? Zmieniła się.

— Może. Jeżeli nie udaje.

Tracey wyszła i znowu uderzyło Thumbsa, jak ona ładnie wygląda w zwykłym kombinezonie pilota. Wcale nie jak kobieta, która zastrzeliła swego męża. „Może ja byłem niesprawiedliwy dla niej posądzając ją o te wszystkie nieczne sprawy i knowania” — myślał i zastanawiał się, czy kapitan odczuwa to samo. Spoglądał bowiem na nią ukradkiem głodnymi oczami.

— *Bienvenida, Princesa* - rzekł chyląc się w przesadnym ukłonie na progu *casa grande*, gdzie jedna z tych cholernych rynien znowu przeciekała. — Chętnie zabawiłbym się w Sir Waltera Ralcigh, rzucając płaszcz w tę kałużę, byś mogła przejść suchą nogą. Ale że jestem w samej koszuli, musisz zabłocić sobie pantofle albo pozwolić, żebym cię przeniósł.

— - Jak tu miło - powiedziała wchodząc do chłodnego, mrocznego pokoju, niemal zupełnie pozbawionego mebli. — To pewnie była sala za dawnych czasów...

Thumbs wycofał się do kuchni, żeby przygotować trochę kanapek i kawę, i kiedy stał tam rozniecając ogień w ogromnym starym piecu z niewypalonej cegły, słyszał, jak rozmawiają, potem milczą i znów rozmawiają. Byli głęboko pogrążeni w rozmowie, kiedy wszedł, i omal nie upuścił tacy na podłogę ze zdumienia, słysząc, co Tracey mówi:

— ...nie, wierz mi, Glenn, tyle się napatrzyłam niedoli i krwi, i brudów w Chinach, że po prostu nie mogłam

wytrzymać, kiedy to wszystko zaczęło się w Europie. Ci nieszczęśni ludzie uciekający w panice przed Niemcami! Nie masz pojęcia, co się działo na zawałonych drogach pod Paryżem. Co działo się ze starcami, chorymi i dziećmi — był taki moment, gdy czułam, że już nie zniosę więcej widoku krwi albo wycia motoru bombowca nurkującego na bezbronnych ludzi. Oszalałabym, gdybym musiała jeszcze raz dotknąć trupa. Daj papierosa, dobrze? Zamknęła oczy i wciągnęła dym głęboko w płuca. — I co dalej? — spytał Glenn wyciągając rękę ponad stołem i kładąc na jej dłoni.

— Dalej? Co jeszcze? Koszmar. Ludzie w moim samochodzie — znasz mnie, Glenn, wiesz, że nie jestem usłużna, nie zaprosiłam ich, wleźli siłą. Na przykład jakiś chłopiec -chyba dezertor — tchórz, ale właściwie co za różnica, skoro nie żyje? Miał rozpruty brzuch, podtrzymywał wnętrzności brudnymi rękami i jęczał o wodę, póki nie skonał. Jaki bałagan, jaki... Pytasz, co z koniem pikadora? Nie miałam pojęcia, Glenn, nie miałam pojęcia, póki... Słuchaj, kiedyś wniesiono do mego pokoju dwoje staruszków. To było w Chinach w pewnej wsi w pobliżu frontu. Jeżeli w ogóle tam można mówić o froncie. Przyłączyłam się do grupy korespondentów wojennych, żeby popatrzeć na przedstawienie spoza bariery, jak powiedziałeś. Przyniesiono tych dwoje staruszków, bo chciano ich wyratować, męża i żonę, chociaż trudno by nawet było odgadnąć ich płeć, ot, szkieleciki, gnaty obciążone kawałkiem skóry — umarli tej samej nocy. Głód. Trzymali się za ręce, uśmiechali i nic nic mówili. Tylko porzęzili troszkę i brody im opadły, najpierw on, a w pół godziny później ona. Nie mieli zębów w rozwartych czarnych ustach czuć ich było strasznie. Kiedy już byli nieżywi, śmiali się jak by z nas żywych i nie puścili swoich rąk nawet po śmierci. Nie mieliśmy wiele czasu na pogrzebanie ich. musieliśmy sami uciekać. Zbyt wiele widziałam, Glenn zbyt

wiele widziałam... Może te wojny są potrzebne, żeby zrobić pacyfistkę nawet z Tracey Cowles?

— Uspokój się, skipper, napij się kawy — rzekł Glenn. — Albo wiesz co, Thumbs, daj jej kieliszek. Ale my mamy tylko tequilę.

Dziękuję, nie piję. kiedy prowadzę samolot. Wystarczy mi kawa. — Glenn przypatrywał jej się, gdy piła.

— Straciłaś trochę na wadze, prawda? — spytał.

— Nie. Od czternastego roku życia moja waga się nie zmienia. Starzeję się tylko. Wolałabym, żebyś nie miał aż tak bystrych oczu, kapitanie Hammers. Nie mogę ukryć przed twoim wzrokiem ani jednej zmarszczki.

— Przestań. I nie dopominaj się komplementów, to do ciebie niepodobne. Te twoje zmarszczki wcale nic są takie nie pociągające. Dwa znaki zapytania przy kącikach ust i wykrzyknik między brwiami.

— To od choroby, której się nabawiłam od ostatniego widzenia z tobą.

— Jesteś chora? A cóż ci jest, na miłość boską? — spytał Glenn nieco zaniepokojony. Uśmiechnęła się.

— Słuchaj, Tracey, siedzieć na tyłku i myśleć to nie dla ciebie — rzekł Glenn. — Z tego nie wyjdzie nic dobrego. Tobie potrzebne działanie. Nie chodzi o to, żebyś siedziała i patrzyła, jak inni wzajem się mordują, tak jak robiłaś dotychczas — ale żebyś coś sama robiła. Rób coś, dzisiaj, walcz, jeżeli musisz, zostań, jak chcesz, jakimś piekielnym toreadorem — cudnie byś wyglądała w obcisłych portkach — ale skończ z tym cholernym przyglądaniem się widowiskom, które świat urządza na swej krwawej arenie.

- Dzięki za poradę, panie doktorze Hammers powiedziała Tracey z oczyma utkwionymi w Glenna, który odsunął krzesło i zaczął chodzić tam i z powrotem w długiej, pustej sali, taki podniecony, jakim go jeszcze Thumbs nigdy nie oglądał. — To jest właśnie jedna z przyczyn, dla której

powróciłam. Dzisiaj... Boże, cóż ja innego robię? Jak sądzisz, po co siedzę w Acapulco?

— Nie wiem. Właśnie nie wiem, Tracey. Tam się zrobił raj nierobów, jak mi opowiadają.

— O właśnie. A niektórzy z tych nierobów są bardzo ważni i mają ogromne wpływy. Staram się im podłożyć petardy pod tyłki i jakoś ich ocknać, otrząsnąć z samouwielbienia. Nie wyobrażasz sobie. Glenn, jak trzeba działać, żeby móc jakoś urządzić garstkę bezdomnych ludzi. Są wszędzie, w Szanghaju, Hongkongu, na Kubie, w Meksyku — Żydzi, Hiszpanie, Niemcy, Polacy, bo ja wiem? — tysiące, setki tysięcy. A teraz jeszcze Francuzi, dzieci angielskie, które trzeba ewakuować, uchodźcy, uciekają z obozów koncentracyjnych, idą w zawody ze śmiercią, torturami, samobójstwem, ludzie bez ojczyzny, którzy potrzebują papierów, wiz, zezwoleń na pracę, pieniędzy — w Meksyku niektóre z tych rzeczy można dostać za pieniądze. I po to siedzę w Acapulco. Działaj — a co ty wiesz o pracy? Tutaj? W tej dziurze? Myślisz, że połów rekinów to taka ważna praca? A zresztą sam ich nawet nie łowisz, inni to za ciebie robią. Ty tylko sprzedajesz to zalatujące paskudztwo z niezłym, jak sądzę, zyskiem, a Thumbs buduje wychodki - nie, nie widzę żadnych podstaw, żebyś miał być taki lalusz... Och, Glenn, Glenn, kiedy myślę o tobie, jakim byłeś... chciałeś dowodzić własnym statkiem, stać na mostku i... już zapomniałeś?... Daj no papierosa, Thumbs!

Thumbs pogrzebał w kieszeni, ale miał w niej tylko fajkę. Nim zdołał znaleźć papierosa, Glenn wyjął z ust skręta, którego sobie przygotował, i włożył w usta Tracey. Był to ich stary intymny gest i gniewna twarz Tracey rozjaśniła się.

— Praw dalej swoje kazanie, Tracey, jeżeli to ci dobrze robi. Ale zastanów się, czy jesteś całkiem sprawiedliwa. Ostatecznie, nie obrałem sobie tego życia. Sama do tego dołożyłaś rękę, jeśli pamiętasz. W pewnym stopniu ja też

jestem pozbawiony ojczyzny i robię, na co mnie tylko stać. Nie winię ciebie za to, winię sam siebie, więc nic budźmy licha. Twego i mojego. Ty wiesz, czemu siedzę w Tiburon, a ja podejrzewam, że mieszkasz w Acapulco z tych samych przyczyn, mimo że tęsknisz za krajem.

— Och, Glenn! - powiedziała Tracey. — Och, Glenn, czemu nie mogę cię przekonać, że...

Thumbs uznał, że najwyższy czas zostawić ich samych, i zaczął się powoli wycofywać ku drzwiom. Ale właśnie w tym momencie wpadła Vida, bosa i owinięta swym robozo. Na widok gościa otworzyła usta, trzasnęła drzwiami i znikła jak błyskawica. Pięć minut później wróciła w swoim najlepszym miejskim stroju, czarnej sukni, rękawiczkach i kapeluszu. Tym razem nie weszła przez drzwi od kuchni, ale przez frontowe. Thumbs podązał za nią na wypadek jakiejś eksplozji.

Ale kobiety to śmieszne stworzenia, całkiem nieobliczalne, zdaniem Thumbsa. Dwie dziewczyny, obie zakochane w tym samym mężczyźnie, obie umierające z zazdrości, pełne ducha i temperamentu, choć pod każdym innym względem różne jak dzień i noc, a mimo to żadnej eksplozji, żadnego spięcia nie było, tylko grzeczne uśmiechy, niezwykle dworne powitanie, ceremonie, wzajemne zapytania i układne życzenia zdrowia i szczęścia. Najśmieszniejsze w tej całej komedii było to, że Vida mówiła najelegantszą angielszczyzną, jaką zdołała sobie przyswoić w tak krótkim czasie, a Tracey odwzajemniła się jej płynną hiszpańszczyzną bywalej w świecie damy, która mówi wieloma językami, ale z amerykańskim akcentem. Był to znów ten pojedynk słowny, z którego tępawi mężczyźni ledwie coś niecoś mogli wyrozumieć.

Z wyjątkiem tego, że Vida zachowywała się jak doskonała gospodyni, jak by dom był jej domem, a Glenn jej własnością. A Tracey, jak doskonały gość, podziwiała wszystko i prawiała tak przesadne komplementy, że aż ściany drżały, a nieszczęs-



ne sprzęty, owe przedmioty dumy, nawet kwiaty i ananasy na wściekle różowych firankach wędły pod jej spojrzeniem. Jak za pierwszym razem zwróciła szczególną uwagę na panującą czystość — nic, naprawdę, jak to się stało, że tu tak czysto? — jak by zazwyczaj Meksykanie dławili się własnym brudem. W rzeczywistości życie upływa im na wielkiej heroicznej bitwie o czystość w najtrudniejszych na świecie warunkach. — Nie, naprawdę, czy to możliwe, że ty tu sama utrzymujesz taką czystość, doña Vida? Tymi małymi delikatnymi rączkami? Mogę ich dotknąć? Nie do wiary. Jak jedwab. Czy zwróciłeś uwagę, Glenn? Ręce piękności z haremu. A teraz dotknij moich, Glenn. Jak u tragarza portowego, prawda? — I już zatrzymała palce Glenna w swojej dłoni, niby jakąś nic nie znaczącą osobistą własność.

— To dlatego, że mam indiańską skórę, señorita — powiedziała Vida z dumą, chlubiąc się, że jest *mestiza*, półkrwi Indianka. — I dlatego, że mam dużo do czynienia z tranem rekinów.

— Oczywiście. „Wszystkie wonie Arabii nie odejmą tego zapachu z tej małej ręki...” Czy to cię trochę nie peszy, kiedy pieszczotom towarzyszy powiew Parfum de Requin, kochanie? — spytała Tracey Glenna ze słodyczą w głosie. Vida zrobiła zdziwioną minę. - To po francusku, moja droga, *requins*, rekiny, *tiburones* plus troszkę Szekspira — mówiła dalej Tracey jak do dumnowatego dziecka. Wygrała tę rundę, lecz nim wyliczanie doszło do dziewięciu. Vida wyrównała wynik, kiedy Glenn powiedział:

— Na twoim miejscu, Tracey, zostawiłbym Lady Makbet i rekiny w spokoju. A co do aromatu tutejszych pieszczot, powinnaś osobiście zbadać tę kwestię wśród mężczyzn na molo, jeśli to ciebie interesuje.

— Zdumiewasz mnie, Glenn, naprawdę mnie zdumiewasz. Czyżbyś się stał pedantem i hipokrytą? Najwyższy czas odetchnąć świeżym powietrzem...

I tak to poszło. Póki nie weszła Vida, Thumbs był na nowo zakochany w Tracey, która tak bardzo się zmieniła. Skoro życie oczyściło jej naturę z okrucieństwa, złościwości i pustoty, lecz pozostawiło siłę i odwagę w nienaruszonym stanie, to któż zdołałby się oprzeć urokowi Tracey? Zaczął w cichości żałować swego braku serca i zrozumienia. „Jakie masz prawo podejrzewać ją skrycie o zbrodnię, z której została publicznie oczyszczona? — zapytał Thumbs siebie samego. — A może myślisz o niej jak najgorzej, bo działa ci na każdy nerw, traktując cię zarazem , jak byś nie był z krwi i kości?”

Ale od chwili, gdy weszła Vida, znów stała się dawną Tracey, nie zmienioną, nie odrodzoną, Tracey z diabłem za skórą, gotową na wszystko. Szybko skierowała rozmowę na ludzi, miejsca i wypadki spoza zasięgu Vidy, istny cyklon anegdot, żarcików, dowcipnych uwag, który porwał Glenna. Biedny Glenn zadawał pytania, śmiał się, promieniał, jak mu się to już dawno nie zdarzało. Jakże zgłodniały musiał być głosu własnego porzuconego świata! A nieszczęsna Vida była wyłączona, wyobcowana z tego wszystkiego. Z wolna wyciągnęła rękawiczki, złożyła ręce na kolanach i wpatrywała się w nich — istny obraz wystrojonej indiańskiej rezygnacji.

„Może — przyszło Thumbsowi na myśl — byłoby najlepiej, gdyby Tracey zdołała odzyskać Glenna. Vida poślubiłaby wówczas Manuela i każde z nich pozostałoby we własnej sferze. Oczyściłoby to atmosferę w Tiburon i położyło kres plotkom i nożownictwu”. Poszybował myślami w bezchmurne przestworza tych możliwości, ale zaraz spadł na ziemię, gdy Glenn wstał z krzesła, a Tracey mówiła:

— ...dobrze, mój kochany, wystartujemy, jak tylko dasz mi trochę paliwa. Spodoba ci się moje pudło, a mała zmiana powietrza zrobi ci doskonale.  
— Dobra. Zobaczą, czy Manuel będzie mógł się tym zająć. Szczęście, że mamy własne zapasy wysokooktanowego pali-

wa. Dla naszej ciężarówki — powiedział Glenn od drzwi. Był podniecony jak szczeniak. Oczy mu pociemniały jak w dzieciństwie, gdy puszcza! latawce na wzgórzach nad Pearl Harbor. Jak by czuł w dłoniach zwijanie się i szarpanie linek i wydawał z siebie ostre chłopięce okrzyki, a latawiec, który mu Thumbs zmajstrował, wzbijał się wciąż wyżej i wyżej...

— Chwileczkę, *patron* — powiedziała Vida. — Wysłuchaj mnie, proszę. Nie odlatuj samolotem señory.

— Przecież nie odlece, nie bądź głupia. Polatamy tylko z dziesięć minut w koło i to wszystko. Chcę zobaczyć Tiburón z powietrza. Taki widok z lotu ptaka na te wszystkie rafy, płycizny i skały może mi się bardzo przydać — na obiad będę w domu.

— Przez krew męczeńską Señora Jezusa zaklinam cię, nie rób *tego*. *patron* — powiedziała Vida lekko drżąc. — Nie leć z panią. To niebezpieczne.

— Och, na miłość boską, *qué barbaridad!* Cóż za bzdura! — wykrzyknęła Tracey szczerze oburzona. Vida zwróciła się do niej ostro, rozplómięta gniewem.

— *Si, si, si*, to niebezpieczne. Wiem, czuję to w sercu, wiem, stanie mu się krzywda, ty mu zrobisz krzywdę, już go skrzywdziłaś raz i znowu go skrzywdzisz. Jeśli odleci z tobą, nigdy już nie powróci, nigdy, nigdy...

Och, *mi dueño, corazón de mi corazón*, błagam, wysłuchaj mnie! - krzyczała. Glenn nigdy jej takiej nie widział. Rzuciła się na kolana, pochwyciła jego dłoń, całowała ją, przyciskała do piersi, twarzy; szeptała, łkała, zaklinała, błagając Glenna i przyzywając wszystkich świętych. Był to szalony, dziki wybuch. Któż by zgadł, że ta spokojna, cicha, oddana dziewczyna kryje w sobie tak gwałtowne burze. Glenn sprawia! wrażenie zaskoczonego. Miał zakłopotaną minę, choć starał się przybrać wyraz rozbawienia. Podniósł i trzymał drżącą dziewczynę w ramionach.

Wyglądała przy nim jak dziecko.

— No, no, po co to wszystko? Nic bądź niemądra, mój ty

głuptasku, moja małpeczko, moja maleńka *jeficita*. Czy nie wstyd ci robić z siebie takie widowisko? — mruzczał. Odchylił jej głowę do tyłu, żeby popatrzeć jej w twarz zbolaną i zalaną łzami. Nigdy nie widział, jak płacze, nie podejrzewał nawet, że umie.

Tracey przyglądała się im obojgu ze sztucznym uśmiechem.

— Oddałabym dziesięć lat swego życia, żeby być taką małą i bezradną. To ma nieodparty urok, prawda? Prawda, Glenn? Słuchaj, Thumbs, chyba się teraz jednak napiję — powiedziała.

Vida odwróciła się na pięcie i ruszyła ku niej z zaciśniętymi pięściami, „Masz ci los — pomyślał Thumbs — obawiam się, że będziemy mieli teraz kurzą walkę. Plucie, gryzienie, latające pióra, podrapane policzki, włosy wyrywane z korzeniami”. Ale gdy Tracey wstała powoli, niemal że leniwie, Vida zatrzymała się dwa kroki od niej.

— Ty... Ja cię znam — powiedziała zduszonym głosem. — Jeżeli on pojedzie z tobą, nigdy go już nie zobaczę. Ty go zabijesz... tak, tak, ona cię zabije, *quero*, tak jak zabiła tamtego... swojego męża...

— Jak dobrze mnie zna ta twoja przyjaciółka — powiedziała Tracey, wciąż uśmiechając się. — *Salud!* — rzekła spokojnie, ale palce jej tak drżały, że słychać było leciutkie stukotanie jej zębów o szklanę.

Glenn obrócił Vidę za ramiona, już nie udawał, że go to bawi.

— Dosyć tego — rzekł z chłodną wściekłością. — Przepraszasz panią i przestaniesz gadać, słyszysz? *Calíate, mujer*, zamknij się, bo...

Vida głęboko zaczerpnęła tchu, dłonie miała wciąż zaciśnięte w pięści jak w skurczu lub transie, starając się opanować.

— Przepraszam, na chwilę zapomniałam, że señora jest

naszym gościem — powiedziała wreszcie z najdoskonalszą grzecznością.  
— Darujcie mi, że was opuszczę — i wyszła.

— Przepraszam cię, Tracey — rzekł Glenn. — Podobno w każdym Indianinie jest kropla czarnej krwi, i kiedy trafi do serca lub oka, wówczas on nie wie, co robi lub mówi. Zapomnij o tym, dobrze?

Ależ oczywiście. To nie ma znaczenia.

— Pójdę teraz załatwić sprawę paliwa — rzekł Glenn pragnąc jak najprędzej wyjść, a może zaniepokojony o Vidę.

— Doskonale. Będę musiała pokazać twoim ludziom, jak to się robi - powiedziała Tracey uprzejmie. Wzięła Glenna pod ramię i poszli.

Był to wielki dzień w życiu Manuela Jasé Siwerio Maria Pereza. Zawiózł kilka beczulek z benzyną do miejsca, gdzie podskakiwał na wodzie maleńki jednopłatowiec, i z pomocą swego syna, Pcdrito, zabrał się do zawilej czynności tankowania. Czynił to na oczach większej części ludności Tiburon, jako że eskortował go od brzegu nieprawdopodobny konwój wszystkich balii, łodzi żłobionych w drzewie i *pattga*, jakie tylko były, którą to flotę powiększyli jeszcze rybacy powracający z połowu.

Nic więc dziwnego, że promieniał blaskiem poczucia własnej ważności, skoro wymieniał biegle uwagi, dowcipy i kwieciste komplementy z tą zdumiewającą *gringa*, która sama latała swoją maszyną. Pełzał po całym hydropla-nie, wpychał siwą głowę w każdy jego zakamarek, badał każdą śrubę i nakrętkę. Podniósł się gromki okrzyk, gdy oznajmił ostatecznie, że maszyna jest gotowa, by wzlecieć w powietrze. Rozległ się śmiech i wrzaski, kiedy Glenn skacząc z końca mola na pływak samolotu wpadł jedną nogą do wody i Tracey musiała mu podać rękę, by zdołał wdrapać się do kabiny. On też się śmiał, pomachał ręką i zawołał:

— *Hasta luegouecito*, wróć za pół godziny! — i ruszyli pasem kotłującej się, syczącej, spienionej się wody.

Thumbs śledził jeszcze przez minutę samolot w powietrzu,

a potem ruszył na poszukiwanie Vidy. Niedługo po tym, jak wypadła z ich domu, widział, że szła serpentyną ścieżki do kościółka na szczyt góry i stała tam niby mały czarny punkcik, póki czerwony ptak nie skrył się w masywie białych chmur za Punta Negro. Nim Thumbs doszedł do Piedras Blancas, kredowo białych głazów na górze, Vida już była w kościele i pozostała tam, modląc się do swoich świętych i wysłuchując rad *padrecito*, póki nie rozległ się dźwięk sygnaturki, przypominający uderzenia w pustą blaszankę po oleju.

W Meksyku sygnaturka oddziela nieodmiennie popołudniowe życzenia *Buenas tardes* od wieczornych *Buenas noches*. Na ten dźwięk osiołki same puszczają się kłusa z pastwisk do domów i nad każdą chatą czy domkiem w Meksyku podnosi się jak wonna mgiełka dym z palenisk, na których zaczyna się warzyć wieczorny posiłek. Jest to spokojna i przyjemna pora. Ale ten wieczór w Tiburón nie był ani spokojny, ani miły.

Zaczęło się od trzasków na podwórzu, w chwili gdy Thumbs zmywał z siebie dzienny pot i troski pod prysznicem zaimprovizowanym z konewki plus lina i bloczek. Najpierw pomyślał, że to strzały karabinowe, i wstrzymał oddech, ale odetchnął z ulgą, ujrawszy rakiety wyskakujące z sykiem w bladawe niebo wieczoru i opadające w dół zielonymi i czerwonymi parabolami. Ognie sztuczne! - powiedział do siebie. — Ciekawym, z jakiej to okazji? Miejmy nadzieję, że z przyczyny odwlekającego się powrotu Glenna.

Było to jednak preludium fiesty na cześć zaręczyn Vidy z Manuelem. Weszli w chwilę później przez frontowe drzwi *casa grande*, bardzo dostojni i formalni, by powiadomić señora *ingeniero*, że Vida powzięła decyzję poślubienia swego wiernego wielbiciela, i zaprosili Thumbsa, by wziął udział w skromnej uczcie, którą wydaje dla nich *cooperativa*. Vida była wciąż jeszcze w swoim czarnym stroju, a Manuel, gładki i przylizany, w niewygodnym sztywnym miejskim

ubrani i straszliwie ciasnych butach z wąskimi szpicami.

Wszystko to odbyło się bardzo formalnie i grzecznie i nie napomknięto ani słowem o nieobecności *patron*. „Proszę, jacy są ci nasi kochani *paisanos*, nasi przyjaciele i *compañeros* — myślał Thumbs z goryczą. — Bawmy się, a *patron* niech piekło pochłonie! Kogo obchodzi, co się z nim stało!” Sam Thumbs był zmartwiony, choć nic chciał się martwić. „Nic bądź głupi — mówił sobie — jak zaczniesz się martwić o Glenna, to będziesz miał wieczne zmartwienia. Albo o Tracey, skoro o tym mowa. Oni zapewne bawią się dzisiaj wieczorem dziesięć razy lepiej niż ta tu szczęśliwa para”.

Spojrzał na nich i zastanowił się. „Tak, Manuel szaleje ze szczęścia albo jest mimo wczesnej pory trochę pijany na swój bardzo indiański, godny i uroczysty sposób. Jeżeli Vida nie jest szczęśliwa, to w każdym razie nie okazuje tego. Nie zostało ani śladu przedobiedniej furii, niepokoju, zazdrości i rozpacz na na jej twarzy. Może jest tylko trochę mniej surowa, a bardziej ożywiona niż zwykle. Chyba tylko ma w sobie więcej życia, ostrzejszy ton radości, niż okazywała wobec Glenna” — myślał Thumbs. Śmiała się, tańczyła, odpowiadała na zuchwałe żarty jeszcze zuchwalszymi, górowała wśród rosnącej wesołości; stała się niemal tą samą dziewczyną, jaką była w „La Conchita”. Cisnęła kapelusz i rękawiczki, wpięła kwiaty we włosy, miała troszeczkę rózu na białych policzkach i ekstrakt wanilii za uszami i na pulsującej szyi.

Było dużo muzyki — orkiestra złożona z trzech *mariachis*, trzy stare fonografy i dwa radioodbiorniki, a wszystko grało jednocześnie. Były pochodnie i świece, i ogniska, piekło się mięso, indyki, kurczęta i prosiaki, które jeszcze parę godzin temu chodziły po podwórku. Były rakiety i fajerwerki, dzieci i niemowlęta, i niezliczone dobrze wychowane, choć bezpańskie psy, które wytrząsały całe armie głodnych pcheł i czekały cierpliwie na resztki jedzenia. Po niebie płynęła cieniutka

muszelka księżycyca i raz przynajmniej wiatr wiat ku morzu zabierając z sobą woń rekinów.

Były ogromne ilości łagodnego pulque, czystej tcquili i niebezpiecznego mescalu. Byto oczywiście kilka hałaśliwych i otwartych bójek, a co się przy tym działo w krzakach i za murami z niewypalanej cegły...

Trzy razy Thumbs uciekał od zgiełku do domu, żeby posłuchać, czy radio nie doniesie o jakimś nieszczęściu, które mogło się przydarzyć małemu czerwonemu hydroplanowi w drodze z Mazatlan... właśnie, dokąd? Na północ do Ensenada? Na południe do Acapuico? Na księżyc?

Wyzywał siebie samego od tłustych, głupich, starych błaznów. Czuł, że zachowuje się, jak by był ciotką Glenna. Zaczął pić zapamiętałe. Umiał pozostać džentelmenem, kiedy pił, tylko nie bardzo mógł sobie przypomnieć nazajutrz, jak fiesta się skończyła. Pamiętał, że Vida tańczyła w swoim stroju z Tehuantepec jak w „La Conchita” i że Manuel z godziny na godzinę wyglądał bardziej staro, nie dwadzieścia lat starzej od Vidy, ale czterdzieści czy pięćdziesiąt, i że był bardzo pijany, pogrążony w druzgocącej niedoli i głośniejszej łzawej rozpacz głębiego indiańskiego pijaństwa. Zdawało się również Thumbsowi, że przypomina sobie, jak Vida, on i Pedrito nieśli łkającego i czkającego Manuela do domu, jak Vida klęcząc szorowała podłogę w miejscu, gdzie jej narzeczony zwymiotował. „Ale zarówno to myślał Thums — jak i szalony taniec i przytupywanie Vidy w stroju z Tehuantepec, może mi się tylko przyśniło”.

Nazajutrz na podwórku walały się zużyte rakiety, podeptane kwiaty i wszyscy mieli tak monumentalnego kaca, że tego dnia ani jedna łódź nie wypłynęła na połów.

- *Patron* zrobi nam piekło, gdy wróci — rzekł Thumbs do Vidy, kiedy jak zwykle przyniosła mu śniadanie.

- Jeżeli wróci — odparła wzruszając ramionami. — Wybacz, że teraz cię opuszczę. Idę do kościoła...



„Wrócę za pół godziny!” — krzyknął Glenn odlatując czerwonym samolotem Tracey. Ale minęło pięć dni, zanim wrócił, i nie samolotem, tylko piechotą, z miną jak chmura gradowa.

Thumbs patrzył na spoconą, zakurzoną, sponiewieraną postać, która weszła do cukierni ozdobionej różowymi firankami sypialni, gdzie właśnie drzemał. Ze zrozumiałych przyczyn nie sypiał wiele od zniknięcia Glenna.

— Chryste Panie, cóż ci się stało? Skąd przyszedłeś? -zawołał.

- Ze stacji, skąd miałem przyjść? I czy wolno wiedzieć, czemu nie było tam naszej ciężarówki? Liczyłem na nią, mamy dziś czwartek, prawda? Gdzie jest ten towar, który powinien być załadowany dziś na pociąg? Dość, żebym odwrócił się, zaraz zaczyna się coś wyrabiać. Dlaczego mam dyrdać sześć mil piechotą po piachu w starych płóciennych kapciach, żeby dojść do domu? I to we czwartek! W dzień pociągu!

— Przykro mi, szefie, ale rozumiesz, mieliśmy trochę kłopotów.

Ciężarówka nawiiliła, ludzie się trochę zaniedbali w połowach, no i tak jedno z drugim, nie było wicie do załadowania...

*Caramba!* Kto za to odpowiada? Czemu ciężarówka nie naprawiona? Gdzie Manuel? Ja mu pokażę!

— No, więc rozumiesz, w tym właśnie po części bieda. Manuel potłukł się paskudnie, jak ciężarówka się przewróciła i wpadła do rzeki — mieliśmy, wiesz, drobny wypadek w poniedziałek, mogło być dużo gorzej. Żadnych złamań, żadnych wewnętrznych wylewów, obyło się lekkim wstrząsem. A bańki straciliśmy, oczywiście — czy może nie zwróciłeś uwagi na to paskudztwo na drodze, tam gdzie się rozwaliły i wychlapały cały ładunek wątroby.

— Przed mostem? Gdzie cuchnie jak zaraza, a dno parowu aż czarne od myszolowów? Myślałem, że znalazły

zdechłego kojota, a tu proszę! Dokarmiamy sobie *urubu* wątrową rekinów wartości kilkuset pesos! Ładne mi powitanie! — krzyczał.

Thumbs poczuł, że czas odpłacić mu pięknym za nadobne, i krzyczał z kolei na niego:

— Dobrze sobie! A czegoś się spodziewał? Łuków tryumfalnych?

Wyjeżdża sobie prawie na tydzień, bez pożegnania, i ani mu w głowie przesłać jakąś kartkę, telegram czy coś, żeby dać znak, że jeszcze żyje!

Ale ciebie nic nie nauczy, jesteś jak zawsze nieodpowiedzialny.

Pamiętasz, jak chciałeś jechać na gapę do Nowej Zelandii? Nie miałeś jeszcze dziesięciu lat. Twoja matka omal nie oszalała, nim cię znaleziono.

A tobie chciało się zobaczyć prawdziwych ludożerców. Trzy dni minęły, nim cię znaleziono na dnie starej „Tasmanii”. I kto dostał za to w tyłek?

Któż by, jeśli nie ja — Robert S. Thumborn. Zawsze tak jest. Ty się

bawisz, a ja za to obrywam. Czasem naprawdę zaczynam się zastanawiać, po co mi te kłopoty. Powitanie, patrzcie go! Gdzieś, do cholery, się

pałętał, kiedy ja ze skóry wyłaziłem, żeby się wszystko nie rozleciało, i nadstawiałem za ciebie grzbietu?

Glenn rzucił z nóg brudne, zaszargane płótniaki i przypatrywał się pilnie wielkim pęcherzom na lewej stopie.

— Jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, to ona mnie porwała — rzekł nasepiony. — I to nie pierwszy raz, jak sobie przypominasz.

— Pewnie się dobrze bawiłeś — powiedział Thumbs, aby zyskać na czasie, nim będzie musiał wyznać Glennowi, jak wszyscy się spili, po

czym mieli takiego kaca, że Manuel wjechał ciężarówką na barierkę drewnianego mostku. Nie mówiąc już o zamiarach małżeńskich Vidy. A

poza tym Glennowi też dobrze zrobi, jeśli puści parę, wygada się, pozbędzie złego humoru.

— Bawiłem się? Możesz mi wierzyć, Thumbs. Nie życzę takiej zabawy największemu wrogowi!

— Czemu? Czyżbyś się nabawił choroby powietrznej?

— Och, nic sil się na dowcipy. Z początku bardzo mi się podobał ten lot wzdłuż brzegu. Tracey powiedziała, że musi na chwilę zatrzymać się po coś tam w Manzanillo, zanim odstawi mnie do Triburon. Ale droga do Manzanillo trwała dłużej, niż sądziłem; posprzeczaaliśmy się trochę i kazałem jej natychmiast zawrócić i odwieźć mnie z powrotem. Odparła „Tak jest, kapitanie”, ale tyją znasz, jak się jej sprzeciwić, robi się z niej istny diabeł. Przechyliła samolot na skrzydło, zawróciła, zrobiła parę pętli i nagle stwierdziłem, że lecimy ponad oceanem na południowy zachód, pod nami chmury i nigdzie nie widać lądu. Wściekłem się tak, że gdybym miał spadochron, wyskoczyłbym do oceanu.

— No i co potem?

— Potem otoczyła nas mgła, widoczność zero. Nadeszła noc, lecieliśmy na ślepo i przez pewien czas wyglądało na to, że znów będą o nas pisali w gazetach. Wyobrażasz sobie: „Królowa nafty i notoryczny awanturnik zginęli na Pacyfiku. Szczątki ich samolotu znaleziono na powierzchni wody nie opodal Salina Cruz”—coś w tym rodzaju. Ale co jak co, pilot z niej piekielnie dobry i w końcu wodowaliśmy koło Isla Roqueta z prawic wyczerpanym już paliwem. Nic było to przewidziane wodowanie i minęło sporo czasu, nim straż przybrzeżna nas wyłowiła. Acapulco nie jest miejscowością, gdzie ludzie liczą, że dziesięć minut po północy może spaść z nieba czerwony hydroplan. Żyjemy jednak, a to coś znaczy. Mam nadzieję, że ktoś kiedyś ukreći Tracey głowę za podobny kawał.

— Ale to była frajda — rzekł Thumbs, znał bowiem swego przyjaciela.

— Może i tak. Przez kilka godzin to rzeczywiście była ogromna frajda. Zmiana. Odpoczynek od wątroby rekinów i tego całego gnojowiska. Przypomniało mi, jakeśmy ugrzęźli na Bahamach.

— Przypuszczam, że taki właśnie musiał być jej cel; przypomnieć ci.

— Gratuluję ci bystrości, Thumbs.

— W każdym razie to była frajda, więc czego się ciskasz?

— Po pierwsze nie lubię, jak ktoś wyprawia ze mną, co mu się podoba. Nie taka to fraszka wrócić z Acapulco. Żadnego statku. Żadna kolej tam nie dochodzi, a droga jest tylko do Taxco. Musiałem lecieć do Guadalajara i łapać stamtąd pociąg. A najgorsze, że musiałem pożyczyć pieniądze na drogę od Tracey. Nie miałem nawet szczoteczki do zębów przy sobie.

Rozśmieszyło to Thumbsa.

— I po co to wszystko? - spytał. — Nie byłoby prościej, gdyby odwiozła cię z powrotem?

Tak ci się wydaje. Kiedyśmy się rozstawali, nie byłem w nastroju prosić ją o łaskę, a ona nie była w nastroju mi ją wyświadczyć.

- Sądzę, że zrobiłaby, co byś zaprzagnął, gdybyś odpowiednio poprosił.

— Właśnie. Doszło między nami do okropnej sceny i ruszyłem w drogę jak najszybciej.

— Co się stało? A może nie chcesz mi mówić?

— Nie, opowiem ci ze szczegółami, to może mi ulży. Kisiłem to w sobie przez całą drogę z Acapulco. Thumbs, słyszałeś jej bajdurzenie o tych nieszczęsnych bezdomnych ludziach, dla których chce działać. Żebyś ich zobaczył! Thumbs, nie masz pojęcia, co to za zbieranina bezużytecznych, pozbawionych kręgosłupa zjaw. Gdy przyjechaliśmy, jeszcze siedzieli w barze, w jednym z tych licznych ogromnych barów i na pewno najciemniejszym. Niektórzy grali w pokera w kącie, inni zachowywali się w sposób, jakiego żadna szanująca kobieta nie mogłaby tolerować w swoim salonie, jeszcze inni byli zalani w pestkę. Wszyscy byli pijani,

ale oni są tacy, że nie pokazują nic po sobie, aż do chwili, kiedy nagle walą się pod stół.

Thumbs zachichotał. Gwałtowny monolog Glenna nabierał rozpędu.

— Nie wiem, jak to wyrazić, oni przyprawiali mnie o dreszcze. Jak by ta cała kongregacja musiała z uderzeniem pierwszej po północy powrócić na cmentarz. Mieli tytuły długie na metr, szmaragdy uratowane z kataklizmu i tak ich było czuć rozkładem... Thumbs, wolę już co dzień wachać uczciwy zaduch wątroby rekinów. Pewnie odwykłem w ciągu ostatnich lat od kawiarnianego towarzystwa. Podnieśli wielki harmider, że Tracey przyszła tak późno. Zrobiło mi się słabo, gdy zobaczyłem, jak łatwo zgrała się z tym tłumem, jak pozwalała się obcałowywać, poklepywać i prawdopodobnie naciągać. Cóż za zbieranina! Gangsterzy z Mexico City, karciarze, kilku bogatych amerykańskich próżniaków i trochę tych utytułowanych, kosmopolitycznych żigolaków, których zawsze można znaleźć po różnych uzdrowiskach —uderzyło mnie ich podobieństwo do tego biedaka Lahszi, nieboszczyka księcia Barany. Nie rozumiem, jak ona ich może znosić!

— Może to jest jakaś forma pokuty - Thumbs odważył się powiedzieć. Nagle przypominały mu się ślady okrucieństwa na ciele Tracey, jej strach przed mężem i cieniutkie smużki rdzawobrazowej krwi, które były wszystkim, co z niego zostało...

— A za cóż miałyby pokutować? Sądzę, że to raczej ona ciężko zapłaciła i spotkała się z krzywdzącym potraktowaniem za to, że była niewinnym świadkiem potwornego wypadku. A także — dodał Glenn ledwo słyszalnie — i ja.

— To jest twoja wersja, Glenn. Ale... — zaczął Thumbs, lecz zaraz urwał ujrzawszy wyraz twarzy swego przyjaciela. Twarz ta pobladła pod warstwą kurzu i potu, nawet oczy w niej straciły wszelką barwę. Thumbs musiał włożyć sporo

wysiłku, żeby się od nich nie odwrócić, i dwaj mężczyźni stali tak patrząc na siebie przez jedną z tych milczących sekund, które zdają się trwać wiecznie.

— Gadaj - odezwał się wreszcie Glenn mów. Powiedziałeś: ale... Ale, co? Thumbs, na miłość boską, myślisz, że popełniłem krzywoprzysięstwo?

— Nie wiem, co myśleć. Nic byłbyś pierwszym mężczyzną, który złożył fałszywą przysięgę, aby ocalić kobietę, za którą szaleje. Ja bym cię za to nie potępił... prawdopodobnie zrobiłbym dla Traccy to samo. Tyś za nią szalał na „Arundelu” Nadal szalejesz, jeżeli chcesz naprawdę wiedzieć, co myślę.

— Ale, Thumbs... znasz mnie od urodzenia, jak mogłeś... Słuchaj, byłem kapitanem na „Arundelu”... Jak możesz przypuszczać, że wpisałbym coś niezgodnego z prawdą do dziennika okrętowego? Czy mam ci przysiąc, że to, co wpisałem i co zeznałem w sądzie, jest najświętszą prawdą? Postąpił krok w kierunku Thumbsa, który instynktownie zrobił unik.

„Boże ratuj -- myślał — on chce mnie znokautować”. Lecz Glenn chwycił go go tylko za ramiona i potrząsnął. Było to bolesne, ale przyjacielskie tarmoszenie. W podobny sposób tarmosił Thumbsa w ich dzieciennych walkach, obaj to sobie w tej samej chwili przypomnieli. Barwa z powrotem napłynęła do oczu Glenna, gdy mówił:

— Wierzysz mi, Thumbs, bałwanie, czy mam ci dać słowo honoru, że Traccy jest niewinna? Mogła narobić wiele szkód w swoim życiu, ale męża nie zabiła. Ona chciała go ratować.

- Dobra, dobra, nie musisz mi tumać obojczyka. Wierzę ci. I to naprawdę zdejmuję mi ciężar z serca. Ale... - rzekł Thumbs usiłując się dostosować do nowego stanu rzeczy, a było to jak szybka zmiana na scenie, kiedy człowiek musi odgadnąć, co przedstawiają nowe dekoracje ale jeżeli Traccy jest czysta jak śnieg, niewinna, skrzywdzona i sponiewierana, to nie rozumiem, czemu od niej uciekasz. Ślepy by zobaczył, że ona cię kocha.

— Może i ja bym widziai, gdybym był ślepy. Póki mam jednak wszystkie zmysły, nie łubie, jak się obchodzą ze mną niby z paczką, którą się wozi, gdzie się chce. Nic mogę znieść, jak mną kierują, i nic dam się Tracey zjeść żywcem... ani innej babie. Słuchaj, Thumbs, życia się nie da wytłumaczyć logicznym myśleniem, ty stara niedojdo... bo czy inaczej wytrwałbyś przy mnie we wszystkich moich bojach, wierząc zarazem, że jestem kłamcą, oszustem, krzywoprzysięcą?

— No, bo zależy, co kto lubi — rzekł Thumbs myśląc jednocześnie: „Tak, właśnie, dlaczego? Bo cię lubię, ty wariacie, mimo wszystkich twoich błędów, albo właśnie dzięki nim, albo dlatego, że jestem ci potrzebny. Być komuś potrzebnym to niemała rzecz, wcale niemała rzecz.” Ale podobnych tematów nie porusza się wśród mężczyzn, więc tylko mruknął o zamiłowaniu do stawiania latryn i ładowania wątroby rekinów do puszek. I żeby Glenn opowiedział coś więcej z pobytu w Acapulco.

— Jak ci opowiem, zaraz zrozumiesz, czemu dałem nogę. Więc zabawa się skończyła i kiedy wyszliśmy z ciemnego baru, przeżyłem lekki wstrząs. Oni tam teraz w Acapulco przepadają za szkłem i jarzeniowym oświetleniem, piekielnie są nowocześni, i właśnie takie ostre, twarde światło było przy drzwiach, a pewnie pamiętasz, jak wyglądają w nim późną nocą kobiety w średnim wieku przesadnie ubrane i umalowane i ze śladami wypitego alkoholu na twarzy. Byli w tym towarzystwie starsi panowie z brzuskami, cienkimi ustami groszorbów i sztucznymi zębami. Domyślam się, że to wpływowi ludzie Tracey. Były młode lafiryndy, których nie zauważyłem przedtem, bo zachowywały się lepiej i ciszej niż damy z towarzystwa. I była garstka wylizanych młodych ludzi — znasz ten typ, pięknie, żigolaki i przewodnicy turystów, którzy dostarczają romantyzmu obiecanego w prospektach turystycznych, i atletycznie zbudowani chłopcy z plaż, co sprzedają swoją męskość temu, kto więcej zapłaci.

Staliśmy więc w tym jaskrawym świetle, mówili sobie dobranoc i odchodzili parami niby zwierzęta z Arki Noego. Starsi panowie z młodymi dziewczętami uczepionymi ich ramion i podstarzałe jędze porywające swych młodych kochanków. Myślę, że tylko my z Tracey byliśmy w zbliżonym wieku. Ale czułem na sobie ich spojrzenia pełzające po mnie jak śliskie ślimaki: „Spójrz na tego nowego chłopaka, którego Tracey poderwała na jakiejś promenadzie”. Zastanawiali się, ile mi płaciła za jedną noc i czy na to zasługuję. Tak mnie to zmroziło, jak by mnie oblali kubłem lodowatej wody.

Thumbs uśmiechnął się ze zrozumieniem, a Glenn podszedł do drzwi kuchni.

— Vida! — zawołał. — Gdzie jest Vida'?

— Nie wiem — zełgał spiesznie Thumbs. — Niedługo się pokaże.

Ale Glenn zaczął się niepokoić. Otworzył drzwi od kuchni i znów zawołał: — Vida! — przeszedł przez altanę oddzielającą jej chatkę od *casa grande* i nie uzyskawszy odpowiedzi na swe wołania i pukania, wrócił z powrotem.

Potrzebna mi jest Vida — rzekł. — Czemu jej nic ma?

— Zapomnij o Vidzie. Co ci tak pilno?

— Jestem brudny, potrzebuję kotła gorącej wody. Chcę się wykapać. I potrzebna mi jest Vida.

— Dobra, dobra, nie możesz nas tak zostawić w świetle jarzeniówki z kubłem lodowatej wody wylanej na ciebie — rzekł Thumbs, żeby go odciągnąć od myśli o Vidzie. Glenn skręcał sobie papierosa, patrząc przez okno na podwórze.

— Znowu pokłóciliśmy się, bo Tracey zapytała mnie, czego wypatruję. A ja naprawdę szukałem sposobu ucieczki. Czułem się splugawiony, zamknięty w pułapce i tak zbrzydony, że odpowiedziałem: „Nie widzę nigdzie furgonów po twoich przyjaciół”. To ją bardzo rozgniewało i palnęła mi długą mowę o tym, co niektórzy z nich przeszli, o torturach,



obozach koncentracyjnych, gwałtach i Bóg wie o czym jeszcze, i jak dzielnie zachowują się straciwszy wszystko, co w życiu posiadali, a w końcu, czy wiadome mi jest znaczenie przestarzałego słowa galanteria. To mnie też rozzłościło, więc powiedziałem: „Jak oni są tacy dzielni i szarmancy, to czemu nie wstąpili do Wolnych Francuzów, czemu nic nie robią, nie pracują dla swego rządu emigracyjnego albo nie są w podziemiu, zamiast próżniaczyć się w Acapulco i pasożytować na tobie?” A wiesz, co mi na to odpowiedziała? Czemu ja, porucznik Glenn Hammers, nie jestem w marynarce, gdzie powinienem być, zamiast tkwić uczipiony Meksyku jak ślimak dna okrętu? Thumbs, to mnie ukłuło do żywego.

- Tak, Traccy umie zajechać sztylecikiem. Nigdy nie chybia.

- Gdzież, u licha, jest Vida? — spytał Glenn z wyrazem roztargnienia. — Gdzie ta dziewczyna ugrzęzła?

Od chwili gdy wyciągnięto Manuela spod przewróconej ciężarówki, Vida przeniosła się prawie do niego i pielęgnowała go w chorobie. Lecz Thumbs osądził, że Glenn nie jest w odpowiednim nastroju, aby móc się pogodzić z tą zmianą sytuacji.

-- Zapomnij teraz o Vidzie, mówisz o Traccy - rzekł szybko. — Mam nadzieję, że powiedziałaś jej do słuchu.

- Powiedziałem jej, że właśnie ona wie najlepiej, czemu przeciąłem wszystkie więzy z krajem. I zaraz połapałem się, że uprzejmiej byłoby ją spoliczkować. Aż się przestraszyłem, tak zmieniła się na twarzy. Zupełnie jak bym ją sprął, zgnębił, upokorzył. Potrafisz sobie, bracie wyobrazić Tracey wyzbytą wszelkiej sztywności? Łagodną, wzruszającą, nieszczęśliwą, oklapłą? Okropnie zrobiło mi się jej żal. Nie mogłem jej zostawić w takim stanie. Zaprowadziłem ją do bungalowu, chociaż daleki byłem od chęci do amorów. Litość, jak zapewne wiesz, jest najniezawodniejszą odtrutką na wszystkie pożądania. A litowanie się nad taką dziewczyną, jak

Tracey, byłoby obrażą. Ale najgorsze miało dopiero nastąpić, Thumbs, ona mi się oświadczyła. Zrobiła okropną scenę. Rozklejona, rozmazana, sentymentalna, wcale niepodobna do Tracey, którą znamy. Nie ta osmagana wiatrem, silna dziewczyna z nierdzewnej stali, która ci staje przed oczyma, gdy o niej myślisz. Nie dziewczyna-burza, a mżawka. W końcu się rozpląkała. Boże, i to jak! Czy przyszło ci do głowy, że ona umie płakać? Prawdziwymi łzami z właściwymi proporcjami soli i udreki? A ja mogłem się zdobyć tylko na jedną myśl: „Chcę Vidy. Chcę Vidy. Nie chcę ciebie. Chcę Vidy”..

— Zostaw Vidę w spokoju! — wrzasnął Thumbs. — Co ty sobie myślisz? Nie wzięłaś jej sobie, kiedy ją mogłeś mieć, więc czego raptem ni stąd, ni zowąd od niej chcesz?

- Nie wrzeszcz na mnie! Co tak wytrzeszczasz oczy! Czy to dla ciebie nowość, że kocham Vidę? Walczyłem z tym uczuciem, bo nie chciałem się wiązać, ale z tej walki nic nie wyszło. Potrzebuję jej, sam nie wiedziałem, jak bardzo mi jest potrzebna, być może, winienem wdzięczność Tracey, że mnie porwała, bo inaczej może dowiedziałbym się o tym za późno!

„*O dulce sangre de Cristo* — myślał Thumbs - tym razem wpadliśmy w prawdziwe tarapaty!”

— Uspokój się, uspokój się, Glenn — powiedział. — Siądź i posłuchaj. Przykro mi, że to dla ciebie będzie wstrząs, ale nie ma sensu owijać w bawełnę. Już za późno. Od tej niedzieli za tydzień Vida wychodzi za mąż za Manuela.

Thumbs widział, jak mięśnie na karku Glenna tężeją, gdy opowiadał, co zaszło pod jego nieobecność. Stał jednak chwilę obrócony tyłem i nie mówił ani słowa.

— A więc tak — wyrzekł wreszcie.

— Uspokój się. Nie zapominaj, że to ty odszedłeś... Z Tracey. Vida dopiero ustąpiła, gdy doszła do przekonania, że już nie wrócisz...

Jak mogła?

Zna cię i twoje nagłe ucieczki. Ostatecznie nie pierwszy raz od niej uciekłeś.

— Czyż nie wie, że się zmieniłem? Siedzę tu twardo już od lat, a nie zawsze mi było łatwo wytrzymać. Nie dałbym rady zrobić tego bez Vidy. Nie wiem, jak teraz sobie bez niej poradzę.

- Co znaczy, bez niej? Vida na pewno będzie nadal dla ciebie pracowała. Nie zmieni się tak wiele.

Tylko że będzie żoną kogoś innego. Niewielka zmiana, prawda? To nie do zniesienia: Vida żoną señora Manuela Pereza! Będzie harowała dla niego, spadnie do jego poziomu, bez przerwy w odmiennym stanie, a on będzie ją prał co sobotę, ilekroć się upije... Thumbs, czy to naprawdę jest życie, jakiego ona pragnie? Na jakie zasługuje?

— Nie pytaj mnie... zapytaj Vidę — rzekł Thumbs. Właśnie zobaczył, jak z domu Manuela po drugiej stronie podwórza wychodzi Vida. Niosła na głowie kosz z brudną bielizną i jak zwykle Chiquitín trzymał się spódnicy. Uśmiechnęła się do chłopca i powiedziała jakiś żart do grupki śmiejących się kobiet wokół starego kamiennego koryta. — I pamiętaj, Glenn, jeżeli będzie wołała męża i dzieci od nadskakowania tobie, musisz to przyjąć jak... jak...

— Tak. babciu. Jak džentelmen - rzekł Glenn. — To trochę przestarzałe słowo, ale dobra jest. Sądzę, że najwłaściwiej teraz będzie pogratulować szczęśliwemu wybrańcowi i życzyć szczęścia zapłonionej narzeczonej.

— Wyprostował się, założył ręce do tyłu, pchnął drzwi bosą nogą i wyszedł.

Thumbs obserwował przez okno, co stanie się dalej. Glenn zrobił parę kroków w stronę Vidy i zatrzymał się. Ona strzegła go dopiero, gdy ucichły rozmowy kobiet przy *pila* i zapanowała cisza napięta jak lina — lina ratunkowa rozciągnięta na długość całego podwórza od Glenna do Vidy. Była to owa dziwna cisza, w której się słyszy drobne, błahe

dźwięki, zwykle zatopione w nieustającym potoku codziennych hałasów. Cieniutki płacz dziecka, histeryczne gulgotanie indyków, skomlenie trafionego kamieniem szczenięcia. Vida długą chwilę stała jak zamarła. Niewątpliwie przygotowała się starannie na ten moment pierwszego spotkania, gdyby Glenn powrócił. Z pewnością zamierzała być uosobieniem godności, dumy i mrożącej indiańskiej grzeczności. Ale stało się coś całkiem innego, a było tak żywiołowe i nie do odparcia, jak fala przyływu rozwalająca wszystkie sztuczne tamy. Vida stała jak przygwożdżona do miejsca. Jej prawa ręka, którą podtrzymywała kosz z bielizną, opadła na dół. Kosz zachował jeszcze parę sekund chwiejną równowagę na jej głowie, a polem poleciał na ziemię. Ruszyła pędem do Glenna z rozwartymi ramionami i nieartykułowanym ptasim piskiem, a bielizna rozsypała się dokoła niej, biała, różowa, niebieska; śmieszny to był widok, jak by poruszenie stada niebieskich, różowych i białych mew. W środku podwórza spotkali się i padli sobie w objęcia, jak by poza nimi nie istniało nic na świecie — i pewnie tak się właśnie czuli — i niech лихо porwie wszelkie formy, dumę, godność i przyjęty sposób zachowania! Całowali się, tulili, kołysali w ramionach, objęci, jak by już nigdy nie mieli się rozłączyć. A wszystko to działo się na oczach całego podwórka, na środku hacjendy, publicznym centrum całej społeczności. Można się było spodziewać, że te gadatliwe sroki wokół *pila* zareagują na to widowisko zwykłą wrzawą, okrzykami, śmiechem albo kpinami, wymyślaniami lub przywoływaniem wszystkich świętych. Ale nic takiego nie zaszło. Te kobiety wycofały się spokojnie, jak robaki, które wkręcają się głębiej w ziemię, gdy ją poruszyć łopata. Jedne miały wyraz zatroskania w twarzy, inne, jak by doznały cudownej wizji albo zażyły środek znieczulający. Thumbs nie wątpił jednak, że w ciągu dziesięciu minut przyjdą na pewno do siebie i wieść

rozejdzie się w mig po całej miejscowości aż do przystani, a nawet do rybaków na morzu.

Na ogromnym, pustym podwórzu kochankowie nadal stali zatopieni w transie, łącząc swój oddech w niemym miłosnym duecie, w gorączkowo szeptanej obietnicy, że Glenn nigdy, przenigdy nie odda jej nikomu i że Vida jest na zawsze i po wieki wieków umiłowanym sercem jego serca... „*Mama mia*, to ci dopiero bigos!” — myślał Thumbs, który przeszedł niezauważony obok nich do domu Manuela.

Miał rewolwer w kieszeni, a niósł też butelkę najlepszej tequili dla celów obronnych. A nuż da się jeszcze uniknąć śmierci i morderstwa, jeśli on pierwszy zanieśie i w odpowiedni sposób przedstawi Manuelowi tę złą wieść...

Można całe życie przeżyć wśród Indian meksykańskich, a jeszcze nie rozumieć ich serc, dusz, umysłów czy czego tam innego, co kieruje ich działaniem.

Gdy Vida ostatecznie nie została żoną Manuela, a całkiem otwarcie i ochoczo wyjawiała swe uczucia dla Glenna, Thumbs, jak zresztą i całe Tiburon, oczekiwał krwawej zemsty. A co najbardziej go niepokoiło i kazało bystro czuwać nad dwojgiem rozmarzonych kochanków to niezmiennione zachowanie Manuela. Thumbs nosił rewolwer w kieszeni na wszelki wypadek, nasłuchiwał nocą odgłosu bosych stóp stąpających ukradkiem, stłumionych krzyków, wyczekiwał błysku noża Manuela i zaczął sypiać tak lekko i mało, jak jeszcze nigdy od czasów służby w marynarce. Podczas gdy Glenn był niezwykle pogodny i szczęśliwy, Thumbs stał się nerwowy i rozstrojony w przewidywaniu wybuchu śmiertelnej zazdrości i zemsty ukrytej pod płasko-nosą, tępą maską Manuela.

Jednakże poza gruntownym, acz nie przekraczającym form przyzwoitości zapijaniem się dobrą tequilą, którą

otrzymał na pocieszenie, Manuel nie robił nic. Jedno, co się zmieniło, to że inni z niebywałym taktem przestali mu dokuczać w związku z Vidą i dzięki temu zmniejszyła się ilość bójek. Wbrew lokalnej tradycji Manuel nie zabił ani Vidy, ani Glenna, i pozostał nadal najlepszym pracownikiem w całej *cooperativa*. Może na swój prymitywny sposób miał zrozumienie i szacunek dla uczuć drugiego człowieka. A może była to po prostu stara dobra meksykańska opieszałość plus wyrachowanie, że winien jest kooperatywie spore pieniądze za silnik przyczepny i lepiej będzie, jeśli zachowa się spokojnie. Możliwe nawet, że nie chciał zerwać stosunków z ciężarówką, nowym samochodem, kutrem, generatorem oraz innymi urządzeniami, które się stały największą miłością jego życia.

Tymczasem nadszedł znów okres *chubasco* z letnimi burzami i łodzie rybackie musiały trzymać się blisko brzegu. Niemcy bombardowali Londyn i Glenn powoli zaczynał ich nienawidzić. Słuchając radia nieraz pomrukiwał, że już czas, by coś zrobiono z tą wojną i, niech to diabli, gdyby nie był za stary do brytyjskiego RAF-u, pojechałby do Kanady i postarał się zaciągnąć do lotnictwa. Szczęście z Vidą nic uchroniło go od nawrotu dawnych ciągót i dosyć często wypływał „Blimpem” nie zważając na *chubasco*. Połowy właśnie wtedy były dobre i woda aż gęsta od rekinów, tych wielkich, białych ludojadów, które, jak powiadają, są równie niebezpieczne dla ludzi i dla ryb.

Phi, rekiny — mówił Glenn — boją się, śmierdziele jedne. Naprawdę są tchórzliwe. Można je odstraszyć krzykiem, a dać takiemu wiosłem po nosie, zaraz zjeżdża przerażony.

Tak, ale to draństwo jest ciekawsze od mojej ciotki, starej panny — rzekł Thumbs — i mają laką szaloną przemianę materii, że są najżarłoczniejszymi stworzeniami świata. Kiedy rekin goni za jakimś kawałkiem pożywienia,

można go kłuć, przebić harpunem, a on nie zwróci na to nawet uwagi.

— Ale na pewno nic są niebezpieczne, wcale nie przypominają tych strasznych ludojadów, jakie z nich robią w pismach — powiedział Glenn.

— Myślę, że jak rekin zjada człowieka, to robi to przez pomyłkę, nie, że specjalnie lubi jeść ludzi. Tak jak jedząc wiśnie, połyka się niechcący pestkę.

— No, no. Ale są nieobliczalne. Bo przecież nie można wpłynąć do żadnego portu na Pacyfiku, żeby nie spotkać jakiegoś nieszczęśnika, który w zetknięciu z nimi stracił kawałek kończyny. Rekiny są nieobliczalne rzekł Thumbs.

— Nigdy w życiu nie widziałem, żeby rekin uśmiercił człowieka -- zaczął Glenn, lecz Vida spojrzała nań jakoś dziwnie i powiedziała spokojnie:

— Z wyjątkiem męża tej kobiety, kiedy byłeś *comodoro* na „Arundelu”, nie?

Glenn urwał nagle, jak by chciał cofnąć to, co powiedział, a potem ujął twarz Vidy w obie dłonie i głęboko odetchnawszy, jak poławiacz perłę, który wypłynął na powierzchnię wody dla nabrania tchu, rzekł:

— Dziękuję ci, *chiquita*. Tak, z wyjątkiem księcia, gdy dowodziłem „Arundclem”.

Rozmowa ta miała miejsce kilka miesięcy przed pewnym rankiem, gdy Manuel zgubił swą najlepszą linkę.

Rekiny bardzo drą sieci, więc łowi się je przeważnie na liny na płytkich wodach. Po obu końcach liny znajdują się kotwice i boje, a co jakieś sześć stóp zwisa na niej sznur z wielkim hakiem umocowanym kawałkiem łańcucha, bo rekin przegryzłby sznur biorąc przynętę.

Tego ranka, gdy Glenn i Thumbs wypłynęli kutrem, spostrzegli, że Manuel kręci się śmiesznie w kółko swoją łodzią — tą, którą tak się chlubił i za której motor był jeszcze winien kooperatywie ponad sto dolarów.

— Zobaczmy, co się stało — powiedział Glenn.

Okazało się, że zginęła mu jedna z linek. Śliczna, nowa linka, długości stu pięćdziesięciu stóp, wraz z bojami zrobionymi z puszek po gazolinie i przytwierdzonymi do nich meksykańskimi chorągiewkami.

Założył ją ubiegłego wieczora koło rafy, którą zwali El Templito, Kościółek, bo jeden jej czubek wystawał nad wodą ostro jak wieża kościelna, ale gdy tego ranka tam przyplłynął, liny nie było. Manuel pomrukiwał jakieś straszliwe przekleństwa dotyczące wątpliwego pochodzenia wszystkich diabelnych rekinów w okolicy i obrażające ikrę w brzuchach ich przodków. Czasami bowiem jakiś wielki rekin porwał całą linkę i ciągnął ją na głębsze wody, a skoro boje znajdują się pod wodą, trudno ją potem odnaleźć. Czasem też dawała się unieść wiatrowi, a ubiegłej nocy była dosyć silna zawierucha.

Początkowo Manuel z ponurą miną odtrącił pomoc swego szczęśliwego rywala, w końcu jednak zostawił Pedrita w łodzi, a sam wszedł na pokład „Encantadory”, bo miała większy zasięg działania i dlatego, że darzy ją miłością.

Przez chwilę pływali w koło, Glenn przy sterze, a Manuel i Thumbs pochyleni nad burtami pilnie śledzili toń oceanu. Jacyś inni rybacy krzyknęli, że zauważyli, zdaje się linkę za drugim progiem, więc Glenn pomanewrował kutrem przez rafy i próg, gdzie woda była tak płytka, że kil ocierał się o lawę. Od Punta Negra wpada do morza długi język lawy i po jego drugiej stronie dno spada pionowo, tworząc jak by podwodne urwisko. Tam właśnie odnaleźli wreszcie linkę, której koniec włókł się po piaszczystym dnie. Jeden z jej haków był pusty, a u drugiego znajdował się nieżywy mały rekin. Reszta liny zniknęła na tak zwanej czarnej wodzie. Manuel chciał nurkować, żeby umocować sznur do liny i potem ją wyciągnąć. Glenn sprzeciwił się temu. Chciał poczekać na odpływ, gdy lina znajdzie się na powierzchni. Wybuchła kłótnia, jakiej cała ta sprawa nie była warta.



— Zanim nadejdzie odpływ, już będzie po mojej linie. Ale co to ciebie obchodzi? Tobie zależy na tym, by moja lina przepadła i żebym przyszedł do ciebie żebrać o kredyt, a potem płacił po dwa pesos z każdego dziesięciu zarobionych — rzekł Manuel, co było bardzo niesprawiedliwe.

— Nie mów jak głupiec — odparł Glenn hamując gniew. — Po prostu nie chcę, żeby mój najlepszy rybak narażał się na ryzyko.

Jakie tu ryzyko? — krzyczał Manuel. — Jakie w tym ryzyko, że skoczę do wody po linę? Moje ryzyko jest wtedy, gdy ją stracę. Ja już umiałem nurkować, jak ty jeszcze sikałeś w majtki. Powiedz, jakie w tym ryzyko?

— *Tihurones* — rzekł Glenn. — Rekiny. Sam doskonale wiesz, że tylko głupcy nurkują na czarnych wodach. Manuel z wściekłością kopnął bosą nogą linę leżącą na pokładzie, a Glenn dodał: — Jeżeli twoja lina zginie, nim nastąpi odpływ, podaruję ci nową.

Ale to tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło Manuela.

— Tak, chciałbyś mi podarować nową linę! A ludzie powiedzą:

„Spójrzcie na Manuela Perez, tego *cabron*. *Patron* zabrał mu kobietę, a dał mu w zamian nową linę. Spójrzcie na Manuela Perez — będą mówili. Na tego bezwstydnika, co przehandlował kobietę na linkę rybacką." O, nie, *patron*, nie wezmę od ciebie linki w prezencie.

— To nie — odparł Glenn, którego zaczęli już brać diabli. — Jeżeli patrzysz na to w ten sposób, to ja sam skoczę do wody po linę. Po co się kłócić o taką drobnostkę.

O, nie, ja ci na to nic pozwolę! - krzyczał Manuel chwytając Glenna za ramię i przytrzymując w miejscu. — Nicchbyś się chociaż zadrasnął pod wodą, zaraz by ludzie powiedzieli: „Spójrzcie na Manuela. Chciał, żeby rekin go pożar! za to, że zabrał mu kobietę". A Vida, która kazała mi przysiąc na świętą Barbarę i życie mego Chiquitina, że nie dam ci zrobić krzywdy...

Biedaczysko, wciąż cierpiał w głębi duszy i wciąż odczuwał ból, cokolwiek łykał, miał gorzki smak. Chcąc położyć kres ich kłótni, Thumbs zaczął ściągać koszulę, żeby samemu dać nura po linę. Kiepski z niego był nurek i Glenn roześmiał się, ujrzawszy, jak tłusty przyjaciel gotuje się do skoku. Manuel również się roześmiał.

— Jesteś tłusty i różowy, *gordito* — powiedział. — *Tiburones* wypatrzą cię o milę i przyplyną tu w pośpiechu, żeby cię zjeść na śniadanie. Ja jestem chudy i brązowy i żaden rekin mnie nic dojrzy w czarnej wodzie. Z tymi słowami wziął sznur, przełożył go przez lewe ramię i skoczył. Często wypływał z poławiaczami pereł w La Paz i z pewnością lepiej umiał nurkować niż Thumbs czy nawet Glenn. Obserwując go, jak schodzi na dno, szybko wypuszczali cumę, on zaś zaczął ją umocowywać do linki pod wodą.

Nagle coś wynurzyło się z czarnej wody. Na płyciźnie wyglądało jak cień samolotu, gdy tak mknęło nad piaszczystym dnem ku Manuelowi.

Thumbs jeszcze nie widział, jak rekin naciera na człowieka. Nie sądził, że ten rekin ma złe zamiary, tylko że był rozgniewany, bo Manuel przeszkodził mu w uczcie, jaką sobie sprawił z jednego ze swych braci złapanych na hak w dalszej części liny. Przez jedną wstrząsającą chwilę dwaj ludzie na kutrze nie rozumieli, co się stało, i sami nie wiedzieli, co robią. Wrzasnęli, szarpnęli za linę. Manuel odwrócił głowę pod wodą, ujrzał rekina, puścił linę i starał się wypłynąć na powierzchnię. Tuż pod powierzchnią rekin uderzył na niego. Wywiązała się walka, rekin i człowiek skotłowali wodę i Manuel poszedł w dół. Thumbs nagle poczuł w dłoni harpun, który zawsze był w pogotowiu na kutrze, i rzucił nim, ale chybił celu. W tej samej chwili rozległ się chlupot — to Glenn skoczył do wody na pomoc w walce z rekinem. Był to

ogromny rekin, miał chyba ze dwadzieścia pięć stóp, największy, jakiego Thumbs widział.

Słyszcy się czasem bohaterskie opowieści o ludziach, którzy z nożem w zębach skaczą do walki z rekinami. Thumbs nie wiedział, czy Glenn ma przy sobie nóż. Widział tylko, że ma pustą bańkę po gazolinie, używaną na kutrze do wybierania wody. Glenn trzymał ją przed sobą i posługiwał się nią wobec rekina, jak pogromca posługuje się krzesłem wobec lwów. Thumbs ujrzał, jak dał nura pod brzuch ryby. Potem zobaczył jeszcze jednego rekina, który poczuwszy krew wypadł jak strzała z czarnej toni, rozjuszony i nieustępliwy. Widział, że Manuel wolniej się porusza, jakby zasłabł, i Thumbsa aż zemdliło na widok mknącego jak strzała rekina z owym właściwym żarłaczom paskudnym uśmieżkiem, jak by z człowieka kpiły. Potem woda pobrązowała nagle od krwi i pomyślał niewyraźnie: „A więc Glenn ma jednak nóż i zajechał go w skrzela — jedyne nicopancerzone miejsce u rekina”. Rekin, z którym Glenn walczył, obrócił się i zaczął wolno opadać na dno. Na to drugi rekin zmienił kierunek jak pies gończy za nowym tropem. Nie ścigał już Glenna i Manuela, lecz ruszył za konającym bratem — a to już ludzi nie obchodziło.

Gdy wyciągnęli Manuela na kuter, okazało się, że ma wyszarpany kawał ciała z prawej nogi, lecz nie brak mu żadnej kończyny. Glenn, wciąż jeszcze bez tchu, ale spokojny, zrobił turnikiet, żeby zatamować krew, a Thumbs nastawił dychawiczny motor kutra na jak najszybsze obroty. W Tiburón, oczywiście, nie było lekarza. Ale był jeden, choć stary i narkotyzujący się, w Mazatlan. Na szczęście tego dnia przyjeżdżał pociąg, który, niebываła rzecz, nie spóźnił się osiem godzin, toteż jeszcze tego popołudnia Vida zawiozła Manuela do Mazatlan. Miała z sobą wielką flachę *pulque*, żeby utrzymać go w miłym i szczęśliwym stanie upojenia, i wcale nie wykluczone, że Manuel chwalił sobie tę podróż.

Podczas odpływu Glenn wyłowił jego linę i okazało się, że był na niej rekordowy połów. Siedem rekinów z gatunków olbrzymów, najmniejszy miał ponad dwanaście stóp. Nic dziwnego, że ściągnęły linę. Na kilku hakach wisiały resztki mniejszych okazów zżartych aż po skrzela przez krewniaków. Wypadek z nogą Manuel zawdzięczał temu, że im przeszkodził w śniadaniu

Żalostnej reszty dokonał lekarz. Z początku postanowił amputować stopę, bo kilka kości było zmiażdżonych. Po dwóch tygodniach orzekł, że wdała się infekcja i uciął jeszcze kawałek. A po upływie pięciu tygodni stwierdził, że wywiązała się gangrena i jeśli życie Manuela ma być ocalone, trzeba obciąć nogę powyżej kolana. Gdy okaleczony już na zawsze Manuel wrócił do Tiburon, czekała go w domu pewna rekompensata. Zastał tam żonę, Aurelię, matkę swych obecnych oraz przyszłych dzieci. Wróciła powodowana współczuciem dla niego i myślą, że jest mu obecnie porzebna, albo dlatego, że dowiedziała się o polisie ubezpieczeniowej, którą Glenn wyrobił dla Manuela po wypadku z ciężarówką. I tak Manuel Perez, wiceprezes kooperatywy, z sześcioma setkami pesos w kieszeni, stał się w cudowny sposób znakomitością i bogaczem.

Pogodził się z powrotem żony ze zwykłym sobie stoickim spokojem, uczcił go pijąc przez trzy dni i zapewne uznał rozłożystą, popędliwą i żywą Aurelię za całkiem odpowiednią dla siebie żonę. A kiedy rybacy przywozili żywego rekina, zaraz wołali Manuela, ten zaś brał nóż, rozcinał brzuch ryby i jak przystało na Azteka, wkładał ręce do środka i wyrywał wartość żyjącemu jeszcze, drgającemu stworzeniu. Był poza tym ciekaw, co się znajduje w żołądku każdego rekina. Jak by spodziewał się znaleźć u któregoś swoją nogę...

Jeśli zaś czegokolwiek nienawidził więcej niż rekinów, to chyba owego fuszera lekarza z Mazatlan. Nie żywił już nienawiści do Glenna. Kiedyś, podczas jednej ze swych

regularnych sobotnich pijatyk, gdy wezbrały w nim uczucia, zwierzył się Thumbsowi podsumowując całą sprawę.

— *Amigo* - rzekł. — *Señor ingeniero, pairan* i ja jesteśmy kwita. Rozumiesz, on zabrał mi kobietę. Ale ocalił mi życie. I pozwala mi prowadzić „Niezwycięzonego”. Z jedną nogą i ręcznym akceleratorem. *Salud*.

W pewien przyjemny pogodny wieczór grudnia, właśnie gdy Vida wniosła zupe, zadzwonił telefon. Postawiła gorącą wazę i spytała: - Czy chcesz, żebym podniosła słuchawkę? - bo wiedziała, że Glenn nie lubił odbierać telefonów w czasie jedzenia. Ale po kilku minutach zwykłych trzasków, zgrzytów i przerywanych głosów w słuchawce, potrząsnęła głową: — Nic nie rozumiem. To chyba międzynarodowa rozmowa dla *dueño*. - Wciąż nazywała Glenna swoim *dueño*, panem, władcą. Wiele Meksykanek zwraca się w ten pełen szacunku sposób do swych mężów — a Glenn nic był nawet jej mężem, chociaż żył z nią równie blisko.

— Chryste, czyżby znowu z Chempaxu? - rzekł Glenn. — Czy ci idioci nie mogą zrozumieć, że rekinów nie produkuje się na taśmie montażowej?

— Czekaj, daj mnie... — powiedział Thumbs i wziął słuchawkę. Ale usłyszał początkowo tylko beznadziejną plataninę głosów, coś jak porykiwanie lwów morskich nic opodal Las Tres Marias.

— No i co? — spytał Glenn niecierpliwiąc się.

— Nie wiem. Myślę, że to Tracey. Coś się jej musiało stać... Nie mogę zrozumieć, co... zdaje się, że płacze... Glenn zaczerpnął z trudem powietrza.

— Zwariowałaś — rzekł, podniósł się i wziął słuchawkę. Vida właśnie wychodziła, ale zatrzymała się u drzwi i zrobiła coś dziwnego. Wciągnęła odrzucone zwykle na plecy rebozo na głowę, jak przed wejściem do kościoła. „Żeby ukryć twarz --- pomyślał Thumbs albo się pomodlić”.

Był to istotnie telefon od Tracey, która tak płakała, że Glenn nie rozumiał ani słowa

— Tracey?... Tak... Nie... Że co? Skąd dzwonisz?... Nie z Acapuico?... Co ci się stało... Z San Francisco? Ależ to niemożliwe... Tak, tak, proszę pani, mówi się, proszę nie rozłączać, na miłość boską... Tracey! — wykrzykiwał Glenn do słuchawki. Nie mogę cię zrozumieć, Tracey, upiłaś się?... Co?... Nie?... Takie miałem wrażenie. Nie możesz mówić rozsądniej? Miałaś wypadek? Płaczesz? Czemu?... Czemu? A niech cię, skipper, weź się w kupę i przestań beczeć. — Przez chwilę słuchał, a potem krzyknął głośno: - Nie! Nie! Nie! — bardzo głośno i zaraz jak by do siebie, cicho jak westchnienie. - Och, nie. to nieprawda, nie... Odwrócił się do Thumbsa i to, co wyszeptał, brzmiało jak szaleństwo: — Zbombardowali Pearl Harbor — Japończycy -zatonili całą naszą flotę...

— Bzdura — powiedział Thumbs. Glenn wskazał mu ruchem brody, żeby podszedł i posłuchał, więc Thumbs przycisnął ucho do zewnętrznej strony słuchawki, ale nadal nic nie mógł zrozumieć. Powtórzył raz jeszcze: - Bzdura! a tymczasem łańcuch niepowiązanych pojęć zacisnął się wokół niego i nagle ta straszna prawda przerwała wszystkie zapory obronne i ugodziła któryś z ośrodków nerwowych. Śmieszne mrowie objęło mu palce, wpełzło po ramieniu i ześlizgnęło się w dół, po lewym boku. „Umieram — myślał — zawał serca". Nad wszystkie hałasy i dźwięki w słuchawce przedarło się syczenie w jego głowic, jak by pary wydostającej się przez szczelinę przewodu wysokiego ciśnienia, i całe ciało Thumbsa pokrył zimny pot.

„Pearl Harbor - przemknęły mu przez głowę myśli nic do wypowiedzenia. - Glenn, nasz ukochany Pearl Harbor! Gdzie mieszkaliśmy będąc dziećmi, gdzie poznaliśmy pierwsze okręty i całowali pierwsze dziewczęta, skąd wypły-

waliśmy jako młodzi, świeżo upieczeni podporucznicy w rejsy do Pago Pago, do Cavité..."

Spojrzał na Glenna i zrozumiał, że przyjaciel odczuwa to samo.

Śmiesznie byłoby powiedzieć, że Glenn zbladł, bo słońce, sól i woda tak wytrawiły mu skórę, że nabrała trwałego koloru jak by garbowana. Mimo to wokół oczu pojawiły się nagle białe obwódki, czubek nosa stał się kredowy, a usta zdrętwiały, gdy głos w słuchawce wciąż mówił i mówił, wymieniając rozmiar szkód i hańbę.

Chwilami brzmiał tak wyraźnie, jak by Tracey mówiła z Mazatlan, potem słabł, oddalał się, powracał i dźwięczał ponad mętym buczeniem i szumem, ponad terkotem telefonistek i w końcu urwał się w połowie słowa i już nie powrócił, a po chwili telefonistka z Mazatlan oznajmiła, że przerwano połączenie.

Glenn wrócił do stołu jak by brodząc w grzaskim bagnie. Żaden z nich się nie odzywał - wiadomość zbiła ich zupełnie z nóg.

— Przynieś mi, maleńka, trochę gorącej kawy, bo moja całkiem ostygła

— rzekł wreszcie Glenn. Vida wróciła z dzbankiem kawy i pochyliła się nad nim, żeby napęścić jego kubek.

- Co się stało? Przyniosła ci złe wieści, ta twoja *gringa'*? -spytała.

— Tak. Bardzo złe.

— Ta kobieta zawsze przynosi nieszczęście, zawsze - -powiedziała Vida żegnając się za plecami Glenna. — Stało jej się coś złego i zaraz chce, żebyś przyjechał, tak?

— Nie jej, maleńka. Mojemu krajowi, rozumiesz?

— Ojej! Krajowi! Trzęsienie ziemi? Powódź?

— Nic. Wojna.

Vida zrozumiała wreszcie i lekko dotknęła ręką ramienia Glenna.

— Bardzo mi przykro, kochany —rzekła tkliwie i dodała:

— Czuję to doskonale — co zabrzmiało bardzo miło. Pierwszy raz zwróciła się do kochanka tak czule wobec Thumbsa. Glenn wziął jej dłoń spoczywającą na jego ramieniu i zakrył nią sobie oczy. Może chciał w ten sposób odczną obraz zniszczonych okrętów, które wciąż płonęły, przechylały się i tonęły przed jego oczyma. Potem opuścił jej dłoń do ust, leciutko pocałował i złożył jej palce.

— Masz, zanieś ten pocałunek do swego pokoju i schowaj razem z innymi. Uzbieraliśmy ich już na pewno miliony — rzekł uśmiechając się do niej. W ten łagodny sposób odprawiona Vida wyszła bez słowa pozostawiając mężczyzn, by w samotności zastanowili się nad nową sytuacją.

Przez długą chwilę nie odzywali się — bo cóż tu było mówić? Gdy zaś Glenn wreszcie zaczął, okazało się, że jego wściekłość nic dotyczyła Japończyków, którzy dokonali dzieła zniszczenia tak ukochanych przez niego okrętów, lecz starszyny oficerskiej, która do tego dopuściła. Wc wszystkim, co mówił, był taki ból, jak by jeszcze raz od początku przeżywał swój zajadły bunt przeciw pniącey się w marynarce głupocie, arogancji, lenistwu, marnotrawstwu, skamieniałemu formalizmowi i powszechnej sklerozie.

Kiedy już wreszcie wyczerpał cały swój bogaty słownik przekleństw, wyszedł z domu mruczając coś o potrzebie świeżego powietrza. Thumbs pozostał z uchem przylepionym do radioodbiornika, chcąc usłyszeć jakiś komunikat ze Stanów Zjednoczonych, ale usłyszał tylko zwykłą porcję meksykańskich pieśni, reklam handlowych oraz pompatyczną mowę przedwyborczą jakiegoś miejscowego *poitico*.

Vida wniosła uprzednio nie tkniętą, podgrzaną kolację. Stała i oparła się o drzwi — wyglądała mizernie.

— Czy myślisz, Pulgarcito — zapytała że *patron* wyjechał od nas już na zawsze?

— Jak to, na zawsze? Poszedł popływać „Blimpem” — wróci rano albo wcześniej.



Chciałam zapytać, czy popłynął do kraju. Do kraju, który jest w wojnie powiedziała poważnie. — I do tej kobiety, tej niedobrej, która go wezwała, nie?

— Co za głupie pytanie! Słuchaj, Vida, nie jesteś przecie dzieckiem, powinnaś być mądrzejsza.

Tak, tak. Ale widziałeś jego twarz, kiedy słuchał, co ona mówi?

- Ależ bzdura! Nie myślisz chyba, że będzie żeglował tysiąc dwieście mil „Blimpem”, żeby zaciągnąć się do marynarki?

Vida owinęła się szczelniej swym rebozo, jak by poczuła chłód.

- *Capitán* jest mężczyzną, ajego kraj prowadzi wojnę — odparła po prostu pozostawiając Thumbsa nad nie zjedzoną kolacją i z niestrawnymi myślami. Spostrzegł się nagle, że od pewnego czasu oboje zaczęli mówić o Głcnnie nie *patron*, a *capitán*. Kiedy nazajutrz kapitan nie powrócił, a nikt nic widział nigdzie „Blimpa” ani jego szczątków, Thumbs zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem Vida nie wie lepiej niż on, na jakie wariackie wyczyny stać jej ukochanego. Jednakże późnym popołudniem przywłókł się z miną niewiniątka, taki rozsądny i odświeżony, że Thumbs nie wytrzymał i wybuchnął:

- Sądzę, kapitanie, że udała się panu przejażdżka -rzekł podczas gdy my, szara masa, harowaliśmy tu w pocie czoła.

— Przepraszam cię, mat, ale musiałem odbyć poważną rozmowę z samym sobą. Wiesz, jak trudno przemyśleć różne rzeczy, żeby wytknąć prosty kurs. „Blimp” dopomógł. Musiałem też załatwić parę spraw w Mazatlan. Są jakieś nowe wieści z kraju?

- Jakaś kulawa wzmianka w radio. Oni się tyle troszczą o Pcarl Harborjak by to było na księżycu. Aha, Tracey znów dzwoniła.

— Jakżeby inaczej — odparł Glenn. — Gdzie Vida? Jeść mi się chce. I powiedz Manuelowi, żeby przygotował kuter. Musimy być jutro rano w Mazatlan. I cóż pani Klęska miała do powiedzenia? Jeszcze coś o nalotach? Zatopionych statkach? Fladze japońskiej zatkniętej na Oahu?

— Podała dalsze szczegóły. Powiedziała...

— Dalsze szczegóły... skąd, u diabła, ona je bierze?

— Co się mnie pytasz? Zapewne poprzez jakichś przyjaciół, kuzynów i wujów z Pentagonu. Była w szczytowej formie, to pewne. Wstępuje do czegoś tam pomocniczego Sił Powietrznych. Będzie pilotowała bombowce. Robiła takie wrażenie, jak by postanowiła wygrać tę wojnę na własną rękę. I rozmawiała z twoim starszym bratem o tobie...

— Świetnie.

— On wyrusza wkrótce w bardzo ważnej tajemniczej misji. Ale nic nazbyt niebezpiecznej, bo do Waszyngtonu. Martwią się trochę o twego młodszego brata, który jest na Filipinach. Tam, zdaje się, niewesoło...

— Wszędzie jest niewesoło. Nie trzeba mi Tracey, żeby o tym wiedzieć. Tak, ale chciała, żebym ci jeszcze coś powiedział. Twój brat mówi, abyś natychmiast przyleciał do San Francisco i porozmawiał z nim, przed jego wyjazdem do Waszyngtonu. Sądzi, że mu się uda przywrócić ci dawny stopień.

— Ach, tak? Taki pewny, że rzucę tu moich ludzi i przybiegnę, jak tylko zagwiżdże? Ani cienia wątpliwości, co?

— Ani cienia wątpliwości.

— A flota, rzecz jasna, tylkoczeka na takich pędziwiatrów jak ja.

- Tracey prosiła, żebym ci powiedział, że teraz właśnie potrzebni są oficerowie twojego kalibru i ty sam o tym wiesz.

— Dziękuję. To wszystko?

— Nie. Czeka na twój telefon. Jest u twojej rodziny -

masz tu numer, jeżeli zapomniałeś. Gotowa jest jutro przylecieć i zabrać cię.

— Doręczyć mnie jak przesyłkę!' Jakie to wygodne! Vida! Gdzie ta dziewczyna? Jestem głodny jak rekin. - Podeszedł do zabytkowego telefonu i zaczął kręcić korbką. - Spróbuję, może mi się uda pobudzić te głupawe telefonistki z Mazatlan do akcji i przekonać Jej Wysokość, że prędzej kark skręci, nim dam jej sobą kierować.

Jeśli cokolwiek było w stanie przeszkodzić kapitanowi w ponownym zaciągnięciu się do marynarki, to tylko propozycja jego brata, że mu się wystara o bezpieczne stanowisko, i pewność Tracey, która uważała jego powrót za rzecz przesądzoną. Co do Thumbsa, ten musiał odbyć poważną rozmowę z samym sobą, jak to Glenn nazywał. Chętnie wypłynąłby którąś ze żłobionych w pniu łodzi i powiosłował sobie, bo człowiek jego pokroju o wiele łatwiej myśli na morzu, ale on czuł, że nie powinien teraz opuszczać kapitana, a ponadto z nadejściem wieczoru nadciągnęła zimna, gęsta, szara mgła, tak niezachęcająca, jak by wybrzeże ubrało się w brudną wełnianą bieliznę. Tylko kredowo białe skały nadbrzeżne z małym kościółkiem na szczycie wystawały ponad nią. Thumbs wdrapał się na górę wąską ścieżynką i usiadł na starej kamiennej ławie. Zazwyczaj rozciągał się stąd piękny i rozległy widok, lecz teraz nic nie było widać, nic. Tylko stłumione dźwięki wskazywały, że gdzieś, w dole, leży Tiburon. Aż dziw, jak bliskie stają się owe proste odgłosy, gdy się wśród nich dłuższy czas pożyje. Thumbs nigdy nie zwracał na nie uwagi, teraz jednakże poznawał je wszystkie. Oto żona Porfiria Venala wzywa dzieci na kolację; zgrabny młody Adriano gwizdże urywek jakiegoś szlagieru; to popiskują w kuchni szczenięta; tamto znów to chrobotliwy dźwięk wciąganej na pniach łodzi i brzęk łańcucha. W dole u przystani słychać głęboki głos Manuela Perez klnącego dobrodusznie: — *Hijo de tu pula madre* — i odpowiedź

ciężarówki wysokim skomleniem opornego pierwszego biegu. Śmiech siedmiorga małych Avarado, z którymi ojciec właśnie żartował; ryk osiołka, tego od Chucho de los Angeles; chrapliwy, na wpół zdławiony, uporczywy jęk rodzącej kobiety — to pewnie Eulalia de Castro — rodzi po raz pierwszy i bóle chwyciły ją już o północy. W *cantina* grano jedyną posiadaną płytę „Ciclito Lindo”, a w dali, na niewidocznym morzu, huczała syrena przeciwmgielna kutra Straży Przybrzeżnej i można było poznać po donioślejszym i szybszym łomotaniu i syczeniu bałwanów uderzających o podstawę Punta Negra, że nadciąga przypływ. Być może Thumbs słyszał to wszystko tak wyraźnie, bo nic nie widział — jak bywa ze słuchem ślepcy. Wszystkie te głosy a także zapachy, nie smród wątroby rekinów, lecz zapach morza i białych kwiatów cmentarnych, zwanych tu *flores de San Juan*, oraz czerwonych jaśminów, i najmiłszy z wszystkich zapachów: dym z palenisk, na których przygotowywano wieczorny posiłek po upalnym dniu ciężkiej pracy. „Boże, to Tiburon — myślał Thumbs. — Nasza wieś; zbudowaliśmy ją z gliny, jak mówi Pismo, zawszona dziura i przedmiot odrazy, ale byłby wstyd, gdybyśmy już nigdy mieli jej nic zobaczyć...”

Kiedy wrócił do domu, Glenn zdołał już uzyskać połączenie i był w środku rozmowy z Tracey. Z kuchni dolatywał miły, ostry zapach słynnej *langosta eon mole*, którą przyrządzała Vida.

— ...tak, skipper, wiem o tym, przyznaję, że trochę otepiałem i zaśniedziałem — mówił Glenn. — Nie przyszło ci na myśl, że nie mogłem się trochę zestarzeć? Co?... Tak, teraz znów cię słyszę.

Oczywiście, spełnię obowiązki, ale, Tracey, kochanie, mam i tu swoje obowiązki. Nie mogę, ot, tak sobie rzucić wszystkiego i wyjechać... Nie... Nie... Nie mogę i nie chcę. Tak, mam zobowiązania. Jestem odpowiedzialny za setki rodzin... Nużące? Może dla ciebie nużące, ale dla mnie

poważne i doniosłe... Przykro mi, skipper, aie tak to właśnie wygląda... Kiedy będę gotów? Nic wcześniej, nim tu wszystkiego dopilnuję... Nic, nie chcę, żebyś po mnie przyjeżdżała ani teraz, ani później ty jedź pierwsza i pilotuj bombowce — jeżeli ci pozwolą... *Si, señorita, ya estoy hablando\**...

Weszła Vida, żeby zapytać szeptem, czy podać już Ian-gustę, i Glenn, słuchając długiej tyrady w telefonie, przytaknął z emfazą.

— ...Tak, słusznie, moja droga. Nie wiem, ile czasu mi to zajmie, zależy...

Od czego na przykład? Na przykład od czasu, jaki mi zajmą przygotowania do ślubu — żenię się... Nie, połączenie dobre, słyszysz mnie teraz?... Tak, to właśnie powiedziałem, żenię się. Jak miliony innych mężczyzn żenię się przed odjazdem... Co powiedziałaś?...

Oczywiście, z Vida,.. Dziękuję, przekażę jej... Tak... Tak, *au revoir*, skipper... Życzę ci szczęścia... Na pewno się spotkamy... Skipper...

Tracey... Tracey, kochanie, nie płacz... Tracey... *Señorita, señorita, qué pasa'?*\* Centrala? Czy to San Francisco? Ach, odwiesiła słuchawkę?

Dziękuję. Nie, już skończyliśmy. *Terminado, señorita, si, muchas gracias\**...

Thumbs słuchał z rozdziawionymi ustami, osłupiały. Vida również to słyszała. Otworzywszy drzwi nogą, weszła do pokoju niosąc w obu rękach dymiący półmisek. Thumbs myślał, że go upuści, ona jednak postawiła półmisek bardzo ostrożnie na stole i pozostała w miejscu, jak by w obawie, że ją zawiodą nogi. Przesunęła trochę tacę z chlebem, po prostu żeby coś zrobić, zwrócić na coś uwagę. Twarz jej była niezmieniona, tylko powieki o nieprawdopodobnych indiańskich rzesach opadły jak firanki. W chwilę później zawisły na nich wielkie krople łez i zaraz znikły, jak by

**Si, señorita... (hiszp.) — Tak, proszę pani, mówi się. ...qué pasa? (hiszp.) — ... co się dzieje?**

**Terminado... (hiszp.) — Skończone, proszę pani, tak,dziękuję.**

wessane z powrolem przez oczy, tak jak słońce spija krople rosy połyskujące na pajęczynie wczesnym rankiem.

Odwiesiwszy słuchawkę Glenn zwrócił się do Vidy i rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Bardzo mi przykro, bardzo to odczuwam — dodał po hiszpańsku *Lo sciento muchísimo*, duszo moja i serce moje, że oświadczyłem ci się w tak nieformalny sposób. Postaram się to nadrobić najwspanialszym i najbardziej uroczystym ślubem kościelnym ze wszystkimi wspaniałościami, jakich tylko zapragniesz. Dzwony, kwiaty pomarańczy, błogosławieństwa, wszystko, co zechcesz. Jutro rano jedziemy do Mazatlan i wszystko urządzimy. Ty sobie zamówisz ślubną suknię, a ja zrobię przygotowania do olbrzymiej fiesty, największej ze wszystkich fiest...

Na to Vida wciąż ze spuszczoneymi powiekami wyszeptała coś pokornie, że nie słuchała, gdy rozmawiał przez telefon, że w każdym razie za mało umie po angielsku, i... i... prosi swego kochanka, swego pana, niech nie będzie fiesty ani fajerwerków, niech nic będzie pijaństwa, kiedy się będą pobierali. Biała suknia, tak, i cichutki ślub w kaplicy pod wezwaniem świętej Barbary - w tym miejscu podniosła oczy i zajaśniały w nich wszystkie odrzucone fajerwerki, gdy popatrzyła na niego, i dodała chytrze, że jest całkiem pewna, iż *padrecito* bardzo chętnie udzieli im koniecznej dyspensy, przybije zapowiedzi do drzwi kościelnych jeszcze dziś wieczorem i da im jutro ślub — zanim *patron* się rozmyśli. A teraz niechaj łaskawie siądą i zaczną jeść, zanim langusta ostygnie.

Glenn zaśmiał się w głos z tego świetnego przykładu kobiecej przezorności, a Vida wycofała się do kuchni, by zgodnie ze zwyczajem prostych Indian czekać na jedzenie, które señor raczy jej zostawić.

Thumbs już widział w wyobraźni Vidę idącą trzy kroki z tyłu za mężem, niosąc jego najcięższe pakunki i jak każda przyzwoita meksykańska

Żona, mocno trzymającą go w garści, z czego mąż nie zdaje sobie sprawy.

— Zostaniesz tu, Thumbs, i zajmiesz się interesem? — spytał Glenn trochę później tego samego wieczora.

— Nie — odparł.

— Nie?

— Nie — rzekł Thumbs.

Glenn stuknął szklanką w stół jak by w gniewie, ale nic przestał się uśmiechać.

— A co ci się, cholera, zdaje? — Że jesteś moim bratem syjamskim, czy coś takiego?

— Coś takiego — rzekł Thumbs. — Twoim starym druhem. Pamiętasz, przyjacielu? Ty, kapitan Hammers, czyściutki facet z pokładu, i ja, brudny i spocony mechanik z maszynowni. Może twoje latawce latały wyżej — ale nie zapominaj; to ja je kleiłem.

— No, *salud* — rzekł główny mechanik Thumborn doszedłszy do tego miejsca swej opowieści — *salud, sehorila*. Oto już resztką mojego mescal. Wypijmy za szczęśliwe zakończenie. — Cisnął pustą tykwę w jednostajną, porośłą meskitem przestrzeń, która w płasko padającym świetle przedświtów wyglądała niby nicdoświętłona fotografia wyłaniająca się w wywoływaczu.

— Właściwie to dopiero początek — mam na myśli wojnę i — no cóż, małżeństwo Glenna i kilka innych drobniejszych spraw. Widzę, że jeszcze będę miał mnóstwo zmartwień z tymi ludźmi. To jest właśnie diabelne, jak tylko się kogoś polubi, człowiek zaczyna się o niego martwić, a ja, psiakość, ich lubię, nawet Tracey. Może nawet najwięcej Tracey. Pewnie dzięki temu, że mam duszę mechanika, a ona jest zrobiona ze stali. I z czym w końcu została? Z pustymi rękoma. Pilotuje bombowce, jak by się uwzięła skręcić sobie kark. W każdym razie Vida będzie wreszcie miała własne dziecko. Przyznaję, że zdębiałem, kiedy powiedziała o tym

tuż przed wyjazdem. Kiedy już wybieraliśmy się na stację. To dlatego musiałem pośpiesznie się upić — mam nadzieję, że nie naprzykrzyłem się pani, señorita? W bardzo mity sposób wyznała to Glennowi.

— Czy pamiętasz, *querido* — powiedziała — co ci mówiłam w pierwszym tygodniu naszej znajomości?

— *Como no!* Każde twoje słowo, *queridita* — odparł wesoło.

— Że chciałabym mieć dziecko z niebieskimi oczyma? — Tak, maleńka. Czy mógłbym o tym zapomnieć?

— Będę je miała. Niebieskookiego *queridito*.

— Oczywiście, kochanie. Postaramy się o to, gdy wrócę z wojny — rzekł Glenn trochę roztargniony.

— Och, nie — powiedziała Vida śmiejąc się swym głębokim, gardłowym śmiechem. — Dziecko jest już w drodze trzy miesiące i tydzień.

— Glenna zatkało — ciągnął Thumbs. — Zupełnie go zaskoczyło, choć starał się ze wszystkich sił nie narobić wokół tego zbyt wielkiej wrzawy, Ale cały promieniał i mówił jak pijany, pytając raz po raz, czemu nie powiedziała mu wcześniej, czemu na wszystkich świętych nie powiedziała, czemu nie powiedziała, czemu? Trzeba było wtedy, proszę pani, widzieć dumę w twarzyczce i postawie Vidy stojącej z wyprostowaną szyją jak królowa. To ich indiańska duma i godność; często się zastanawiałem, czy ta dziewczyna z „La Conchity” nie ma w sobie królewskiej krwi Azteków, Tol-teków albo Tarasków?

— Czyż mogłabym powiedzieć swemu kochankowi, że noszę pod sercem jego bękarta? Ale szczęśliwa jestem, że mogę obiecać swojemu mężowi syna. Syna o niebieskich oczach — tak powiedziała.

Nad lasami wstawał jasny, chłodny dzień.

— No, jak tam? Zdaje się, że będziemy wkrótce w Culiacan — wywnioskował Thumbs. — Jeżeli pociąg za-



chowa te szybkość i wszystko pójdzie dobrze, pojutrze będziemy już w mundurach. Jacy z nas obu frajerzy, że się pchamy do tej wojny, głupi frajerzy, no nie? Ale jesteśmy irracjonalną rasą, señorita. Tracey ma słuszość: Człowiek jest zmuszony żyć z samym sobą — a któż by chciał żyć z tchórzem?...

## EPILOG

Wygodnie wyciągnięta na leżaku w ocienionym *patio* hotelu Pacifico zamknęłam oczy, by lepiej sobie przypomnieć, i oto doszłam do nierozstrzygniętego końca mych wspomnień. Piętnaście lat — krótki kawałek czasu w życiu człowieka, nieskończenie mały w życiu planety, a jednak stwarzający głębszą otchłań między tamtym okresem a obecnym niż między średniowieczem a nowożytnością. W ciągu piętnastu lat świat wkroczył w nową erę, a my, przemijający goście tego świata, razem z nim.

Otworzyłam oczy i rozejrzałam się dokoła. Z wolna zdałam sobie sprawę, że to, co jest dziś hotelem Pacifico (luksusowe pokoje i bungalowy, gorąca i zimna woda, prywatna plaża i basen pływacki, zapierający oddech widok, umiarkowane ceny), stoi na miejscu starej hacjendy. Środkowa część głównego budynku jest zapewne starą *casa grande*, a nowe skrzydła i bungalowy są już dodatkiem, wiernie dopasowanym do podstawowego stylu przez zastosowanie niewypalanej cegły i czerwonej dachówki. Grządka kwiatowa otaczająca stare kamienne koryto zmieniła się na moment w moich oczach w grupkę zebranych wokół *pila* kobiet zajętych praniem, śmiejących się i rozgadanych...

Wstałam i przeszłam pod ukwieconymi krzewami dża-karandy do obmurowania stojącego w miejscu dawnego ogrodzenia hacjendy. W miejscu, gdzie cegła się wykruszyła, uzupełniono wyrwy cementem, trwałym, lecz jakimś zimnym tu i obcym. Rozciągający się widok nie był ani trochę przereklamowany w broszurce reklamowej hotelu.

W dole ocean rozpościerał nieporównane błękity poznaczone purpurą pól wodorostów, turkusami płycizn i łąch. Przybrzeżna kipiela białała spoza dachów i skał, białe grzywacze mknęły ku półksiężycowi plaży i zatoczki, a popołudniowe słońce zabarwiało to wszystko najlżejszym odcieniem czerwieni. Hen, w dali, widniały z pozoru nieruchome lodzie rybackie, niby maleńkie czarne sylwetki powycinane z dziecinnej książki z obrazkami i naklejone na lśniącym odbłasku słońca na wodzie, jak by olbrzymiej złotej trąbie leżącej między zamglonym horyzontem a wybrzeżem.

— Przygląda się pani okolicy? — spytał Thumbs. Nie spostrzegłam, kiedy się zbliżył.

— Czarujące jest to wasze Tiburon — prześliczne.

— Tak, rozwinęło się porządnie — rzekł.

Podał mi lornetkę, którą jak by umyślnie przyniósł, by mi pokazać najważniejsze punkty małego, lecz wyraźnie zamożnego miasteczka rybackiego. Szkoła, szpital, przykłady dobrej nowoczesnej architektury budynków użytkowych, jakie można znaleźć w całym Meksyku. Malutki plac wysadzany młodymi drzewkami, z podwyższeniem dla orkiestry i ławkami. W miejscu, gdzie zatoka się rozszerza, Tiburon rozciągnęło się nieco monotonnymi mondrianowskimi czworokątami, które meksykańscy urbaniści tak bardzo sobie upodobali od przeszło dwustu lat, jeżeli tylko nie musieli pokonywać trudów budowy na zboczach gór, w wąwozach lub na bagnistym gruncie. I tu niektóre z mniejszych domów są uczezione górskich zboczy i brzegów kanionu — Thumbs, jak sobie przypominam, nazywał go parowem — lecz teraz pokazał mi z dumą brukowaną drogę biegnącą w dole wzdłuż niewielkiej rzeki, której brunatne wody wpływające do zatoczki wyglądały z góry, jak by ktoś wlewał filiżankę kawy w nieskończony błękit morza. U ujścia rzeki budowano właśnie solidny most, wyraźnie tak pomyślany, by nie tamować doroczných wylewów.

— No, jak to się pani podoba? — spytał Thumbs.

— Dziwne, ale czuję się, jak bym powróciła do miejsca, które znam od dawna. A z drugiej strony jest tu tak inaczej, niż pan opowiadał ..... lub raczej niż sobie wyobrażałam.

Wszystko jest takie wyraźne — nowe...

— Zawdzięczamy to huraganowi. Naprawdę straszemu huraganowi, który przeszedł tędy w czterdziestym czwartym roku. Wymiótł wszystkie śmieci i rupiecie i wobec tego mało zostało z Tiburon. Musieliśmy rozpocząć budowę na nowo. Mieliśmy pod pewnym względem szczęście, nigdy nie dalibyśmy sobie rady bez pieniędzy z tytułu ubezpieczenia od rzędu. Ale proszę mi wierzyć, czarny to był dzień i przez pewien czas wszystko wyglądało beznadziejnie. Nie, proszę pani, nie było łatwo... Wyciągnął fajkę i zaczął ją nabijać i zapalać.

— Nie przeszłaby się pani trochę? — spytał powstając. — Z Piedras Blancas jest śliczny widok. Myślę, że spodoba się pani.

Otworzył małą drewnianą furtkę w murze i wyszliśmy. Za furtką był ładny chodnik wiodący do kościółka, a stamtąd serpentyną w dół, wśród stromych skał, ku gładkiej piaszczystej plaży. Widziałam przez lornetkę kilku gości hotelowych wypoczywających pod pasiastymi parasolami i parę ciemnych punkcików płynących na grzbietach grzywaczy hen w dali. W zaroślach na zboczu góry cykady stroiły swe nóżki na wieczorny koncert. W końcu zadałam niepokojące pytanie:

— A jak ma się kapitan Hammers? Czy... szczęśliwie przeżył wojnę?

— Ach tak, doskonale. Glenn Hammers stale wypływa na powierzchnię. Ten chłop zawsze spadając kot na cztery łapy. O tak, doskonale mu się wiedzie. Strasznie ucieszy się z pani odwiedzin.

— Czy nadal tu mieszka? Wciąż tkwi po szyję w wątrobach rekinów?

— Ach nie! Rekiny już należą do pomniejszych spraw. Kapitan zajmuje się teraz wieloma rzeczami. Na przykład wybudowaliśmy cały sznur hoteli, porządnych nowych hoteli jak ten, wzdłuż wybrzeża. Stwarza mu to doskonałą okazję, żeby się ruszać z miejsca na miejsce. Ciągłe jest bardzo ruchliwy. Glenn Hammers nie obrasta mchem. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość: odkąd założył rodzinę, bardzo się ustatkował. Ostatecznie przeżył trochę w czasie wojny i spowaźniał. Wszyscyśmy przeżyli sporo.

Doszliśmy do kościółka, gdzie białe głazy utworzyły coś w rodzaju naturalnych schodów. Thumbs rzuciwszy podejrzliwe spojrzenie na jeden z nich, który nazywał swoją ławką, wyjął pośpiesznie wielką czerwoną chustkę, wymamrotał przepraszająco jakieś hiszpańskie przekleństwo pod adresem *fas gaviotas*, mew, i poprosił, bym usiadła. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu podziwiając widok. W powietrzu rozchodził się miły zapach i rozejrzawszy się wkoło stwierdziłam, że płynął z małego cmentarzyka otaczającego z trzech stron kaplicę. Przez wyrwę w murze wychylał się krzak czerwonego jaśminu, a na kilku grobach zobaczyłam kilka mniej lub więcej zwiędłych wieńców, jakie zwykle dzieci w krajach tropikalnych wiją z opadłego kwiecica.

— Tak, Glennowi się udało, gdy się zważy, co mogło się z nim stać, kiedy jego niszczyciel zapalił się od dziobu do rufy. Kamikadze. Gruchnął jak w tarczę. Ale to stara historia i nie mówmy o niej. Tak się już na świecie dzieje. A taki facet jak ja, który służył na lądzie, jedzie sobie do domu po małym wesołym przyjęciu, wpada na niego ciężarówka z gazoliną i — bach! Katastrofa! Stracona ręka. a że wypadek nie w czasie służby, więc nie należy mu się nawet medal. I do widzenia, chłopcze, strasznie nam ciebie żal, miło było poznać. A Glenn tymczasem przechodzi wszystkie piekła

i niedole i wraca jako bohater, duma rodziny, po uszy w odznaczeniach, zbiera całą chwałę — wcale nie mówię, że bezpodstawnie. Tylko, jak powiadam, dlatego, że mu się zawsze udaje, a co więcej, jest szczęśliwy. Bo każdemu może się udać. Ale na to, żeby być szczęśliwym, trzeba sobie zasłużyć. Szczęście niezasłużone nie istnieje, mam rację? Z dzwonnicy rozległ się dźwięk jak by dwóch starych cynowych talerzy uderzających o siebie i jednocześnie chmara jaskółek wyfrunęła z gniazd i spłynęła na cmentarzyk.

Anioł Pański — rzekł Thumbs. — Pora cocktailowa. Proszę tylko posłuchać. Wkrótce będziemy musieli sprowadzić młodszego *padrecito* albo nowy dzwon. O czym to rozmawialiśmy? — spytał, gdy dźwięki dzwonu rozpląnęły się w kilka jękliwych brzęków.

O szczęściu, że człowiek sam sobie je tworzy. A pan, Thumbs ośmieliłam się zapytać — pan jest szczęśliwy?

- Ja? — był zdziwiony. — Ja? Naprawdę nigdy o tym nie myślałem. Tak, chyba jestem szczęśliwy, na ogół tak. Mam, wie pani, wesołe usposobienie. I lubię ludzi, a to pomaga, prawda? Póki jest kilka osób, które mnie potrzebują i dla których coś znaczą... Nie, nie trzeba mi wiele do szczęścia. Inaczej z Glennem. On nic jest tak prostoduszny jak ja i... — urwał i nastawił ucha na chłopięcy głos płynący spoza spiętrzonych głązów Piedras Blancas.

— *Ay! fío Roberto! Gordito! Ya vengo!\**

Głos ten miał ową cudną ostrość chłopięcego sopranu na krótko przed mutacją: był to rodzaj głosu, jaki można usłyszeć w śpiewach chóralnych na mszy w kościele meksykańskim.

— Hi, Nando, jestem tutaj! — krzyknął Thumbs złożonywyszy dłonie w trąbkę. — To Nando. ich najstarszy syn —

**Tio Roberto... (hiszp.) — Wuju Roberto! Grubasku! Już idę!**

poinformował mnie z wyraźnym błyskiem czułości na twarzy, w chwili gdy chłopiec ukazał się na szczycie głazów, lecz zawahał się na mój widok.

— Chodź, Nando, pokaż, co złowiłeś! -zawołał Thumbs. Nando zeskoczył ze swojego piedestału i podszedł. Był bardzo chłopięcy, wysoki na swoje czternaście lat, jak sobie szybko wyliczyłam, prosty i muskularny, wcale nie przysadzisty jak dorastający meksykańscy chłopcy. Miał na sobie ekwipunek płetwonurka i mieszkańca jaskiń skalnych Pacyfiku, bardzo skąpe spodenki kąpielowe i japońskie okulary, podniesione jak przyłbica na mokre, długie, niemal białe włosy. Był bez wątplenia nieodrodnym synem Hammersa. Jednakże gładka skóra, mała głowa, wysokie kości policzkowe, a zwłaszcza wielkie ciemne oczy, bardzo ciemne brwi i rzęsy stanowiły dziedzictwo Montezumy. W jednej ręce trzymał włócznię i gumowe płetwy, w drugiej miał zdobycz: cztery duże makrele, pręgi czystego srebra i złota.

Jak ci się podobają, *tio* Roberto?        spytał po hiszpańsku. — Czy te cztery olbrzymy zapełnią twój żołądek?

— Co? Te sardynki? Nie upolowałeś ich chyba włócznią? kpił z chopca Thumbs. — Czekaj, przedstawię cię pani. To jest Fernando Hammers, największy hultaj od Acapulco do Mazatlan...

— *A sus ordenes\** dokończył Nando jak najpoprawniej, chociaż ze zbyt poważnym ukłonem, by miało to oznaczać coś więcej niż żart.

- Gdzie rodzice? I mów do pani z łaski swojej po angielsku.

— Ciągle jeszcze siedzą w wodzie. Wiesz dobrze, *tio* Roberto, jak trudno jest wyciągnąć Petrę z wody — Petra to moja mała siostrzyczka, señorita

— zwrócił się do mnie -straszne utrapienie z tymi siostrami! Robi wciąż sceny, i to

**A s u s... (hiszp.) - - tio usług.**

jakie sceny! Uważam, że ojciec powinien jej regularnie dawać lanie, ale on się tylko śmieje z jej fochów.

— Zdaje się, że już wychodzą z wody — obwieścił Thumbs, skierowawszy lornetkę na fale. — Widziałeś jakieś rekiny w rafie, Nando?

— Phi, same niedorostki, karzełki, drobiazg... - wystawił palec, żeby pokazać na nim ich nierckinią wielkość. — Nie to, co ja nazywam rekinami. Ani jeden ponad cztery stopy. — Osłaniając ręką oczy od słońca zawołał uradowany: — Tak, widzę ich teraz, już wychodzą! — Rzucił ryby i włócznie i pognał na złamanie karku przez głązy, a potem znikł, by za parę chwil znów się ukazać na wąskiej ścieżce — prostym i stromym skrócie poprzez wygodniejszy zygzak serpentyny.

— Jaki piękny chłopiec — powiedziałam. — Ma włosy i ciało ojca, a twarz matki, prawda? Widziałam ją tylko chwileczkę, i to tak dawno. Ale wydaje mi się...

— Tak, ma takie same oczy jak Vida i czasem taki sam wyraz twarzy. Tak. Lubię to młode diable. Przy okazji, on tylko udawał — w rzeczywistości uwielbia siostrzyczkę i vice versa. Nie mówiąc o Bobbym — to ich ośmiolatek — który jest moim chrześniakiem. Jak pani widzi, znalazłem sobie rodzinę.

- Tylko tyle dzieci? Przecież ostatecznie jesteśmy w Meksyku.

— Trójka nie wystarczy? To jest właśnie to, o czym mówiłem, że Glennowi zawsze się udaje i jest szczęśliwy. Ożenił się z najlepszą dziewczyną na świecie, ogromnie ją kocha, nie mógłby nic bez niej zrobić, a ona... tak samo zwariowana na jego punkcie, jak pierwszego dnia. Trójka zdrowych, ładnych dzieci — zobaczy pani, jakie są miłe — powodzenie, pożyteczna praca, niezależność — czego więcej człowiek mógłby pragnąć?— Podał mi lornetkę wskazując, gdzie mam ich szukać. Kiedy przystosowałam szkła do swego wzroku, zamazany obraz nabrał ostrości i mogłam



śledzić długi rozmach toczącego się grzywacza, który niósł w stronę brzegu jadących na deskach ludzi. Thumbs zaśmiał się w głos, gdy deska, na której stało dwoje dzieci, zrzuciła je do wody, a ta, na której znajdowali się rodzice, sunęła pięknym, równym ruchem. Natychmiast jednak przed następną falą znów ukazały się ich główki i wyścig trwał dalej. W swym doskonałym zżyciu się z morzem przypominały bardziej foki niż dzieci.

— Oto nasi młodzi kochankowie - rzekł Thumbs. I słusznie, bo te dwie postacie na desce ześlizgującej się z fali były jak z afisza, z okładki magazynu, gdzie uosabiałyby młodość, siłę i zdrową miłość. Mężczyzna stojący z tyłu za kobietą, mocno pochwyciwszy ją rękami w pasie, utrzymywał deskę w równowadze. Jego żona ze śmiechem odwróciła twarz ku niemu i zaraz potem ugięła się na elastycznych kolanach, żeby skierować deskę ku płytiźnic. Zeskoczyli jednocześnie z deski rzuceni naprzód pędem jazdy. Ona nie mogąc się zatrzymać opadła na kolana, on jednak zaraz ją podtrzymał i odwrócili się ku morzu, żeby popatrzeć, jak ich dzieci wyłapują z wody obie deski i wśród szczebiotu i śmiechu ciągną je na brzeg.

Zawsze miło jest patrzeć na dobrze skoordynowane ciała w ruchu — mistrzów tenisowych, akrobatów, tancerzy baletowych, delfiny. A ten obraz był tak doskonały, jak niedościgniony przykład zdrowej, wygimnastykowanej, szczęśliwej rodziny. Dopiero gdy szli przez plażę, uzmysłowiłam sobie, że nie są to anonimowe postacie ekranu, lecz ludzie, których znam - mimo że jak by z drugiej ręki - często o nich myślałam, czasem się martwiłam i parę razy próbowałam pisać.

— Uważa pani, że Glenn się zmienił? — spytał Thumbs.

— Nie. Nadal wygląda jak Horus, nawet w okularach.

— Jak kto?

— Horus z głową sokola, bóg starożytnego Egiptu.

— Z głową sokola... świetny dowcip! Musze mu to powiedzieć! Horus — *hijo de puta!*\* — ryczał ze śmiechu Thumbs.

To prawda, że wszędzie poznałabym kapitana Hammersa. W jego szczupłej wysokiej postaci, sposobie trzymania się, oszczędności gestów i ruchów było coś szczególnego. Okiełznana żywotność tego człowieka pozostawiła niezatarte przez minione lala wrażenie. Co do Vidy — nie, nie wyobrażałam jej sobie uprawiającej jazdę na desce na fali, lecz pomyślałam z uśmiechem, że miłość jest cudowną rzeczą, i jeśli nauczyła się korespondencji handlowej i buchalterii, aby się przypodobać mężowi, to czemu nie miałyby uprawiać również i jazdy na desce na wodach nawiedzanych przez rekiny? Głośny, niby ptasi krzyk przerwał moje myśli. To krzyczał Nado. Stał na skale wystającej z usypiska i wołał przez złożone w trąbkę dłonie:

— *Mamacita! Mamacita linda! Mireme, mamacita linda!*\*

— O proszę, młody sokół wzywa swą matkę — powiedziałam ze śmiechem, słysząc te śliczne słowa, jakimi wszystkie meksykańskie dzieci zwracają się do swych matek: „Mamusiu, moja śliczna mamusiu!” Serce we mnie zamarło, gdy chłopiec rozłożył ramiona i skoczył w przepaść. Był to piękny skok jaskółką, ale ponieważ nie wiedziałam, że tam za skałami znajduje się mała zatoczka, ogromnie mnie to przeraziło. Ładny tu macie cyrk — powiedziałam, gdy odzyskałam oddech. Thumbs nabił sobie fajkę.

— Tak, lubi się trochę popisywać. Skok z wysokości trzydziestu stóp do napastrka wody. Robi to lepiej niż

**Mamacita... (hiszp.) - Mamusiu! Mamusiu śliczna! Spójrz na mnie, mamusiu śliczna!**

**hijo de puta (hiszp.) — sk...syn**

chłopcy z plaży, którzy żądają za każdy skok miedziaka.

Tymczasem Nando musiał zakończyć swój wyczyn, bowiem stojąca na plaży matka, która na jego krzyk uniosła głowę i odpowiedziała również okrzykiem, zaczęła bić brawo.

Słońce obniżyło się i wkrótce miało skryć się za chmury, które nagromadziły się na horyzoncie — delegacja powitalna gotująca się na uroczystą iluminację zachodu. Nigdzie na świecie nie widziałam tak pięknych chmur jak w Meksyku, takich zachodów słońca jak na Pacyfiku. Szli teraz przez swoją prywatną plażę: Glenn o parę kroków w przodzie z ręką na głowce Petry, matka za nimi, a Bobby biegnąc wkoło nich jak mały psiak. Cienkie i wydłużone w skośnym świetle cienie sunęły przed nimi.

Oderwałam wzrok od tych cieni i spojrzałam na kobietę. Patrząc z góry widziałam jej postać w pomniejszeniu. Widziałam Vidę tylko przelotnie i w dodatku przed wieloma laty, ale wydała mi się dużo mniejsza, ogromnie mała i poważna, kiedy czyniła znak krzyża nad odjeżdżającym mężem. Tknięta lekkim przecuciem zmrużyłam oczy i spojrzałam bacznie przez lornetkę. W tej samej chwili kobieta zatrzymała się i zdjęła czepek kąpielowy. Potrząsnęła głową i zrzuciła włosy na ramiona. Powódź miodu — tak zdaje się określił je kiedyś Thumbs.

— Nie Vida?... — powiedziałam do siebie. Lecz Thumbs musiał usłyszeć to, co było czymś więcej niż myśli, a mniej niż przytłumiony szept, bo potrząsnął głową.

— Nie. Oczywiście, nie. Sądziłem, że pani wie.

— Tracey?... — zapytałam.

— A któż by inny? — odparł Thumbs.

Pospiesznie starałam się uporządkować myśli. Leciutki wstrząs kalejdoskopu i już powstaje całkiem odmienny obraz. Kilka ułamków kolorowego szkła, kilku ludzi w nowym układzie...

— Ale Vida... gdzie jest Vida? Co się z nią stało? Wskazał kciukiem przez ramię w stronę cmentarzyka, gdzie trzmiiele kończyły ucztę kwiatów jaśminu, by z ociężałą głową, trochę pijane słońcem i nektarem odlecieć do swych gniazd, a kolibry wciąż jeszcze latały od kwiatu do kwiatu.

— Możemy ją odwiedzić, jeżeli pani chce rzekł Thumbs. - *Zawsze się jej* tu podobało. Bardzo tutaj ładnie, prawda?

Jak to się stało? Zachorowała? A może przy urodzeniu tego chłopca...

Nando jest przecież synem Vidy, prawda?

— Oczywiście. Ale jest również synem Tracey. Miał zaledwie dwa lata, gdy Vida umarła. To było w czasie huraganu. Tracey uratowała dziecko i wychowała. To cudna dziewczyna, najlepsza na świecie.

— Ale... — zaczęłam, lecz Thumbs mi przerwał. *Proszę lego* nie mówić. Wiem, co czasami o niej

myślałem i co mówiłem pani. Często tego żałowałem. Chodzi mi o to...

ale jak to wyrazić? Podobno niektóre najlepsze wina są piekielne w czasie fermentacji. Jak Tracey. Trzeba odpowiedniego czasu, żeby się wyklarowało. Ale jeżeli pozostawić je w spokoju, są to potem najlepsze wina, za które znawcy płacą ciężkie pieniądze.

W dole przez plażę biegł Nando, chcąc dopędzić młodsze dzieci. Tracey podniosła z ziemi ręczniki, podała jeden Glennowi, a drugim wytarła Petrę i Bobby ego. Ona sama i Nando tylko otrząsnęli z siebie wodę, a polem Nando poprowadził malców pod górę. Jego rodzice szli powoli zatrzymując się w drodze, by porozmawiać z gośćmi. Kapitan dawał jakieś wskazówki chłopcom, którzy zwijali pasiaste parasole i zbierali śmiecie z plaży. Słońce już zapadło w chmury i przemieniło je w płomienisty, gorejący zamek czarownika. Skończył się upał meksykańskiego dnia.

Gdy Glenn objąwszy Tracey ramieniem ruszył ścieżką w górę, Thumbs opowiedział mi pośpiesznie, jak Vida

straciła życie - słodkie, młode życie, jak je określił.

- - To był czarny dzień, proszę mi wierzyć, najgorsza pora, kiedy to się mogło zdarzyć. Bywa, że wszystko sprzysięga się przeciw człowiekowi. Glenn był gdzieś na Pacyfiku i starał się doprowadzić swój płonący okręt do portu, sam przy tym ledwie żywy. Ja leżałem w szpitalu. Właśnie odcięli mi łapę i znajdowałem się na tak zwanym leczeniu, prawie nieprzytomny, i gdybym nawet wiedział, co tu się stało, nic bym nie pomógł. Nie wiem, czy pani ma duże doświadczenie z huraganami. Otóż ludzie na wybrzeżu mają — oni je jak by wynaleźli, skoro stworzyli sobie tego swojego bożka burz, Hurakana. Ilekroć więc zaczynają się kotłować czarne chmury, robi się żółtawo, barometr leci w dół, a ostrzeżenia sztormowe w górę, *padrecito* bije na alarm w ten stary cynowy garnek i ludzie chronią się w kościele. Kościół jest pod wezwaniem świętej Barbary, do której ludzie modlą się w czasie burzy, zbudowano go z kamienia i przez dwieście lat opierał się trzęsieniom ziemi i huraganom, a jest za wysoko, by mogła go dosięgnąć powódź. Lecz Tiburon się rozrosło, a kościół nie, jakże więc mógł pomieścić tak wielu ludzi? Poza tym nie był to zwykły sobie huragan, ale taki, który się zdarza raz na pięćdziesiąt lat. Nawet amerykańska prasa rozpisywała się o nim w owym czasie. Jak mi opowiadał Manuel, Vida najpierw oddała swego synka pod opiekę *padrecito*, a potem pobiegła do wsi, żeby zająć się innymi. Kilku rybaków znajdowało się jeszcze na morzu — niektórzy już nigdy nie powrócili. Zapewne wyobraża sobie pani, co się dzieje, kiedy ci ludzie wpadną w panikę i wychodzi z nich stara aztecka dzikość. A poza tym zawsze są takie kobiety, które w podobnych razach nie mogą się rozstać z gratami. Już, już nadciąga huragan, a one jeszcze pakują swoje mizerne skarby. Vida ciągnie, popycha i zbiera zbłąkane dzieci i prowadzi je na górę, a jeszcze świny, kozy, osiołki, te histeryczne indyki, kury, jedne w przerażeniu tratują wszys-

tko po drodze, inne nie chcą się ruszyć z miejsca, ale wreszcie wszystko siedzi mniej więcej zabezpieczone w kościele, ludzie modlą się i śpiewają, robi się w środku dnia ciemno, że choć oko wykol, i uderza huragan. To musiało być straszne, señorita, straszne!

— Kiedy przeszło najsilniejsze uderzenie, mało co pozostało z Tiburón prócz kościoła, *casa grande* i fragmentów muru starej hacjendy. Zniknęły szopy i chaty, pozrywało wszystkie dachy, połamało drzewa, porozbijało łodzie. Nie było telefonu, nie było drutów, wieś odcięta od świata — wszystko zrównane z ziemią, mosty zerwane, nawet szyny powyrywane z ziemi, tak że ustał ruch kolejowy, To samo w Mazatlan i dwieście mil w górę i w dół wybrzeża.

— A Vida, *patrona* tej całej przeklętej *cooperativa*, ciężko ranna.

— Prości ludzie lubują się w tworzeniu ballad i legend. Nie mogą ręczyć za to, że tak było istotnie, jak opowiadają, ale Manuel Perez zaklina się na wszystkie świętości, a jest za tępy, aby mógł zmyślać jakąś bajkę.

Wygląda na to, że policzywszy dzieci Vida stwierdziła nieobecność Chiquitína, syna Manuela a swego ulubieńca. Ta flądra, żona Manuela, niedawno urodziła martwe dziecko i jeszcze źle się czuła, dostała zdaje się lekkiego bzika. W każdym razie Perez był jeszcze na morzu, jego najstarszy syn razem z nim na kutrze, więc Vida zaopiekowała się jego rodziną. Sama posadziła Aurelię na osiołka i wyprawiła ją do kościoła z rocznym dzieckiem na ręku i dwojgiem starszych uczepionych oślego ogona. Aurelia jednak nie mogła się rozstać ze swoim majątkiem i zawróciła, żeby zabrać jeszcze coś ze sobą na osiołka. Tymczasem Chiquitín pobiegł za Vidą. W ten sposób Vida była pewna, że on jest z matką, a matka, że jest z Vidą. Stwierdziwszy, że chłopczyk pozostał samotnie pośród burzy, Bóg jeden wie gdzie. Vida cichutko wymknęła się z kościoła. I nigdy już nie wróciła.

— Właśnie w tym miejscu wkracza na scene Tracey — rzekł Thumbs i przerwał, żeby pomachać z roztargnieniem trojgu dzieciom, które wyszły na szczyt skał z głośnymi okrzykami: — *Tío* Roberto! Wujaszku Bobby! HÜ Hola! — A Nando czując, że *Tío* Roberto nie pragnie w tej chwili ich towarzystwa, urządził zabawę w chowanego wśród głązów, grobów i krzyży małego cmentarza, której towarzyszyły nawoływania, śmiechy i chichoty.

— Tracey pilotowała bombowce i parę razy spotkała się z Glennem w czasie wojny — ciągnął dalej Thumbs patrząc w zamyśleniu na dwoje ludzi, którzy zatrzymali się w połowie zbocza, żeby porozmawiać ze stojącym grzecznie z sombrero w ręku Meksykaninem. — Tak, Traccy spotkała się z Glennem raz w Honolulu, a raz zdaje się w Auckland, w Nowej Zelandii. Nudne miasto to Auckland. Glenn wymógł na niej tę samą obietnicę, co i na mnie: że zaopiekuje się w razie czego Vidą i małym Nando. To wykazuje, jak bardzo jej ufał, choć była zazdrosna o Vidę. Otóż zdarzyło się, że Tracey była w Texas, w Randolph Field, gdy radio doniosło o tym huraganie, więc pomyślała sobie: „Zobaczmy, co się dzieje koło Mazatlan”. Tak przynajmniej sama się wyraziła. Nie mówi, jak zdobyła pozwolenie, żeby tam polecieć, i jak dokonała tego wyczynu w czasie burzy. Kiedy się słucha Manuela Perez, był to cud cudów. Z beznadziejnie czarnego nieba spłynęła białoskrzydła istota, ptak, anioł czy też sama święta Barbara. Manuel doprowadził kuter do portu czy raczej wrak kutra — wciąż uważa ten wyczyn za równy doprowadzeniu przez kapitana płonącego niszczyciela do portu. Razem odnaleźli Vidę i Chiquitína. O tam... — rzeki Thumbs wskazując fajką w stronę muru otaczającego Pacifico. - Stare olbrzymie drzewo zważyło się i zdruzgotało mur. Pod gruzami leżała Vidę okrywająca swym ciałem Chiquitína, nieprzytomnego, lecz całego i zdrowego. Uchroniła go własnym ciałem od śmierci.

— Tracey opowiadała mi o tym tylko raz. O ile wiem, nigdy Glennowi. Nieszczęsna dziewczyna przedstawiała żaloszny widok, miała pogruchotane kości i czarne obrzmienia. Gdy wzięli ją na ręce, była lekka, wiotka, jak zraniony ptak, i nieprzytomna. Dopiero gdy Tracey i Manuel sadzali ją w samolocie, odzyskała przytomność.

— Nando... mój Nandino... gdzie on jest? - spytała. — I Chiquitin?... - Perez powiedział jej, że obaj są cali i zdrowi, że *padrecito* zaopiekował się nimi, i wtedy zamknęła oczy,

— Jestem trochę zmęczona wyszeptała. - Zimno mi. Przeziębłam się powiedziała po hiszpańsku szarpiąc coś, jak by starała się przykryć. Ale wszystko ociekało wodą. Tracey wypożyczyła — a może ukradła samolot z Randolph Field. Był to jeden ze starych ćwiczebnych AT-6. Posadzili i przywiązali nieszczęsną Vidę do fotela.

Tracey dała jej silną dawkę morfiny przed odlotem, a Vida wzdrygnęła się, wytrzeszczyła na nią przerażone oczy i spytała:

— To ty? Co mi robisz?

— Usypiam cię, nie bój się — to nie będzie bolało.

— Usypiasz? Nic. Chcesz mnie zabić — szepnęła Vida.

— To mnie troszkę dotknęło — mówiła Tracey opowiadając o tym Thumbsowi. Ale nie przestała uspokajać Vidy rozgrzewając motor: żeby się nie martwiła, nic bała, że zawiezie ją do Guadalajara, do szpitala, do bardzo dobrego lekarza, który ją w mig wyleczy — normalne bzdury, które się prawi umierającemu.

Huragan przeszedł, lecz pogoda nadal była zła i wybrzeże wyglądało jak świat w dzień po potopie. Do Mazatlan byłoby bliżej, ale tam panował chaos. Tracey, która widywała sporo rannych w wojsku, domyśliła się, że Vida ma jakiegoś wewnętrznego wylew, ale wystartowała z Vidą podczas burzy w rozpaczliwej nadziei, iż może w szpitalu ocala jej życie, jeśli



przywiezie ją w porę. „Tak, ale jeżeli ona umrze w drodze, Glenn mi tego nie daruje” — myślała z goryczą. Vida siedziała spokojnie, mimo że samolotem rzucało jak piłką.

— No jak, *chiquita'*? - spytała ją, gdy zauważyła, że Vida rozwarła oczy.

— *Gracias, muy bien*. Tylko mi trochę zimno — powiedziała Vida, a potem jeszcze raz: - *Tengo tanto frío* — tak mi zimno...

— Czy bardzo boli? — spytała Tracey.

— *Pues - no, gracias*. Nie boli. Trochę później szepnęła:

- Señora. Chyba umrę, señora — bardzo spokojnie, zupełnie zrezygnowana.

— Nie! Nie! Nie! — krzyknęła Tracey ponad warkot samolotu. — Nic dopuszczę do tego, nie pozwolę ci umrzeć, nie pozwolę, słyszysz?

Wyzdrowiejesz, zobaczysz, musisz wyzdrowieć, musisz chcieć żyć, Vida, będziesz zdrowa, musisz walczyć o życie, musisz żyć, bo twój Nando i Glenn potrzebują ciebie, walcz... walcz...

Vida zrobiła lekki grymas pobladłymi ustami; zapewne miał to być uśmiech, dziwny na jej poszarzałej twarzy. Wszeptała: — Dobrze — i zamknęła oczy, tylko jej usta wciąż się poruszały. Pewnie się modliła, a potem zaczęła działać morfina; zasnęła. Tracey żywiła nadzieję, że nie na zawsze.

Żyła jeszcze, gdy Tracey przywiozła ją do szpitala. Kiedy położono ją na nosze, próbowała coś powiedzieć i Tracey przyłożyła ucho do jej ust, żeby lepiej słyszeć. Była to ostatnia resztką indiańsko-hiszpańskiej grzeczności:

— Dziękuję, *muchísimas gracias* - proszę mi wybaczyć moje złe myśli, señora — señora jest dobra — bardzo dobra

- niech opiekuje się moim Nandito i moim dueño

- jeżeli...

Potem zajęli się nią lekarze, a w końcu ksiądz.

Jedyną rzeczą, jaką Tracey mogła zrobić dla Vidy, to przewieźć ją z powrotem do Tiburon i tam pochować. Piękny to był lot, przy ślicznej pogodzie, mówiła Tracey. Ostatni lot, bo rzuciła wojsko, rzuciła wszystko, by zastąpić małemu Nando matkę.

Thumbs pociągnął gwałtownie zimną fajkę.

A potem już żyli szczęśliwie — rzekł starając się ukryć uczucia pod przykrywką wesołości. — O, już idą. Tylko, na miłość boską, niech pani mnie nie zdradzi! Gdyby Glenn się dowiedział, że opowiedziałem to pani, udusiłby mnie. Bywa bardzo śmieszny, gdy chodzi o te rzeczy pragnie zachować swoją dumę czy co...

Pośpiesznie skontrolowałam wyraz swojej twarzy, próbując wzniesć pomost między śmiercią Vidy a zwycięską radością życia, którą promieniowało tych dwoje. Nie mogłam wstrzymać uśmiechu zadowolenia na widok ich dobranych ciał, sprężystego rytmu ich zharmonizowanej żywotności.

— Czekasz na nas, Thumbs? - krzyknęła, gdy się zbliżyli a Thumbs wstał, i wyszedł im parę kroków na przeciw. Tracey nie była ani odrobinę mniej przystojna, niż Tracey z mojej wyobraźni, choć wcale nie taka młoda, jak ją widziałam. Miała na sobie czarny gładki kostium kąpielowy, jej skóra jaśniała zdrowiem i opalenizną. Miała jednak zmarszczki na twarzy a włosy koloru miodu bielila siwizna. U Glenna nie rzucało się to w oczy, że jego włosy zmieniły się z prawie białych na zupełnie białe. Nie miał na ciele ani grama tłuszczu. Twarzy nie widziałam, bo przykrywały ją wciąż okulary pletwonurka.

Dopiero teraz zauważyłam, że trzyma w ręku trzcinkę. Wyglądał z nią śmiesznie dandysowato, przy swych długich nagich nogach i ramionach. Puścił ramię żony, żeby poklepać po plecach Thumbsa. - Co słychać? — spytał.

— Thumbs jest z panią — powiedziała szybko Tracey.

— Ach, wybaczcie nam nasze natręctwo. Spodziewam się, że nie przyciągnąłeś tu pani siłą? — rzekł kapitan unosząc brodę. Przypomniał mi wężącego psa.

„Zapomniał pan o szapoklaku, kapitanie” — chciałam z niego zadrwić, ale coś dziwnego w sposobie zachowania Thumbsa, gdy podchodził do niego, kazało mi zamilczeć. Thumbs przedstawił mnie Tracey, ona zaś zrobiła kilka uprzejmych konwencjonalnych uwag o moich książkach, których, jestem przekonana, nigdy nie czytała. Jednocześnie wzięła mnie pod ramię i lekko pociągnęła w stronę Glenna. Owo dziwne uczucie jakiegoś skrepowania, nicnaturalności stało się jeszcze silniejsze. Jak byśmy byli na scenie, gdzie każdy ruch jest zaplanowany, a miejsce, w którym trzeba stać, w danej chwili lekko zakreślone kredą na podłodze.

— Nasza dawna znajoma rzekł Thumbs. — Na pewno pamiętasz panią, spotkaliśmy się w pociągu, zaraz po Pearl Harbor. Pisarka, która chciała się dowiedzieć o rekinach.

— Oczywiście pamiętam. Bardzo nam miło — rzekł Glenn z mniejszą arogancją i cieplej, niż oczekiwałam. Wyciągnęłam dłoń, a on wyciągnął swoją.

Nasze ręce minęły się w powietrzu.

Tracey postarała się naprawić ten niezgrabny ruch skierowując moją rękę we właściwym kierunku i uścisnęliśmy sobie dłonie. Glenn jednak wyczuł to drobne potknięcie i manewr. Trzymając moją dłoń w długich silnych palcach, drugą ręką zsunął na czoło okulary.

Do tej chwili zakrywały mu górną część twarzy, ale teraz zobaczyłam jego oczy. Cieszyłam się, że on nie mógł zobaczyć moich...

Ale choć starałam się ze wszystkich sił ukryć swe wrażenie, on je musiał wyczuć w stężeniu moich palców. Uścisnął je jednak inaczej i jakoś cieplej i uśmiechnął się. Poznałam ten uśmiech, szeroki, miły, psotny, promienny uśmiech, który mu

towarzyszył w próbach ognia i wody i głębokiej tragedii, jaką przeszedł. Wciąż go nie opuszczał, pozwalając mu kpić z niepowodzeń życia, swobodny i niezmienny. Odetchnęłam głęboko z ulgą, a Glenn puścił moją rękę, by wskazać swe oślepe oczy.

— Widzi pani, co wynika z podjęcia paru ryzykownych kroków? — rzekł. — Straciłem wzrok i... dostałem tę nieznośną dziewczynę za żonę. Czuję się w jego głosie to, co mówił Thumbs: że mu się udało i jest szczęśliwy.

Słońce zanurzało się właśnie w oceanie. Nie było krągłe i pełne, ale wyglądało niby ogromna cytryna, którą ciężka, dziko płonąca masa chmur wciska do wody. Od morza nagle nadciągnął chłodny, świeży powiew. W jego zapachu czuć było trochę goryczy; miał posmak soli i metalu, i jak by krwi: niósł z sobą woń ikry i gnicia, nieustannego zamierania i wiecznego życia niezliczonych stworzeń.

Kapitan wciągnął powietrze w nozdrza.

— Ochładza się, Thumbs, pozaganiaj młode bractwo, dobrze? — rzekł wesoło. — I chodźmy się napić do domu, póki się zupełnie nie ściemni.